
3 1761 03576 3796

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA ALTENBERGA

O SZARYM LWOWIE

NAPISAŁ

FRANCISZEK JAWORSKI

Z PRZEDMOWĄ

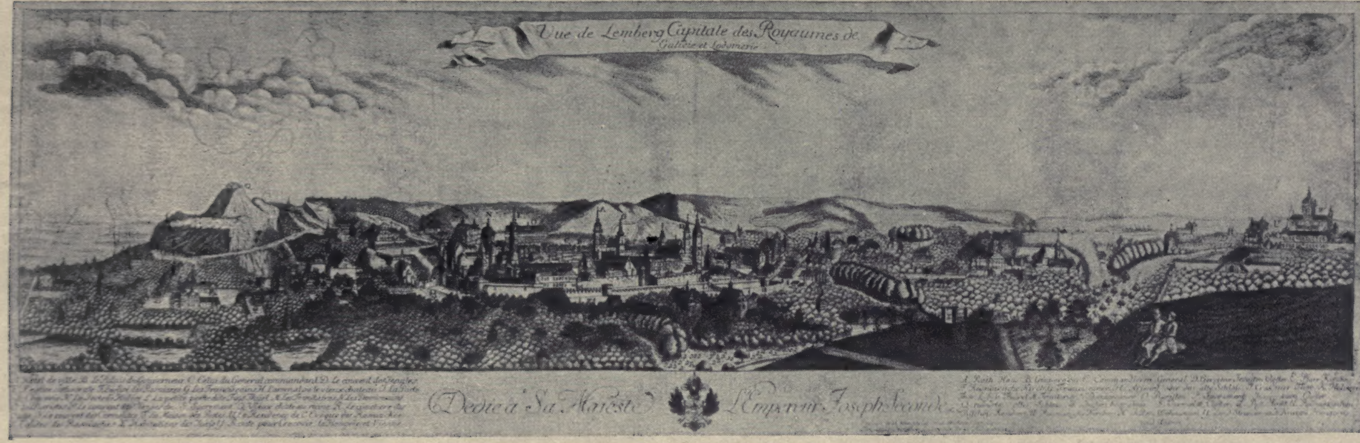
LUDWIKA FINKLA

Z 18 RYCINAMI



LWÓW, H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SP.
WARSZAWA, E. WENDE I SP.

O SZARYM LWOWIE



WIDOK LWOWA Z KOŃCA XVIII. W.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA ALTENBERGA

O SZARYM LWOWIE

NAPISAŁ

FRANCISZEK JAWORSKI

Z PRZEDMOWĄ

LUDWIKA FINKLA

Z 18 RYCINAMI



LWÓW, H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SP.
WARSZAWA, E. WENDE I SP.

Z drukarni przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie

PRZEDMOWA

„O Szarym Lwowie"!... Sam autor, przedwcześnie zgasły a już bardzo zasłużony około dziejów naszego grodu, Franciszek Jaworski, położył taki tytuł na tej wiązance szkiców historycznych, która jako pośmiertne jego dzieło wychodzi obecnie nakładem zasłużonej Firmy księgarskiej w jej „Bibliotece Historycznej", wydawanej pod redakcyą Dra Bronisława Pawłowskiego.

„Szary Lwów" — to, oczywiście, nie owo szeroko w Rzeczypospolitej i za jej granicami znane miasto, przemysłowe i handlowe a zarazem rycerskie, obronne murami i basztami, wystrzelające wieżycami swych świątyń i ratusza, podziwiane przez podróżnych z dalekiego Wschodu i Zachodu — nie Lwów patrycyuszowski, odgrzebany z pod gruzów zapomnienia i skreślony mistrzowskiem piórem Władysława Łozińskiego.

Ani są to owe wielkie i osobliwe przypadki, które raz po raz spadały niespodziewanie „w nieposkromionym potoku dopustów Bożych" na „straż szańcową" Rzeczypospolitej, na „Lwów troisty", jak go nazwał w XVII wieku pierwszy skrzętny

kronikarz Lwowa, poeta Józef Bartłomiej Zimorowicz, — miasto różnobarwne etnicznie, ale skupione i zwarte w odpieraniu wrogich najazdów.

„Szary Lwów“ — to skryte, obumarłe już ślady dawnego życia, „beznadziejne“ zaułki, „mocno zawikłane historye“ budynków w ciasnych uliczkach stłoczonych, to spory małżeńskie i rodzinne, kłopoty i kłótnie małych korporacyj cechowych, obrzędy i zabawy z epoki ciemnoty i przesądów, związki masońskie o dziwacznych nazwach i dziwniejszych jeszcze awanturniczych postaciach, czasem „wzloty na drewnianych skrzydłach“, zwyczajnie niedola ludzka w pogoni za groszem...

Weszły tu wprawdzie rzeczy także szerszego, ogólniejszego znaczenia: ostatnie ślady niewolnictwa na Rusi w wieku XV, proces filozofa Sebastyana Petrycego z teściową swoją, obrotną mieszczką lwowską, przebudowa katedry lwowskiej w wieku XVIII. przez arcybiskupa Wacława Hieronima Sierakowskiego, którego autor przedstawia jako ofiarę „wichru barokowego modernizmu“, czyni mu ciężkie zarzuty za zniweczenie tylu bezcennych pomników przeszłości, ale z drugiej strony przyznaje „zasługę twórcy pięknych zabytków późniejszego baroku na ziemiach polskich, zabytków przynoszących chlubę swojskiemu artyście i rzemieślnikowi“.

Z po za szarzyzny, snującej się w monotonnym na pozór potoku codziennych wydarzeń, wybije się nieraz jaskrawy promień, który oświetli jaśniej, wyraziściej, dotykalniej minione życie pokoleń, niż niezwykłe wypadki lub wspaniałe po-

mniki potomności przekazane. Autor „Szarego Lwowa“ posiadał nadzwyczaj czułe i bystre oko na takie właśnie objawy: umiał je pochwycić, z okruchów skąpych zapisek odtworzyć, obudzić dla nich interes, ciepłem i pięknem piórem swojem ożywić. Obrazy napływały bardzo łatwo twórczej jego wyobraźni, musiał ją hamować, nie chcąc „puszczać się, jak pisał, na bystre wody niczem nieopartych domysłów historycznych“, nie czynił ofiary z sumienności naukowej. Ale posiadając wrodzony dar barwnego, zajmującego opowiadania, stawiał osoby i zdarzenia na szerszem tle, uwypuklał, okraszał je wspomnieniami z bogatej swej skarbnicy a zarazem wiązał misternie przeszłość z teraźniejszością.

Niepospolite owe zalety Franciszka Jaworskiego ujawniły się w całej pełni zwłaszcza w dziele „Lwów stary i wczorajszy“, które rychło miało dwa wydania (1910, 1911) i stało się najpoczytniejszą książką o historyi Lwowa. Obudził nią autor nie tylko miłość dla dawnych i onegdajszych pamiątek miasta, nie tylko zapełnił niemi wszystkie jego zakątki, lecz także pozostawił cenne źródło wyobrażeń i poglądów dzisiejszych mieszkańców naszego grodu. Szkice „o szarym Lwowie“ są jakby dalszym ciągiem, uzupełnieniem i wykończeniem tych luźnych na pozór a przecież jedną nicią związanych obrazków.

„Szary Lwów“, „martwe już lub w oczach naszych znikające miasto“, to właściwa dziedzina autora, jego, rzec można rewelacya, to świat, który zna na wylot, w którym obraca się swobodnie, z którego przenosi nawet wyrażenia, trącące cza-

sem aż trywialnością, ale dodające swoistego zabarwienia jego opowiadaniu.

Franciszek Jaworski zdobył sobie właśnie dzięki tym badaniom nieznanych, nietkniętych ustroni życia lwowskiego, swoje odrębne a poczesne stanowisko wśród dziejopisarzy Lwowa.

Nie, jakoby niezdolny był do tworzenia szerszych, nawet wspaniałych obrazów przeszłości lub do dociekań historycznych w właściwem tego słowa znaczeniu. Owszem: w dziesięcioletniej ledwo działalności literackiej złożył świetne dowody rzeczywistego talentu dziejopisarskiego i badawczego. Nawet w dziełkach przeznaczonych dla najszerszych warstw, pisanych okolicznościowo, jak „Obrona Lwowa 1655 r.“, i opowiadania, ogłoszone w wydawnictwach Macierzy Polskiej (Obrona Częstochowy, Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka Gródka), jako też w licznych fejletonach „Kuryera Lwowskiego“ odznaczał się zawsze indywidualnem rzeczy ujęciem, przynosił nowe przyczynki i świeże spostrzeżenia. W szeregu studyów w „Bibliotece Lwowskiej towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa“, które wychodziły kolejno rok po roku — Ratusz lwowski, Cmentarz gródecki, Nobilitacya Lwowa, Uniwersytet lwowski, Królowie polscy we Lwowie — łączył gruntowność i sumienność badań z jasnem, plastycznem przedstawieniem rzeczy. W poważnem dziele, tworzącem również część „Biblioteki Lwowskiej“, p. t. „Lwów za Jagiełły“, wysnutem przeważnie z suchych rachunków miejskich, wydanych przez Dra Aleksandra Czołowskiego, nakreślił zarys Lwowa z początku XV wieku, wniknął wszechstronnie we wszystkie

działy życia miejskiego, położył podwaliny dla badań dalszego kształtowania się i rozwoju miasta, jego zaludnienia, gospodarki i kultury.

W krótkim szkicu zaś p. t. „Rok 1863“, napisanym w 50-tą rocznicę powstania styczniowego a ogłoszonym bezimiennie — dodanym tutaj pod Nrem XIV przez wydawców, aby zachować go potomności — scharakteryzował trafnie nastrój dziejowej chwili, streścił przejrzyście przebieg orężnej walki, oświetlił bohaterskie zmagania narodu płomienną miłością swoją — okazał, że mocen był odtwarzać także wielkie zdarzenia, dawał sobie radę z trudnemi zagadnieniami historycznemi.

Ale z umiłowania i powołania, z całej istoty swojej duchowej Fr. Jaworski był przedewszystkiem historykiem kultury, której drobne nawet objawy nie uchodziły jego baczności, jego szczególnej opiece i trosce, aby nie popadły bez śladu w zapomnienie. Sam kolekcyonista, o ile stosunki mu na to pozwalały, poszukiwał pilnie, rejestrował i opisywał „Lwowskie znaki biblioteczne“, „Exlibrisy“, „Medaliony polskie“, „Pierścienie historyczne“, przydając zawsze wiadomości o ludziach zasłużonych około ich gromadzenia, zwłaszcza o amatorach-zbieraczach, wyniesionych nieraz z „szarego Lwowa“ na szerszą widownię.

Wszak on sam ukończony prawnik, publicysta i dziennikarz, pisarz niepowszedniej miary, obdarzony zmysłem tkliwym na wszelkie piękno i dobro, jedna z tych wybranych, smutkiem obleczonych a pogodnie na świat patrzących dusz, przejmująca się każdą krzywdą ludzką — on sam,

Franciszek Jaworski, archiwaryusz miasta Lwowa, jak go znaliśmy, szanowali i kochali, był postacią tego „szarego Lwowa“, któremu w dziełach swoich postawił pomnik trwały i piękny, postacią jasną, promienną i lepszego losu godną...

Lwów, d. 30 grudnia 1916.

Ludwik Finkel.

SPIS RZECZY:

SPIS RYCIN



I.

HISTORYE MAŁŻEŃSKIE
(DZEHAN — ZACZAROWANY TRÓJKĄT)

DZEHAN

Z całą stanowczością i uporem twierdziła Dzehan, Ormianka, że nigdy nie była, ani nie jest żoną szlachetnie urodzonego Jurka z Malczyc. Niewolnicą jego była, w niewolnym stanie u niego mieszkała, jako rzecz, którą Jurko mógł sprzedać tak jak ryby w swoim stawie, zboże z przeoranego zagonu...

Z całą stanowczością i uporem twierdził znowu urodzony Jurko z Malczyc, że piękna Dzehan, córka czarnego Grzegorza, Ormianina lwowskiego, była od chwili ślubu prawowitą jego małżonką i żoną jego jest zawsze i teraz, dnia dzisiejszego...

Jest li żoną, czy niewolnicą? — Oto pytanie, które rozstrzygnąć miał sąd grodzki we Lwowie dnia 19. kwietnia r. 1449.

Twierdzenie białej Dzehan, tak białej, że ją wszyscy z ruska Biełką, a same akta „Byelką“ zwały i wyparcie się przywilejów prawej małżonki postawione było w takich okolicznościach, które absolutnie wykluczały wszelką czułość małżeńską. Zresztą i akta grodzkie nie lubiły się zajmować poetycznemi przenośniami, a środek piętnastego wieku nie był znowuż w ziemi lwowskiej okresem sielankowego romantyzmu, gdzieby mogła być mowa o niewoli hymenu i o złotych więzach miłości.

Jeżeli tedy na sądzie w r. 1449 padło z ust Biełki słowo „niewola“, „stan niewolny“ *(illibertas)*, to należało je brać z całą dziką dosłownością barbarzyńskiego obyczaju, który podówczas jeszcze uważał człowieka za taki

*

sam przedmiot handlu, jak każdy inny towar. Wszakże w tym samym czasie i przed tymże samym sądem lwowskim tłumaczył się urodzony Stanisław ze Szczepierzowa, że nie sprzedał kobiety wolnej żydowi, ale ją tylko... zastawił. Włoch, Krzysztof de Santo Romulo oświadczał, że winien jest Stanisławowi z Góry 2 marki za człowieka, którego mu Stanisław sprzedał (*pro homine, quem sibi vendidit*), toż samo zeznaje Andrzej ze Sienna, że za dwie kopy groszy sprzedał Ormianinowi Iwanisowi młodzieńca, którego Piotr Żółtański kupił w Łucku u żyda przy świadkach i przy mohoryczu. Mardochaj wreszcie, żyd z Halicza, skarzy się gorzko, że mu uciekła niewolnica, a on ją kupił za 6 kop groszy, na co znowu oświadcza ta ostatnia, że nie za 6 kop, ale za kopę groszy kupiona została w swoich latach dziecięcych (*parva fui, quando sum empta pro sexagena*).

Jakie były domowe stosunki Jurka i Biełki, niewiadomo. Również trudno nam wejść w samą prawną istotę sporu między rzekomymi małżonkami. Dość na tem, że pod względem prawnym było snać Biełce daleko wygodniej wystąpić w charakterze osoby niewolnej, podczas gdy Jurkowi zależało, aby sąd ją uznał za jego prawowitą małżonkę. Tak bowiem postawiona kwestya dawała mu w dalszej swojej konsenkwencyi możność domagania się od Biełki zwrotu jakiegoś dokumentu działu dóbr, który przedstawiał dla niego wartość pięciuset grzywien, drugiego jakiegoś przywileju granicznego wartości stu grzywien, dalszych stu marek w gotówce, a wreszcie posagu w formie kołdry, szuby podbitej futrem, poduszek i innych rzeczy łącznej wartości stu grzywien. Do zwrotu tych wszystkich rzeczy nie byłaby Biełka wcale, przynajmniej jej zdaniem, zobowiązaną, gdyby się pokazało, że była tylko niewolną Jurka z Malczyc.

Zanim jednak kwestya małżeńska między Jurkiem a Biełką dojrzała do tyla, że mogła się skrystalizować w sumie powyższych ośmiuset grzywien procesowej pretensyi, musiała ona dostatecznie długo fermentować w samych Malczycach. Akta grodu lwowskiego, z których czer-

piemy niniejszą opowieść[1]), nie dostarczają wprawdzie bezpośrednich o tem wiadomości, ale pozwalają przecież zaglądnąć do tego kotła, gdzie się warzył bój małżeński między zaciekłym Rusinem, a chytrą Ormianką.

Na łąkach, stawach, wygonach i roli podlwowskich Malczyc siedzieli z dawien dawna trzej bracia, szlachta wschodniego obrządku, Jurko, Hryń i Fedorko. Nieokiełznana surowość starego, ruskiego bojarstwa była między nimi; drapieżna porywczość, gwałt, zajazd, rabunek stały się jakoby ich chlebem powszednim. Miłe rodzeństwo wodziło się za łby nieustannie i w rozmaitych kombinacyach, raz Jurko z Fedorkiem, to znowu Hryń z Jurkiem i Fedorkiem, albo też wszyscy razem ze sąsiadami. Krzyż pański miał z nimi niejaki Dłuto, sołtys z sąsiedniego Porzecza, a nawet sam arcybiskup lwowski Jan Rzeszowski co chwila wnosił pozwy o gwałt, zaoranie gruntów, pokaleczenie swojej służby itp. Jurko miał nawet całą kompanię „takich dobrych, jak on sam“ i na ich czele gnębił tak nieszczęsnego sołtysa, jak grunta arcybiskupie, tak swego rodzonego Fedorka, jak i jakąś dziewicę Annę z Kamienopola. Tej ostatniej zabrał krowę i przysięgał potem, że nic nie wie o żadnej krowie, pomimo czego sąd grodzki kazał mu tę krowę zwrócić w ciągu tygodnia. Kiedyindziej odpowiadał znowu za ryby, które Fedorkowi wyłowił ze stawu więcierzami, to wreszcie za najazd na cudzą rolę, uniesienie cudzych ruchomości do domu swojego na przedmieściu lwowskiem, gdzie w danym razie tak on sam, jak jego kompania: Hryń, Zan, Siemion i Marek, bezpieczną była od sąsiedzkiej zemsty.

W r. 1442 napadł Jurko swojego braciszka Fedorka razem ze Stefanem Mielnikiem, Janem Łucznikiem i Grzegorzem Czarnym, Ormianinem lwowskim... Spór był nieciekawy, gwałt całkiem pospolity, ale interesujące jest to, że dokonał go do spółki z Jurkiem Grzegorz Ormianin, ojciec pięknej Biełki i że na takiem tle wyrosła miłość i coś podobnego do małżeństwa miedzy Jurkiem i piękną Ormianką.

Ten Grzegorz Czarny, Ormianin z przedmieścia lwow-

skiego przybył do Malczyc prawdopodobnie z powodu rybnego stawu, który dostarczał mu pożądanego towaru do handlu. Taki sam staw dzierżawił on również w Wołkowie, a poza tem trudnił się widać interesami kolonizacyjnymi, bo ręczył dziekanowi kapituły lwowskiej, Franciszkowi z Orzeka, że Abraham i kilku innych Ormian, osiadłych na jego gruncie, nigdy tegoż gruntu nie opuszczą. Wśród Ormian zresztą, osiadłych pod Wysokim Zamkiem we Lwowie, miał ów Grzegorz zachowanie znaczne. Do przyjaciół jego, a może nawet zgoła i krewnych liczył się sam Krystko, wójt Ormian przedmiejskich i Bernard, lekarz, *medicus*, który był też właścicielem łaźni, czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, utrzymywał zakład hydropatyczny.

To też, kiedy ostatecznie prysnął węzeł miłosny między Jurkiem i Biełką, a ta ostatnia, unosząc z ogólnego rozbicia małżeńskiego wspomniane wyżej dokumenty, pieniądze, posagową kołdrę, poduszki i szubę, schroniła się do Lwowa, miała ona za sobą poparcie całego narodu ormiańskiego. Gdy zaś i Jurko ze swoim temperamentem i kompanią nie mógł na to wszystko patrzeć spokojnie, tedy zadudniło w całej okolicy Lwowa od sporu, gwałtów i napadów, a tak skandal familijny stał się skandalem publicznym, prawdziwą *cause célèbre* ówczesnego świata, sensacyą niepoślednią, którą interesowała się cała szlachta ziemi lwowskiej.

Sam Piotr Odrowąż, wojewoda i generalny starosta ziem ruskich, wziął w ręce akcyę pojednawczą między zadzierżystymi małżonkami, wyznaczając im termin do pogodzenia się i zastrzegając dla siebie osobiście prowadzenie całej sprawy, gdyby ugoda nie doszła do skutku. Jakoż o zgodzie nie mogło być mowy i proces rozpoczął się całkiem formalnie od doręczenia pozwu Biełce przez woźnego Macieja i od żądania tej ostatniej, aby termin rozprawy odroczono, gdyż jest ona „prawie niemocna“ czyli chora. Wobec tego wyznaczył wojewoda termin na dzień 19. kwietnia 1449.

Dnia oznaczonego rano składała Biełka uroczyście

w kościele i według zwyczaju ormiańskiego przysięgę, że rzeczywiście tylko z powodu choroby udaremniła poprzednią rozprawę, poczem po obiedzie rozpoczął się sąd na Niskim Zamku. Zainteresowanie sprawą było bardzo wielkie. W sądzie zjawił się sam Jan z Czyżowa, kasztelan krakowski, dalej Piotr Odrowąż, Dersław z Rytwian, starosta sandomierski, Jan Gołąbek ze Zimnej wody, sędzia lwowski, Fredro z Pelszowic, dzierżawca szczerzecki, Paweł ze Sprowy, podstoli, Jan Noss, Słupski z Dublan, wojski lwowski, Bystram z Łopienik i cały tłum pośledniej szlachty. Sam podstarości, Jan z Wyssoka, zastępował pozwaną.

W obecności ich wszystkich i po wszelakiej formie wytoczył Jurko aż cztery pozwy przeciwko swojej żonie, osobno o dokumenty, osobno znowu o gotowiznę i posag, stwierdzając za każdym razem uroczyście, że zawierzał jej te przedmioty, „jako żonie swojej, która była jego żoną i jest nią dotychczas“.

Na każdy też pozew odpowiadała Biełka przez swego pełnomocnika osobno, powtarzając stereotypowo: „panowie! nie jestem mu żoną, lecz byłam u niego w niewoli, nic mi nie dał do przechowania i niczego nie otrzymałam...“

I tak się powtarzało cztery razy w tej samej formie i w tych samych słowach, aż wreszcie zapytano Jurka, czy ma jeszcze co powiedzieć o swojej żonie, a on odrzekł: „nie mam nic więcej do powiedzenia“.

Wtedy zgromadzeni panowie uznali, że sprawa ta jest przedewszystkiem duchowną, małżeńską. Wobec tego odesłano obydwie strony, aby się rozprawiły przed sądem duchownym, a gdy się rozprawią, tedy w cztery tygodnie później jawić się mają na nowo przed sądem grodzkim.

Poszedł tedy Jurko razem z Biełką po rozwód do Atanazego, władyki przemyskiego i Jakima, metropolity halickiego. Obaj ci dostojnicy cerkwi wschodniej zastanawiali się snać bardzo dokładnie nad tem, czy Biełka jest żoną, lub tylko niewolnicą Jurka, bo kazali sobie za to zapłacić aż 30 grzywien. Ostatecznie pokazało się w ich

oczach, że stosunek ten małżeński da się bardzo dobrze rozwiązać przy pomocy rozwodu w ten sposób, że Biełka zapłaci ponadto Jurkowi, widocznie na pocieszenie, 36 grzywien, tytułem „*divorcionales alias rospustu*“.

Mając „rozpust“ w rękach, pobiegł Jurko znowu do sądu grodzkiego, ale ten z powodu grożącej wojny z Tatarami nie miał czasu zajmować się jego sprawą. Sam wojewoda, Piotr Odrowąż, uznał, że do rozstrzygnięcia kwestyi potrzeba będzie zasięgnąć zdania wielu panów i dostojników, a że ci obecnie ruszają na wojnę, tedy dopiero trzy tygodnie po powrocie z wyprawy ma się proces rozpocząć na nowo. Tymczasem niech Biełka zapłaci Jurkowi wspomnianych 36 grzywien rozpustu.

Jeżeli Jurko był trochę niespokojny, czy otrzyma swoją nagrodę za rozwiązanie węzła małżeńskiego, to uspokoił się zupełnie, gdy za Biełką stanął Bernard, Ormianin, lekarz i właściciel łaźni na przedmieściu krakowskiem. Mąż ten oświadczył, że zapłaci 36 grzywien albo też odda Jurkowi swój zakład hydropatyczny. Do tej ostateczności jednak nie przyszło i szlachetnemu Jurkowi z Malczyc nie było danem osiąść na złotodajnej łaźni. Bernard bowiem znalazł się w kropce i w przeciągu jednego tygodnia wyrównał całą pretensyę Jurka.

Tymczasem chytra Ormianka przemyśliwała, w jakiby sposób byłego swojego małżonka wziąć potężnie na kawał. Zamieszki wojenne i śmierć Piotra Odrowąża nadarzyła jej doskonałą sposobność ku temu. Syn bowiem i następca Piotra, Andrzej Odrowąż zapowiedział, że rozstrzygnie sprawę między małżonkami w tydzień po swoim powrocie z pogrzebu ojca z Krakowa. Biełka ze swoim zastępcą podstarościm, stanęła pilnie i w nieobecności Jurka uzyskała zaoczne uwolnienie od wszelkich pretensyi tego ostatniego.

Jurka opanowała wściekłość. Daremnie jednak miotał się na sądzie, twierdząc, że nieboszczyk wojewoda, Piotr Odrowąż, ustnie mu „przełożył rok“ i wyznaczył termin późniejszy. Zastępca Biełki oświadczył z całym

spokojem, że „to są tylko słowa, lecz tego niema w księdze, a ja trzymam się tego, co jest w księdze zapisane“.

Biedny Jurko poszedł z kwitkiem.

Po stracie dwu dokumentów było mu zapewne tak, jakby mu kto wyrwał dwa zęby trzonowe. Odjęto mu siłę argumentów procesowych w sporach granicznych, a nadto stracił gotówkę i obywać się odtąd musiał bez... kołdry i poduszek posagowych.

Na jego miejscu jednak zabłysły przed sądem grodzkim złociste rysy dwu dostojników cerkwi wschodniej, Atanazego, władyki przemyskiego i Jakima, metropolity halickiego. Suma bowiem 30 grzywien za rozwiązanie małżeństwa między Jurkiem a Biełką zanadto była poważną, ażeby obaj ojcowie kościoła nie mieli sobie do niej rościć pretensyi. Ponieważ za zapłatę tej sumy ręczył imieniem Biełki Krystko, wójt ormiański, tedy obaj mitraci uczepili się jego. Krystko jednak wręczył pieniądze metropolicie Jakimowi, dostał od niego pokwitowanie na pergaminie z wiszącą pieczęcią i za pośrednictwem swojego zastępcy, Włocha Juliana, uwolnił ją od wszelkich pretensyi.

W ten sposób i władyka Atanazy poszedł z kwitkiem, a nad całą sprawą małżeńską głuche zaległo milczenie. Jurko prowadził dalej swój barwny żywot w Malczycach, procesował się, czasami wraz z inną szlachtą zasiadał na sądzie, rozsądzając sprawy swoich bliźnich, a o Biełce na razie słych wszelki zaginął.

Dopiero w pięć lat później, w r. 1455, wypływa ona w aktach grodzkich znowuż jako antagonistka swojego byłego małżonka. Tym razem ma ona pretensyę do Jurka o 40 kop groszy, pretensyę widać bardzo słuszną, bo Jurko czemprędzej sprzedaje staw swój w Malczycach Stefanowi, właścicielowi młyna na Pełtwi w pobliżu Niskiego Zamku i z uzyskanej ceny kupna każe natychmiast zaspokoić Biełkę.

Czas wszechmogący — wieczny założył pokój między małżonkami.

ZACZAROWANY TRÓJKĄT

W małżeńskim trójkącie jeden tylko węgieł... ten trzeci — jest zawsze zaczarowany. Z niego czar pieśni miłosnej i piorun burzy życiowej, księżycowa rozkosz zastrachana pobliżem śmierci i zimne ostrze wśród radosnego upojenia. W tym trzecim węgle małżeńskiego trójkąta łamią się dusze i narastają zbrodnie, hańba i śmierć, zawsze śmierć okrutna, której wspomnieniem: czasem kronika rodzinna, czasem tajemnice kaźni torturowej średniowiecza.

Ale to wszystko wielkie trójkąty, których trzeci węgieł płonie, jak burza i pożoga życiowa. Lepiej tam na przedmieściu lwowskiem i w tych aktach sądowych[1]), które opowiadają badaczowi o tem, jako się tam rysowały malutkie trójkąciki, ale zawsze zaczarowane, pełne siły nieczystej, dla małżeńskiego węzła tak bardzo niebezpieczne.

Sąd wyrzekał nieraz swe wielkie i poważne słowo przeciwko czarom trójkąta, ale czar kwitł w krainie sadów przedmiejskich — kędy słowik jeszcze śpiewał, roztęskniony gaik i chateńka nizka — ponad falą żyta rój bławatków... szumiał — szmerem, pieśnią — motylem ulatał.

Rzecz się dzieje na przedmieściu Krakowskiem we Lwowie.

Zaraz na trzeciej stronicy księgi sądowej rysuje się malutki trójkącik małżeński. Ale za to jaki nędzny, szary i trywialny. Sąd burgrabski lwowski niemiał snać w r. 1695 najmniejszego poczucia tragiki stosunków małżeńskich, skoro woła dosadnie:

„Jacek Kulawczyk żonę swoją bił, tłukł i kaleczył z podziwieniem wszystkich sąsiadów, a tę nałożnicę zaś swoją, Maryannę Paprocką, szanował i wszelką jej wygodę czynił, a potem, zabrawszy pieniądze i co mu się podobało, z tą małpą precz odszedł“. Mimo całej tępości dla powikłań dramatycznych był sąd burgrabski głęboko przekonany, że w całej tej historyi tkwi istotnie czar i siła nieczysta i temu przekonaniu dał pełny wyraz w wyroku.

Sąd załatwił się przedewszystkiem z kochanką, orzekając, „ażeby za ten swój eksces publiczny u pręgierza *in foro publico* (na rynku) w mieście, *per publicum executorem* (kata) chlustana była, to jest, aby 300 plag rózgami wzięła, a to w przyszły piątek — a potem żeby z miasta wyświecona została“.

Do wyroku tego dodał sąd jeszcze jeden warunek, a mianowicie „zawarował pod utratą szyi, aby też czarami jakiemi, albo naprawą, nie mściła się na dalszem pożyciu małżeństwa“.

Wiarołomny zaś małżonek i amant w jednej osobie usłyszał wyrok, „aby dwieście plag postronkiem przed Zamkiem Niższym poniósł, do którego bicia, wykonania tamże sąd pachołków zamkowych przydawa i to karanie także na przyszły piątek wyznacza“.

W dobrych onych, złotych czasach, snać także nie same tylko słowiki śpiewały...

I nie same róże jeno pachniały... w onych starych, dobrych czasach.

Sentencya burgrabiego, pręgierz i postronek rozwiały czar małżeńskiego trójkąta na przedmieściu Krakowskiem.

Wszystko to dobrze. Ale po co właśnie w tym samym czasie „uczciwa“ Katarzyna Piekarzowa ulokowała się na węgle trójkąta małżeńskiego, po co, nie mając ani żadnych czarów, ani nawet żadnego interesu wobec związku małżeńskiego ponosiła konsekwencye, w tym wypadku bardzo bolesne, „tej trzeciej“, to już zostanie tajemnicą duszy, serca i umysłu kumoszek lwowskich. Faktem jest tylko, że z najczystszych pobudek altruizmu i miłości bliźniego

wlazła między Pawła Niżankowskiego i żonę, wyszła zaś stamtąd mocno zmotłoszona, zesiniaczona, z bardzo silnym defektem warkoczów na głowie.

Co gorsza jednak, kiedy w imię obrażonego prawa i sprawiedliwości pobiegła przed sąd sprawiedliwego burgrabiego przedmieścia Krakowskiego, musiała wysłuchać jeszcze srogiej admonicyi sędziego, a co najgorsza sięgnąć do supełka ze szóstakami celem zapłacenia grzywny.

Możemy sobie wyobrazić, że „uczciwa" Katarzyna Piekarzowa zwłaszcza tę ostatnią czynność wykonywała z uczuciem Piłata, który wlazł w credo, albo człowieka, który niespodziewanie położył zdrową głowę pod ewangelię. Natomiast sąd burgrabski w następujący sposób opisał całą historyę w księdze swojej na wieczną rzeczy pamiątkę:

„W sprawie między uczciwą Katarzyną Piekarzową z jednej, a Pawłem Niżankowskim, szewcem, pozwanym z drugiej strony o to, iż pozwany żonę swoją bił prawie na umor, o co gdy Katarzyna Piekarzowa z politowaniem ujęła się o nią i perswadowała mu, aby jej nie bił i ratowała ją, a pozwany, porzuciwszy żonę, zabijał oną (Katarzynę) i włóczył ją, porwawszy za włosy, aż do samego progu domu swego i tam znowu... jeszcze lepiej bił..."

„Lubo zaiste Katarzyna Piekarzowa pozwanemu dała okazyę do hałasu, swojej zniewagi i bicia, jednakże pozwany, jako mężczyzna, powinien być baczniejszy i rozumniejszy, nie powinien był sobie sprawiedliwości z niej czynić... za czem sąd winnym go być uznawa i nakazuje, aby za ten swój nieuważny postępek poszedł do więzienia jutro z rana i one przez dzień cały i noc wykonał, a nadto Katarzynie Piekarzowej zapłacił grzywien trzy, a sądowi grzywien półtory".

„A iż Katarzyna Piekarzowa, nie mając żadnej krzywdy z tego, iż pozwany żonę swoją bił, a ona się przecie wmięszała do tego i dała okazyę do owego pobicia, a jego zniewagi — ma pozwanego, po wyjściu jego

z więzienia, przeprosić i zapłacić półtora grzywny jemu, a sądowi jedną grzywnę“.

Nie wiadomo, ile jeszcze lat żywota pisanych było Katarzynie Piekarzowej, ale że od trójkątów małżeńskich zaczarowanych i bolesnych stroniła wytrwale i konsekwentnie, to chyba pewna.

II.

FILOZOF I JEGO TEŚCIOWA



DOMY PODCIENIOWE NA TARGOWICY

Mimo rozlewnego spokoju na twarzy i baczenią aż na dno spraw ludzkich, nie mógł nigdy Sebastyan Petrycy spojrzeć spokojnie na trzypiątrową kamienicę w rynku lwowskim, tuż naprzeciwko głównej bramy ratuszowej[3]). Za dużo miała dla niego wspomnień ponura sala, gdzie w trzysta lat później szynkować miał piwo śp. Tomasz Najsarek i jego następca p. Bechtlof, a ze wszystkich gzymsów i ozdób w kamieniu rzezanych padały długie cienie wspomnień aż wprost w samo serce ojca polskiej filozofii. W tej bowiem kamienicy, zwanej powszechnie naonczas Froncfenikowską, ujrzała światło dzienne jego małżonka, stąd wyprowadził ją przedni tłumacz „Polityki“ Arystotelesowej na wspólną dolę i niedolę, tędy chadzał później z trojgiem małych dziatek na chleb i piwo do ojców swojej żony, a dziadów swoich dzieci, tutaj się — krótko niestety — radował szczęściem swojem uczciwem i przystojnym statkiem.

Roku pańskiego jednak 1597 wszystko to było i wszystko to przeszło. Teraz w starej kamienicy Froncfenikowskiej siedziała jeno teściowa jego, o której Sebastyan Petrycy myślał jako o smoku ognistym i biblijnym lewiatanie, jako o strasznej maszkarze, która nocami sen z jego oczu płoszyła i której bał się bardziej, niż apokaliptycznej bestyi, więcej nawet, niż mąk czyścowych.

Uczeń i wielbiciel wielkiego Stagiryty spotykał obecnie „mamę“ swoją wówczas tylko, gdy ze zwitkiem papierów pod pachą spieszył do ratusza na rok gajony sądu

ławniczego. Właśnie o tej godzinie i na tenże sam termin wychodziła z kamienicy Froncfenikowskiej pani Anna i tam na sali ławniczej, przed obrazem sądu ostatecznego, stawali oboje, a nie było między zięciem a teściową cieplejszego spojrzenia, ani powinowactwa nie było nijakiego między filozofem, a mieszczką...

Były tylko dwie strony zajadle sporujące: *„Excellens dominus Sebastianus Petricius, medicinae doctor“* i wdowa Anna Wenigowa.

Spór między mężem sławnym już wówczas i znanym ze swojego rozumu i dobroczynności, a mieszczanką lwowską wyrósł, jako chwast szary na grobach, a tłem mu były zamarłe echa miłości i poszarpane strzępy związków rodzinnych.

Nieboszczyk Franciszek Wenig, krócej Francwenigiem, albo szczerze po polsku Froncfenikiem zwany, kupcem był znamienitym i dostatek posiadał wielki. W domu mu kwitło dzieci kilkoro, a w tem syn Stanisław ochotę do nauk okazujący i pod matczynem okiem pani Anny piękna jedynaczka, również Anna. Ku niej to rozgorzało miłością serce pana Sebastyana Petrycego.

Urodzony w Pilźnie, wykształcony w Krakowie i Padwie, magister akademii jagiellońskiej [4]), doktor filozofii i medycyny, wielki znawca filozofii Arystotelesa, upodobał sobie Lwów ponad inne miasta. Wiedział, że „w Poznaniu są poważni, we Lwowie wymowni, a w Krakowie ludzcy ludzie“ — ale wśród tych wymownych, najwymowniej mu przemówiła do serca panna Anna Froncfenikówna. Gorliwy wyznawca estetyki Arystotelesowej dojrzał, że Hanuchna, jak nikt inny posiadła wszystkie warunki piękności, albo raczej „wdzięczności“, pochodzącej „z przystojnego ruchania rąk, kinienia głowy i wdzięcznego oczyma obracania“ — a te przymioty panieńskie razem wzięte i każdy z osobna podziałały na filozofa tak rozczulająco, że piękną Annę, nie namyślając się długo, poprowadził do ołtarza.

Jeżeli mamy wierzyć, że nasz uczony stosował swoje teorye filozoficzne także i w życiu praktycznem, to

gniazdko rodzinne polskiego Arystotelika odpowiadało temu, co sam napisał, że „obiciem i obrazami dom ochędożać jest rzecz przystojna i potrzebna, a to jest pożyteczno dla żony i dla córek dorosłych, aby się niebezpiecznymi przechadzkami nie bawiły“. — Być też może, że przekonał żonę swoją, aby nie była taką, „jako wiele na świecie żon jest błaźnic, co wszędzie jako pawy przejeżdżają się po rynku, po kościelech, po ulicach, ukazując malowane pierze, to jest ubiór wymyślny“.

Z tem wszystkiem jednak szczęście małżeńskie Sebastyana Petrycego było bardzo krótkotrwałe. Żona zmarła mu rychło, zostawiając troje sierót, synów Jana Sebastyana i Gabryela, oraz córeczkę Zuzannę. Niebawem zmarł także i stary Froncfenik, a tak filozof stanął twarzą w twarz ze swoją teściową.

Jak ogół mieszczek lwowskich onego czasu, posiadała i Anna Froncfenikowa całą tęgość i obrotność kobiety, zdolnej stawić czoło wszelkim burzom i nieszczęściom życiowym. Przemyślna, kuta na wszystkie cztery nogi, tak samo jak razem z mężem ciężką i twardą pracą umiała się dorobić majątku, tak też po jego śmierci potrafiła oganiać się wierzycielom, dusić twardo dłużników i z mężowskiej spuścizny nie uronić ani krzty na rzecz niczyją, nawet własnych dzieci. Bo ona była panią domu, gospodynią aż do ostatniej chwili życia, jej była wszystka praca i majętność i domowy dostatek, a chociaż prawo spadkowe i wilkierze miejskie mówiły inaczej, to pani Anna o to wcale nie dbała, a dla wszelkich przepisów prawnych miała zresztą prawdziwie kobiecą pogardę.

Inaczej jednak patrzył na rzecz Sebastyan Petrycy. Wiedząc, że mu ostatecznie niedługo przyjdzie popasać we Lwowie, zażądał imieniem dzieci swoich sporządzenia inwentarza spadkowego po Froncfeniku i wydzielenia prawnie się im należącej części.

Na to pani Anna, jeżeli mamy zaglądnąć do skrytości jej ducha, rzekła sobie zapewne: poczkajże! — niedoczekanie twoje! — ale na razie postanowiła politykować z filozofem. Zgodziła się pozornie na inwentarz,

zaprosiła w tym celu, jako świadków, dwu rajców z ratusza, Przeździeckiego i Szolca i wespół z Petrycym poczęli spisywać spadek. Zgoda przytem panowała i najzupełniejsza harmonia, a rajca Szolc, jako świadek, z całem rozczuleniem opisał ten familijny obrazek: jako Anna wszystkie dobra pokazowała, jak pan Sebastyan, doktor, na wszystko kiwał głową. „Była tam różność o kobierce— opowiadał — że panu doktorowi zdawała się być za niska taksa onych; wszakże potem pan doktor sam zdeklarował się, iż ja pieniądze dam za te kobierce według taksy, a kobierce wezmę do siebie. Upominał się także, że nie wszystkie rzeczy do inwentarza podała, na co mu odpowiedziała, że wszystkie do najmniejszej rzeczy. I jakechmy tam — kończy z entuzyazmem świadek — przy tym akcie pięknie i nadobnie siedzieli, takechmy się też i w zgodzie rozeszli, że nie trzeba było lepiej, gdyż u pani Froncfenikowej, wespół z panem doktorem, byliśmy na chlebie, także i dziatki jego tam były“.

Niebawem jednak przekonał się Petrycy, że sielanka ta familijna nie ma żadnego praktycznego znaczenia i zainscenizowaną została przez chytrą mieszczkę raczej gwoli zamydlenia oczu światłemu zięciowi. Przez trzy lata bowiem nie stało się nic takiego, coby mogło wskazywać, że filozof uszczknie coś niecoś z masy spadkowej tak, że ostatecznie zrozumiał on, że jest srodze wykiwany i że mu nie zostaje nic innego, jak „nie okazać się nazbyt pochyłym i nie dać na sobie przyschnąć despektowi“. Wniósł tedy do sądu ławniczego na ratusz uroczysty pozew przeciwko własnej teściowej z żądaniem urzędowego inwentarza i przypadającej mu części spadku.

Od tej chwili rozpoczęło się dla nieszczęsnego filozofa pasmo gorzkich utrapień i zgryzot. Pani Anna bowiem stanęła do prawa z całym kobiecym uporem i arsenałem kobiecej logiki. Na każdy argument prawny doktora miała dziesięć innych argumentów, nie szczędziła żadnej zatrutej strzały, jeżeli było można nią przeciwnika bodajby tylko ukłuć, a gdy już wszystkie cytaty z powag prawniczych i kodeksów były wyczerpane, gdy już nie było

można w żaden sposób nakręcić odpowiednio ani prawa niemieckiego, rzymskiego, kościelnego, ani też znaleźć stosownych zdań komentatorów — wtedy podnosiła Anna Froncfenikowa gwałtowny lament i płacz, wołając w niebogłosy, że się krzywda dzieje ubogiej wdowie i samotnej kobiecie.

Sebastyan Petrycy walczył zrazu przez zastępców prawnych. Widząc jednak, że z babą niełatwa sprawa, stanął w szranki osobiście, olbrzymiej swojej wiedzy używał na redagowanie pism spornych, które sam wobec sądu odczytywał i do ksiąg wnosił. Ale i tutaj czuł wielki uczony i myśliciel, jak go teściowa coraz silniej do muru przypiera...

I gorąco poczynało być doktorowi filozofii i medycyny, magistrowi sztuk wyzwolonych — spokój filozoficzny coraz go częściej opuszczał i coraz częściej z Olimpu prawnego musiał schodzić Sebastyan Petrycy na poziom kłótni i... lirycznego wymyślania.

Bo jemu, który przez lat wiele już wykładał w Krakowie logikę Arystotelesa, zarzucała lwowska kumoszka... właśnie brak wszelkiej logiki w rozumowaniu — jemu, który politykę, ekonomikę, retorykę wielkiego Stagiryty miał w małym palcu, wciąż wykazywała własna teściowa najrozmaitsze sprzeczności i kontradykcye, dowodząc, że myśleć nie umie porządnie... Sebastyan Petrycy!

I tak zjadliwie przytem nazywała swojego zięcia „panem doktorem“ i tak mu przytem na każdym kroku wypominała, że jest babką jego dzieci!

A on tymczasem z wielkim nakładem trudu myślowego tłumaczył, że „nie godzi się to, co jest wspólnego sobie przywłaszczać“ i że jemu przystoi, „co jest własnego, nie dać sobie odejmować“. Napróżno jednak tłumaczył upartej kobiecie, że „inwentarz uczyni wszystkim dobrze i moim i jej dzieciom“. Na perswazye bowiem miała „uboga wdowa“ jedną tylko odpowiedź: „aby od takich wywodów wedle prawa jasnego i sądu sprawiedliwego wolną była“, bo przecież jej synowie i córki, którzy też mają swoje lata, nie czynią tego i żadnego inwentarza nie żądają.

Z wielu wniesionych do ksiąg ławniczych ekscepcyi, impugnacyi, reimpugnacyi, konfutacyi i tp. wynika niedwuznacznie, że słuszność i prawo było po stronie Sebastyana Petrycego. Dlatego też i wyrok sądu ławniczego wypadł na jego korzyść, a gdy Froncfenikowa udała się z apelacyą do sądów nadwornych, przyznał i dekret królewski w r. 1598 sprawę filozofowi.

Mimo to jednak proces nie skończył się wcale, lecz po wpisaniu do ksiąg dekretu królewskiego, rozgorzał na nowo, jakby ze siłą zdwojoną. Pani Anna bowiem zarzuciła zięciowi swojemu nieuzasadnione niczem pieniactwo i zażądała od niego kaucyi, celem ewentualnego pokrycia kosztów procesowych. Petrycy bowiem — rozumowała z kobiecą logiką — nie posiada w mieście żadnego majątku nieruchomego i w danym razie może, przegrawszy proces, uciec ze Lwowa!

Tego już było filozofowi za wiele! Niedość, że on był stroną wygrywającą, niedość, że miał za sobą dekret królewski — to jeszcze żądają od niego kaucyi na wypadek przegrywania procesów! To też w słusznem oburzeniu zawołał w jednem z pism spornych, że na niego „to podejrzenie nie pada, ponieważ jest *honesta persona* i nie przystałoby mu to, aby on, pociągając kogo do prawa, nie miał się komu usprawiedliwić. Powtóre, że jest posesyonatem, albowiem nie jest gołota. Bo aczkolwiek nie ma własności nieruchomej, wszakże ma takie dobra ruchome, którychby w torbie zanieść nie mógł“.

Widząc, że z kaucyą nie da się nic zrobić, uderzyła teściowa niespodziewanie w strunę liryczną. Ze łzami w oczach zapewne i rozdzierając szaty swoje, poczęła wołać, „aby pan doktór wspomniawszy na dobrodziejstwa, których znacznych w tym domu doznał — sam — któryby jeszcze obroną w sieroctwie jej miał być — matkę żony swojej w prawie jej nie naruszał“.

Otóż ubrał się dyabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni — mógłby był krótko odpowiedzieć Petrycy — gdyby chciał być trywialnym wobec teściowej. Ale on zastrzegł się tylko stanowczo przeciw takim przyjaciołom,

„którzy mu znaczne dobrodziejstwa (ach niestetyż na takie dobrodziejstwa!) świadczyli“.

Teraz dopiero wyjechała pani Anna ze wspomnieniem rozczulającej idylli rodzinnej, która odbyła się w jej domu przed trzema laty. Poczęła tłumaczyć sądowi, że właściwy inwentarz, o który chodzi Petrycemu, już jest gotowy i dokonany został „zwyczajem miasta tego, który się dochowywa w domach uczciwych“, a Petrycy „pospołu przy inwentarzu był, rzeczy należące do inwentarza rewidował“ i sam inwentarz czytał.

Przypomnienie familijnego kawału, na który dał się wziąć Petrycy, wyprowadziło go snać ostatecznie z równowagi, bo niedelikatnym być począł uczeń wielkiego Stagiryty. Wyraził zdziwienie, że pani Anna „nie wstydzi się mówić tego, co jest nieprawdziwe“, boć przecież on „nie miał inwentarza tak wiele, coby go mógł przeczytać... i półćwierci godziny nie był u niego w ręku“. — A zresztą inwentarz, dokonany wśród tumultu domowego i przy kuflu piwa — nie mógł mieć, zdaniem filozofa, żadnego znaczenia prawnego.

Teraz znowu skoczyła pani Anna, jakby żądłem jadowitem ukłuta. Wspomnienie rodzinnej libacyi uznała za osobistą obrazę nie tylko swojej osoby, ale i panów Szolca a Przeździeckiego, którzy brali w niej udział, jako świadkowie. To też z wielkiem oburzeniem wołać poczęła: „komu tu pan doktor przymawia? — czy wdowie uczciwej, matce i dobrodziejce swej, znanej w całem mieście ze wszelakiej abstynencyi, stateczności i trzeźwości — czy też zacnym ludziom, którzy byli przy inwentarzu — urzędnikom miasta tego?“

Z tem wszystkiem jednak proces, przeszedłszy wszystkie fazy proceduralne, zbliżał się już do ostatecznego rozwiązania. Przed samym wyrokiem żałość pani Anny wzmagała się i naostatek wybuchła patetycznym strumieniem. „Z żalem bowiem niemałym patrzy ona na tak wielką niewdzięczność uprzejmych chęci i uczynności swych, które w oczach wszystkich znaczne były i są w pamięci wielu. Na tem teraz miejscu więcej nie wspominając, Panu Bogu

żal swój oddaje. Wszak Waszność wszyscy patrzyli, jakie chęci i uczynności przez wszystek czas w domu jej pan doktór doznawał i do tego czasu, najmniejszej krzywdy nie zaznał".

Ichmość ławnicy jednak byli innego zdania. Wyrok wypadł znowu na korzyść dra Sebastyana Petrycego, a kiedy niezmordowana i nieustępliwa wdowa poszła na nowo do Warszawy z apelacyą, doczekała się w r. 1599 nowego dekretu królewskiego, w którym jej nakazano, ażeby, według życzenia zięcia swego, przystąpiła do sporządzenia inwentarza spadkowego.

Nie znałby jednak wcale dawnego przewodu sądowego ten, ktoby myślał, że dwoma tymi dekretami królewskimi sprawa między zięciem, a teściową zostata ostatecznie załatwioną. Bo zaraz prawie na następującej stronnicy po wpisie dekretu królewskiego znajdujemy w odnośnej księdze ławniczej taki żywy rozgwar w sprawie nieszczęsnego inwentarza, jakby rzecz dopiero co weszła na roki sądowe. Strony sporujące i ich prokuratorowie roztrząsać poczęli na nowo wszystkie szczegóły z zawziętością i maniactwem psa, który, kręcąc się w kółko, pragnie koniecznie uchwycić własny ogon.

Nagle gwar umilkł i na sali sądowej zrobiła się cisza. Wójt miejski rozpoczął przesłuchiwanie świadka, którego nazwisko wpisał pisarz jako *dominus Stanislaus Wenicius, artium baccalaureus.*

Któż był ten Wenicius, bakałarz sztuk wyzwolonych? Oto całkiem poprostu Stanisław Wenig, rodzony syn pani Anny, który zjechał prosto z Krakowa, ażeby dać świadectwo w sprawie swojej matki i szwagra. Słuchano z uwagą, gdy opowiadał, że on, na równi z Sebastyanem Petrycym spadkobierca Froncfenika, nie chce, ani potrzebuje żadnego inwentarza spadkowego, ale woli, ażeby cały majątek został przy matce, która „nieboszczykowi ojcu wielką była pomocą w zbieraniu majętności".

Słuchała go pani Anna z matczynem rozrzewnieniem, słuchał dr. Sebastyan Petrycy, może trochę za-

wstydzony, a Stanislaus Wenicius, rzekłszy swoje, ustąpił z sali sądowej.

Z nim razem wyszedł też ze sądu trzyletni spór między zięciem a teściową i nie wrócił więcej. Jakby piorun trzasł we wszystkie argumenty prawne, tak one od razu umilkły i taka się zrobiła cisza dokoła wielkiego filozofa i jego wymownej teściowej.

— — — — — — — — — — — — —

Po pewnym czasie znajdujemy dra Sebastyana Petrycego w drodze do... Lotaryngii. Jechał tam tłumacz Arystotelesa i zięć pani Anny, jako przyboczny lekarz biskupa krakowskiego i kardynała Bernarda Maciejowskiego.

III.

MEDYCYNA CECHOWA

Naturalnie nie może być mowy o rzemiośle, ani o cechowem jego wykonywaniu przez „pany-medyki“, którzy z uniwersytetów w Bononii, Padwie, Paryżu przynosili do starego Lwowa wiedzę lekarską i doktorskie dyplomy. A było takich wielu *„medicinae doctores“*, tak wielu, że aż to zaszczyt przynosi starej kulturze i cywilizacyi lwowskiej. Co bowiem tylko było wielkiego i monumentalnego w dawnym patrycyacie lwowskim, co pozostało wspomnienia o dobrym rządzie dawnego Lwowa, o jego konsulach z lwiem sercem a kupiecką głową, to z pewnością odnosi się w mniejszej lub większej mierze do lekarzy, których tłum mianował z uszanowaniem „panowie medyki“.

W katedrze lwowskiej, z kaplicy pierwszej po lewej ręce, patrzą po dzień dzisiejszy dwa twarde i dumne oblicza lekarzy lwowskich, Pawła i Marcina Kampianów, z muru kaplicy Boimów spogląda dobra, stara twarz dra Dziurdzi Boima, co kości czołowe „na krzyż rzezał“ z wielką wprawą i umiejętnością. I innych wielu jeszcze lekarzy zapamiętały dzieje ratusza lwowskiego, bo na nim co drugi burmistrz prawie to... lekarz.

A byli ci dawni lwowscy lekarze równocześnie i prawie zawsze kupcami i to hurtownymi kupcami wołów, sukna, towarów wschodnich i czem tylko handlował Lwów w szesnastym i siedmnastym wieku, byli wreszcie świadomi rycerskiego rzemiosła, szablą tak dobrze władając, jak i lancetem.

Obok zaś tych potentatów, patrycyuszów, szara brać

chirurgów, cyrulików i balwierzy zaszywała łby w zwadzie karczemnej pokiereszowane, puszczała krew z wiosną, goliła żywych dla piękności a umarłych do trumny, stawiała pijawki etc. Tyle się tych chirurgów namnożyło we Lwowie, że już od roku 1512 tworzą osobny cech — *chirurgorum et barbitonsorum,* mają w niebie swego opiekuna w osobie św. Rocha, patrona zarazy morowej, któremu też ołtarz w katedrze utrzymują wraz z pewną ilością fundowanych nabożeństw.

I jeszcze jedno było bractwo, dbające o zdrowie swych bliźnich, t. j. aptekarze, czyli, jak ich podówczas powszechnie nazywano, aromataryusze. Tylko, że zakres ich działania był o wiele szerszy, niż dzisiaj, a sam proceder bardziej patryarchalny, bo taki aptekarz dryakwie swoje, zioła i eliksiry sprzedawał najchętniej w budach jarmarcznych pod ratuszem, a oprócz ziół lekarskich sprzedawał także pieprz, cynamon, wyrabiał cukry i marcypany a także i świece woskowe.

Nic dziwnego też, że trzy te pokrewne zawody żyły z sobą na ustawicznej stopie wojennej, a stare akta radzieckie pełne są ich wzajemnych pozwów, reprotestacyi, prekustodycyi, duplik etc. Czasem chirurgowie zamiast puszczać krew cierpiącej ludzkości, upuszczali jej sobie wzajemnie w zwadach i bitkach, wywołanych konkurencyą zawodową. Zwady te dochodziły niekiedy do tego stopnia, że zagrażały wprost bezpieczeństwu publicznemu, jak np. w r. 1601, kiedy to magistrat musiał założyć *vadium,* to jest zakład między walczące strony, nakazując im zachować spokój aż do dekretu sądowego i to pod karą 50 marek na stronę, która się ekscesów dopuści.

Natomiast stawał cech chirurgów zgodnie jak jeden mąż, ilekroć „panowie medyki“ pragnęli ukrócić jego prawa. Sławny był z początkiem XVII. w. we Lwowie proces, kiedy doktorowie medycyny uzyskali dekret królewski na aptekarzy i chirurgów, że mają im corocznie zioła przeglądać i apteki rewidować. Zawrzało wtedy między chirurgami, jak w ulu. Co też doktor, teoretyk może się rozumieć na chirurgii — wołają w proteście — my obzna-

jomieni z praktyczną fizyką (*practica physica*) lepiej się na niej rozumiemy i nie pozwolimy sobie rewidować oficyn! Ufni w swoje poświęcenie zawodowe, nie chcą się poddać żadnej kontroli, „gdyż my *pacis et belli tempore*, zawsze prace *continue* podejmujemy, którychby się nie ważył żaden pan doktor, co się i teraźniejszej ekspediciej moskiewskiej jaśnie pokazało, jako z niektórych, profesyi swojej, nie mało gardłem zapieczętowało".

Lekarze znowu uznali, że protestacya ta jest „uszczypliwie pany medyki tykająca" i nie szczędzili chirurgom nawet cytat z Dodimusa, że są oni tylko lewą ręką lekarza, podczas gdy aptekarze stanowią jego prawicę.

Nie zawsze jednak zgoda panowała i między lekarzami a aptekarzami, którzy także bronić musieli swoich przywilejów, niejednokrotnie procesami. „Pan doktor Grozwajer Marcin, czytamy w jednym akcie procesowym — nie *medicamenta*, jako lekarz, ale manualną robotą, co się panom aptekarzom należy, bawi się, gdyż świece rozmaite, korzenie wenalne, marcypany, wódki, cukry *et id genus* sprzedaje, a także handluje pieprzem, szafranem, cynamonem, gwoździkami i innymi korzeniami".

O ile jednak rozgoryczenie aptekarzy na dr. Marcina Grozwajera było słuszne ze względów konkurencyjnych, o tyle wprost oburzenie zapanowało na doktora medycyny uniwersytetu w Padwie, Stanisława Castellego, który założył sobie we Lwowie pracownię balwierską i golił ludziom brody, a puszczał krew z wielkiem powodzeniem. Cech chirurgów pozwał go o bezprawne wykonywanie rzemiosła i zażądał, aby się wpisał do cechu i poddał się cechowemu egzaminowi. W odpowiedzi na to woła Castelli z sarkazmem: „Cyrulicy cechowi nie mogą tego egzaminować, którego akademia *publice* egzaminowała. A cóż mi za sztuki, co za egzamen cyrulicy cechowi czynili, pytam? Brzytwę każdy z nich robił, albo się tej roboty odkupił! Zaprawdę, nie lada egzamin i promocya! Każdy ślusarz i kowal brzytwę zrobi i wyostrzy!"

Niechże sobie pan doktor Castelli goli ludzi brzytwą, którą mu kowal wyostrzy, ale do cechu mimo to należeć

musi. Tego samego też zdania był i magistrat, który kazał się oponentowi koniecznie zapisać do cechu.

W dobrych czasach cech chirurgów dbał bardzo o doskonałość swojego rzemiosła. „*Interest magistratui,* czytamy w jednym akcie, aby w rzemieśle cyrulickiem byli ludzie godni, wyćwiczeni, którzyby mogli wydołać profesyi swojej, a ludzi ratować, nie zabijać nieumiejętnością swoją. *Imperfectus enim medicus, perfectus est homicida.* W cyrulickiem rzemieśle, które zdrowie ludzkie piastuje, potrzeba ludzi umiejętnych“...

Przyszły jednak czasy, że razem z wielu innymi zawodami i chirurgia we Lwowie upadła. Schodzi się to przypadkowo z czasem założenia we Lwowie osobnego cechu cyrulików żydowskich. Odtąd konkurencya przybiera formę kwestyi, kto ma golić zmarłego chrześcijanina, chirurg żydowski, czy katolicki? Również i między samymi żydami konkurencya przybrała takie formy, iż musiał wkroczyć urząd podwojewodziński i wydać rozporządzenie, które ze względu na jego charakterystyczne szczegóły w całości powtarzamy:

„Ponieważ niemała lukta i kłótnia dotąd między cyrulikami żydowskimi była i częstokroć do urzędu podwojewodzińskiego dochodziła kwerymonia, że zwykli stać przede drzwiami swemi i jeden od drugiego przychodzących ludzi do golenia odwoływali, niektórzy obiecując po dwa szelągi golić i z tej okoliczności złość przeciw jeden drugiemu, zelżenia, poswary, kłótnie wynikały a przez to niespokój bywał na urzędzie — więc urząd podwojewodzi, zabiegając tym niesnaskom między pomienionymi cyrulikami, raz na zawsze postanawia i przykazuje surowo, aby odtąd nikt, to jest żony, dzieci, lub czeladź nie ważyli się stać przed drzwiami i jeden od drugiego odwoływać ludzi, przychodzących dla golenia, lub krwi puszczenia, zgoła żadnej przeszkody w rzemieśle swojem jeden drugiemu czynić nie powinien pod winą za każdym razem grzywien nieopustnych pięcią, komuby świadkami dowiedziono było“.



NA ODWACHU GWARDYI NARODOWEJ
(obraz Kossaka Juliusza).

IV.

SŁOŃCE, MIESIĄC I KORONA

Pamiątki i historyczne wspomnienia kryją się we Lwowie przeważnie pod ziemią. Raz jednak i to w r. 1907 nie pod ziemią, ale na samym szczycie cerkiewnej wieży św. Pietnic znaleziono coś, co przypomina dawne czasy. Były to mianowicie okurzone i odrapane resztki fryzu, który zdobił ongi ostatnią, tuż pod samą kopułę podchodzącą, kondygnacyę wieży. I jakikolwiek, pod względem artystycznym, jest ów fryz szczytowy, który odkryty został przy restaurowaniu wieży wspomnianej cerkwi, chociażby nawet rodzajem swoim wkraczał najbardziej w dziedzinę bohomazu, to jednak wypisana nad nim data „1643“ kazała z uszanowaniem patrzeć na główki aniołków z resztkami zielonych skrzydeł, na nieokreślonej już barwy kwadraty ornamentacyjne i takież półkoliste pasy nad oknami.

Jak zwykle we Lwowie, tak i w tym wypadku odkrycie dokonane zostało przy sposobności demolacji. Wieża cerkwi pietnickiej przy ulicy Żółkiewskiej, razem z swoim dziwacznym kapturem na szczycie, zarysowała się do tego stopnia, że postanowiono ją rozebrać i postawić nową. Po zdjęciu jednak kopuły, której okap spadał na ściany wieży, jak skrzydła kapelusza dawnego autoramentu, pokazało się po pierwsze, że szczyt wieży ozdobiony jest malowanym fryzem fresko, powtóre, że attyka szczytowa o łukach pseudo romańskich na renesansowych pilastrach jest wcale ciekawym i pięknym zabytkiem architektonicznym, a po trzecie, że zarysowanie muru nie jest znowu tak wielkie, żeby koniecznie trzeba było burzyć całą wieżę.

Komisya z ramienia magistratu i konserwatorów orzekła wobec tego, że wieżę należy zostawić w spokoju, zakonserwować fryz na jej szczycie, a dodać tylko kopułę ośmioboczną z czterema wieżyczkami po bokach, trochę podobną jak na wieży cerkwi wołoskiej i zegar wieżowy dla wygody publiki.

Tak więc pyzate aniołki o zielonych skrzydłach uratowały wieżę, która od przeszło 250 lat króluje na żółkiewskiem przedmieściu, a zarazem zwróciły uwagę na samą cerkiew, kryjącą we wnętrzu swojem jeden z najwspanialszych na ziemiach ruskich pomników sztuki cerkiewnej, ikonostas z XVII. wieku.

Przedewszystkiem jednak zwraca uwagę sama nazwa cerkwi: „cerkow światoji Piatnyci". Znajduje się ona pod wezwaniem św. Praksedy, czyli Paraskewy, a uczony ks. Petruszewicz wywodzi, że świętej tej był poświęcony specyalnie dzień piątkowy, skutkiem czego i sama święta w potocznej mowie stała się „św. Piatnycią", jak u łacinników nazywa się ona *sancta Venera* z tego powodu, że piątek po łacinie to *dies Veneris.*

Równie oryginalny, jak nazwa, jest i początek cerkwi św. Praksedy. Akta znają ją od roku 1607, w roku zaś 1634 wymieniona jest ona między lwowskiemi cerkwiami kryłoszańskiemi.

Zbudowana częściowo z kamienia łamanego, a częściowo z muru ceglanego, zmieniła cerkiew szatę swoją zewnętrzną doszczętnie w r. 1885, w czasie ówczesnej restauracyi. Pozostawiono wtedy mianowicie naturalny kamień własnemu losowi, mur zaś ceglany zastąpiono naśladownictwem w wyprawie kamienia łamanego. Zresztą jest to cerkiew jednonawowa, z absydą zakończoną wielobokiem, a dawny jej cmentarz, niżej od poziomu ulicy Żółkiewskiej leżący, dziś trawą zarosły i jako boisko dla wielkanocnych „haiłek" używany, dużo jej daje sielskiego uroku i barwy. Pozatem wybitniejszych wspomnień dziejowych nie posiada cerkiew św. Paraskewii, ani naukowego opisu. Dzieliła los miasta i przedmieścia żółkiewskiego, pozostałe zaś resztki strzelnic na ścianie między

nawą a absydą świadczą, że należała ona do typu świątyń warownych. Obronność jej jednak nie była zbyt wielką, skoro ani razu nie zdołała się obronić nieprzyjacielowi i kilkakrotnie w ciągu swego istnienia padała pastwą wojny i pożogi.

Data 1643., wymalowana na wspomnianym u wstępu fryzie szczytowym, jest prawdopodobnie datą ukończenia budowy. Obok tej daty posiada cerkiew pietnicka wyrytą na kamieniu historyę swoją w formie płaskorzeźby nad drzwiami wchodowemi.

Jest tam w kamieniu wykuta głowa bawołu, w otoczeniu zaś księżyc, słońce i korona, pod którym charakterystyczny napis: *„Sołńce, misiać i korona—sija trojca nasza oborona“*.

Jest to herb hospodarów mołdawskich, a sam napis powiada niedwuznacznie, że ci, którzy ongi w tej cerkwi się modlili, w herbie tym większą pokładali ufność, aniżeli w strzelnicowych otworach. Jakoż rzeczywiście herb ten powiada wszystko o ludziach, fundatorach, budowniczych, o budynku i o tem, czyim kosztem on wzniósł się w początkach siedmnastego wieku. I gdyby nie było nawet żadnych innych śladów historycznych, to sama ta tablica kamienna starczy za wszystkie świadectwa, tak jest wymowna i wiele mówiąca.

W chwili, w której według wszelkiego prawdopodobieństwa kładziono kamień węgielny pod dzisiejszy budynek cerkwi pietnickiej, siedział na niebezpiecznym tronie hospodarów mołdawskich Miron Barnowski Mohyła, pan zacny, sprawiedliwy i wielki budowniczy cerkwi i monasterów po miastach i ustroniach mołdawskich, niezapomniany fundator cerkwi wołoskiej we Lwowie. Wzniósł wielki monaster w Jassach, monaster Hanguł w górach, niedaleko Pazyszte, monaster Dragomirna niedaleko Suczawy, leśny monaster Bernowa i to wszystko w ciągu ośmiu lat swojego panowania. Kiedy zaś pospolitym obyczajem hospodarów mołdawskich naonczas, uciekać musiał z życiem swojem do Polski i osiadł w Uściu, niedaleko Buczacza, zakwitł jego zapał cerkiewny głównie na Rusi

lwowskiej, kędy jego sumptem dźwigała się cerkiew stauropigialna i cerkiew św. Paraskewii na przedmieściu żółkiewskiem.

Pokusiwszy się raz jeszcze o zdobycie tronu mołdawskiego, opuścił spokojne Uście, porzucił indygenat szlachecki, którym go obdarzyła Rzeczpospolita i pojechał do Konstantynopola, aby wyjednać u Porty swoje zatwierdzenie na tron. Zamiast tronu jednak został skazany na śmierć i ścięty w obliczu Padyszacha i całego Dywanu.

Następcą Barnowskiego był Mojsej Mohyła, „łagodny i potulny jak baranek". Oczywiście. że z takimi przymiotami nie miał on co robić na ociekającym krwią tronie i wnet, już nie jak baranek, ale jak chyży zając uciekać musiał do tego asylu władców mołdawskich, jakiem podówczas była Polska. Osiadł w Wielkich Oczach pod Jaworowem i żył tu spokojnie aż do śmierci w r. 1660[5]). On też jest niewątpliwie również „obroną" Rusi lwowskiej i dalszym fundatorem cerkwi pietnickiej wraz z całem jej urządzeniem, a przedewszystkiem ikonostasem.

Dziwną jest rzeczą, że wśród klęsk, które nawiedzały Lwów i jego świątynie, zdołał się zachować ikonostas, będący obok ikonostasów bohorodczańskiego i rohatyńskiego, jak już wspomniano, jednym z najwspanialszych pomników sztuki cerkiewnej XVII. w. Olbrzymich, imponujących wprost rozmiarów, zawiera on około 70 obrazów, których kompozycya, wykonanie, koloryt zostały przez znawców ocenione, jako jedne z najlepszych okazów sztuki bizantyńskiej, liturgiczna zaś ścisłość w ich rozmieszczeniu sprawia, że ikonostas pietnicki uchodzić może za wzór tego rodzaju. Znajdujemy tam bowiem wszystko, co dla ikonostasów nakazuje liturgija wschodnia. A więc w dolnej części (*deizus*) dwa wspaniałe obrazy *namistne*, tj. Chrystusa i Matki Bożej, obok carskich wrót, przy drzwiach zaś dyakońskich prześliczne *praznyczki*, to jest obrazy wyjmowane w czasie odpustu i wykładane na tzw. tetrapodzie ludowi do całowania.

W drugiej kondygnacyi, w samym środku przedewszystkiem wspomniana kompozycya *Chrystos archijerej*

tj. Chrystus błogosławiący, po obu bokach zaś dwunastu apostołów. W trzeciej znowu kondygnacyi obrazów na środku pomieszczone jest „złożenie Chrystusa do grobu“. I w tym jednym szczególe odróżnia się ikonostas pietnicki od typu przepisowego, gdyż zwykle w tem miejscu bywa *Premudrost*, to jest obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Szczyt sam tego iście niezrównanego dzieła sztuki wieńczy obraz Chrystusa Zmartwychwstałego.

Pochodzenie ikonostasu jest nieznane, a wogóle samo to dzieło sztuki nie znalazło niestety dotychczas amatorów, którzyby je naukowo, dokładnie zbadali i opisali. Istnieje tylko przypuszczenie, że obrazy malowane, były w ikonograficznej szkole na górze Athos przez hagioryckich mnichów, a najprawdopodobniej przez tych artystów, którzy Mironowi Barnowskiemu malowali i ozdabiali wznoszone przez niego cerkwie w Mołdawii. W każdym jednak razie jest ikonostas pietnicki najpiękniejszem dziełem sztuki cerkiewnej, zachowanem we Lwowie. Na tym punkcie zgadza się i Biłous, autor opisu obrazów po cerkwiach lwowskich i historyk sztuki tej miary, co Władysław Łoziński. Pierwszy z nich widzi w ikonostasie pietnickim naśladowania godny wzór stylowej czystości wnętrza ruskiej cerkwi, drugi znowu dzieło sztuki o bardzo wysokich zaletach pędzla i kompozycyi. [6])

Ikonostas pietnicki odnawiany był w r. 1870 staraniem ówczesnego konserwatora zabytków Mieczysława hr. Potockiego.

V.

MISTRZE I PACYKARZE

Ośm ich było, malarzy, żyjących razem i zgodnie. Nie kłócili się, nie wymyślali sobie wzajemnie, ani też psów na swoich obrazach nie wieszali. Niesłychany ten fakt wydarzył się właśnie we Lwowie, ale... jeszcze w szesnastym wieku, a był prawdopodobnie pierwszą na gruncie lwowskim i może ostatnią idyllą malarską. I chociaż ta idylla nie była zupełną, bo wykluczeni z niej byli stanowczo malarze ruscy i ormiańscy, to jednak godna jest ona pamięci i dobrego wspomnienia.

Godne są też wspominku imiona tych niezwykłych mistrzów. Byli to mianowicie: Jan Szwankowski, malarz wyborny i uprzywilejowany, a przytem „mąż szlachetny i wykształcony“, Jan Gallus, powiedzmy Francuz, przywieziony przez arcybiskupa Solikowskiego gdzieś z dalekich krajów, Kasper Szpanczyk, może z ojczyzny Velasqueza pochodzący, Jan Rudult, Jakób Leszczyński i Mikołaj Różyński, o których słych całkiem zaginął, a nareszcie Lwowianie, krew z krwi i kość z kości Lwowa: Józef Wolfowicz i Jan Ziarnko.

Oni to właśnie w chwili wielkiej jednomyślności i zgody postanowili założyć bractwo, czy też cech malarski we Lwowie. Ojcem przedsięwzięcia był arcybiskup Jan Dymitr Solikowski, matką rada miasta Lwowa, a kumami król Zygmunt III. i nuncyusz papieski, Germanikus markiz Malaspina, biskup St. Seweru i Szafarz obu Sygnatur.

Jeżeli można mówić o nerwowości w szesnastym wieku, to ci mistrze lwowscy zabrali się do dzieła z ner-

wowym wybuchem energii. Ni mniej ni więcej, tylko siedm przywilejów śpiewało u kolebki bractwa malarskiego, a śpiewało wartkiem słowem nadania, konfirmacyi, ordynacyi i polemiki ze wszystkiem, co szyzmatyckie, ruskie, czy ormiańskie. Sztuka malarska wchodziła na zodjak lwowski w akompaniamencie słów niesłychanie wielkich i ważkich o swojem posłannictwie. Arcybiskup i rajcy lwowscy prześcigali się w komplementach dla tej, „której wytworność podziwiały wszystkie narody“, „która tylko przez najwybitniejsze talenty uprawianą być mogła, a do najpierwszych należeć powinna“. Na jej godło we Lwowie złożył się herbowy Jednorożec Solikowskiego i słoneczne promienie płaszcza Matki Boskiej i tarcza malarzy katolickich, przez cesarza im nadana rzymskiego. Sami mistrze oznaczyli probierz artystyczny dla młodych adeptów, muszących się wykazać umiejętnością wymalowania Chrystusa z dwoma łotrami, konterfektu człowieka, albo wojny wielkiej, albo wreszcie polowania na lwa, niedźwiedzia, wilka, wieprza...

Wszystko to stało się w latach 1596 i 1597 i od tego czasu zaczynają pisarze, którzy się kiedykolwiek interesowali malarstwem lwowskiem, rachubę nowej ery w dziejach tego malarstwa. Tak zapewne uczyni i dr. Józef Piotrowski, wytrawny i sumienny historyk sztuki, którego monografii o malarstwie lwowskiem, będącej w druku, ze słuszną niecierpliwością wyczekujemy.

Nowa era. Więc pytamy przedewszystkiem, kędyż nieśmiertelne dzieła onych mistrzów i ich adeptów, jakiż przechodzień staje przed nimi zadumany w kościele czy galeryi, gdzież one łotry, konterfekty, wojny, lwy, niedźwiedzie, wilki, wieprze — na jakich to płótnach spoczął Jednorożec i słoneczne promienie Maryi?

Jest to i owo, ale bardzo malutko. Resztę pewnie zniszczył czas jadowity, fala niepamięci pokryła ludzkiej, płomień zniszczył, jak czasem niszczy „malowane dzieje“, zabrała może wojna.

Ale gdzież sława, trwalsza nad spiże, jakie księgi

powtarzają imiona mistrzów, jacyż nad nimi ślęczą profesorowie. Kędyż szkoła lwowska w malarstwie?

Gdzieś z daleka, aż z Paryża dolatuje sława Jana Ziarnki, ale to nie było we Lwowie, Gallus, Szpańczyk, Rudult, przepadli z kretesem i „nikt ich nie wydrze przeszłości", jakby powiedział Krasiński. Inwentarze spadkowe co bogatszych mieszczan lwowskich częściej wspominają o obrazach „włoskiego malowania", niż rodzimych. Jeden tylko Wolfowicz namalował obraz cudowny wprawdzie i cudami słynący, ale o nim krytyka lwowska w osobie ks. kanonika Józefowicza jeszcze w XVII. wieku orzekła, że to dzieło raczej geometry, niż malarza.

Och ta lwowska krytyka!

I jeżeli już ci malarze nie chcieli ze skromności, czy nie mogli mówić o swojej sztuce, toć może przynajmniej żyli i mieszkali we Lwowie, kupowali i sprzedawali kamienice, procesowali się, spisywali intercyzy ślubne i testamenty. Przez mnogie księgi Archiwum miejskiego przesunęło się wszystko, co we Lwowie było godne i niegodne pamięci, o lada łyku można znaleźć jakieś wiadomości i powiedzieć, co zacz on był, jaka jego familia, jaka substancya majątkowa — więc jakżeby o malarzach i ich bractwie było cicho?

Całkiem cicho nie jest. Władysław Łoziński wyłowił trochę nazwisk malarskich, ale zniechęcony ich jałowością machnął ręką, orzekając, że wynik nie opłaci fatygi. Możeby przy natarczywem szperaniu i całkiem głębokiem wierceniu w aktach, znalazło się tych nazwisk i więcej trochę, ale dla historyi sztuki nie wielka to pociecha, bo któż zapewni, że wydobyte z zapomnienia nazwisko nie należy do beznadziejnego pacykarza, albo malarza siodeł i skrzyń chłopskich?

Nawet ci malarze, których nazwiska trafiają się w aktach, nie występują w całej pierwszej połowie XVII. wieku korporatywnie, cechowo. Każdy cech miewał przeróżne interesy do aktów radzieckich czy ławniczych, tylko o cechu malarskim, zaraz po jego tak szumnem założeniu, cicho, głucho w księgach ratuszowych. Malarze chodzą

w pojedynkę, samopas i to zwykle w sprawach, z ich sztuką nic wspólnego nie mających.

Może jednak wstydzili się stawać razem z kołtunami na ratuszu. Przywilej dał im przecież arcybiskup, zatwierdził go król, więc może woleli chodzić do aktów kapitulnych lub konsystorskich albo i grodzkich.

Coś w tem jest prawdy, jak później pomówimy, ale w całej pierwszej połowie XVII. w. i tam cicho o cechu lwowskich malarzy. Nawet Władysław IV., taki przecież mecenas i znawca sztuki, tyle obcych mistrzów na dwór swój wołający, nie miał sposobności potwierdzić przywilejów bractwa malarzy lwowskich.

Otóż stąd prosty wniosek, że cech malarski rozleciał się zaraz po jego założeniu. Organizacya malarska, karna i solidna, jest na dłuższy przeciąg czasu nieprawdopodobna, bo bardzo jest swarliwy naród mistrzów pędzla i samopas chodzić lubiący. Więc też widzimy zaraz, że Jan Ziarnko pojechał do Paryża, Szwankowskiego już w pierwszych latach siedmnastego wieku nie było we Lwowie, o innych niema żadnej wiadomości. Malarze się porozłazili za zarobkiem, a nawa cechowa osiadła na mieliźnie i rozbiła się z kretesem.

Bractwo malarzy lwowskich uwiędło zaraz w zarodku i przestało istnieć na lat kilkadziesiąt, przywileje jego przez nikogo nie były przestrzegane, a nawet nie znajdowały się w posiadaniu bractwa tak, że w r. 1661 trzeba je było znacznym kosztem wykupić i dopiero wtedy przystąpić na nowo do zorganizowania kongregacyi malarskiej.

Bardzo pouczającą w tym względzie jest szczegółowo w aktach konsystorza lwowskiego opisana sprawa między malarzami Krausem i Korunką.

Około roku 1660 wypłynął we Lwowie malarz Wojciech Kraus. Nazwisko było już drukowane, o dziełach zaś jego nikt nie ma najlżejszego pojęcia. Zdaje się jednak, że ten Kraus był więcej kołtunem, aniżeli nieokiełzaną, żadnych pęt nieznoszącą duszą artystyczną. Malarstwo traktował snać na seryo, jako rzemiosło — a widząc dokoła siebie same tylko cechy, cechy i jeszcze raz cechy, załamał

ręce nad niedolą malarską, która niezdolną była do stworzenia własnego ustroju cechowego.

W marzeniach swoich artystycznych widział siebie na czele takiego cechu malarskiego, widział wszystkich „partaczy“ precz wyżenionych ze Lwowa, a fantazya niosła go w zawrotne wyżyny dobrych zamówień bez żadnej kokurencyi. Widział siebie razem z czeladnikami i dyscypułami chlapiącego olbrzymie płótna kościelne, widział, jak go wzywają do ocenienia obrazów w inwentarzach spadkowych, jak szmer podziwu go otacza lwowskiej gawiedzi: „toż pan cechmistrz idzie, malarski!“

A tymczasem rzeczywistość to — sama była tylko „bryndza“ i mizerya. Jaki taki malarzyna namalował bohomaza i obnosił go potem po ulicach, szukając, ktoby się złakomił na takowe dzieło sztuki. Inni „pictores“ wodzili się srodze za łby z siodlarzami o to, kto ma mieć pierwszeństwo do malowania siodeł, jeszcze inni malowali kufry, a już najgorzej doskwierał panu Krausowi niejaki Sebastyan Koronka, zwany także akcentem lwowskim „Korunka“ albo krócej Kromką. Ten to, nazwijmy go czysto po lwowsku Korunka, zabierał się do malowania po kościołach lwowskich i snać miał pewne wzięcie w sferach duchownych, skoro przeciw niemu był największy rankor u Krausa.

Jeżeli jednak ktoś, zwłaszcza dawniej, czuł rankor w piersiach, to przedewszystkiem myślał o procesie.

W stronę też sądu obróciło się oko Imć. Pana Krausa. Ale do procesu trzeba było dokumentów, pergaminów, a tych nie miał ani pan Kraus, ani żaden malarz. Słynne przywileje Solikowskiego, Zygmunta III., nuncyusza Malaspiny były w rękach osób trzecich, obcych, a nie chcemy, ani na chwilę być złośliwymi, ażeby na despekt malarzom przypuścić, jakoby w... zastawie u żydów.

Koniec końców pan Kraus zaryzykował pewną sumę pieniędzy i wydobył cenne przywileje malarskie z niewoli. Mając je w ręku, rzekł sobie: „cech malarski to ja“ i, zebrawszy wszystkich siedm pergaminów pod pachę,

poszedł z nimi do sądu, aby przedewszystkiem pognębić konkurenta swojego, nieszczęsnego Korunkę.

Poszedł do sądu konsystorskiego, a sąd konsystorski skargę przyjął. I tu właśnie „leży pies pogrzebany“. Pan Kraus wiedział, kędy ma pójść, sąd konsystorski uznał swoją kompetencyę, pozwany jej nie przeczył, a więc to było właściwe, pod przewodnictwem każdoczesnego biskupa sufragana, forum (*forum competens*) malaryi lwowskiej. I zresztą słusznie, bo dawna sztuka malarska zanadto silnie wkraczała w zakres kościelny, ażeby kościół w jej sprawach nie miał i nie chciał wyrokować.

Otóż wobec biskupa sufragana lwowskiego, Stefana Kazimierza Charbickiego, i trzech kanoników oskarżył pan Kraus dnia 11. lutego 1661 pana Sebastyana Korunkę, imieniem własnem, a dla większej pompy i malarzy lwowskich (nie cechu!) o to, że tenże Korunka wbrew prawom i przywilejom nadanym malarzom katolickim przez arcybiskupów Sokołowskiego (sic) i Tarnowskiego, a przez nuncyusza apostolskiego zatwierdzonym, odważył się pewne dzieła sztuki malarskiej do pewnych kościołów tutaj we Lwowie wbrew przyjacielskim napomnieniom tegoż Wojciecha Krausa wykonać i takowe rzeczywiście wykonał.

Na to dopiero rozsypał się z całą pasyą Sebastyan Korunka: Tak jest, on nie zachowywał praw i przywilejów malarskich. Ale te przywileje przez nikogo nie były zachowywane. Nawet sam Wojciech Kraus, ani żaden inny malarz nie postępował w myśl tych przywilejów!

I dlatego, jeżeli kogo należy ukarać, to nie Korunkę, ale przedewszystkiem samego Krausa i tych, co za nim stoją, za to, że przywilejów malarskich nie przestrzegali, ani nawet nie byli w ich posiadaniu i używaniu (*nec in possesione, ac usu eorundem fuerunt*). A ponieważ prawa napróżno się ustanawia, jeżeli się im nie daje powinnej egzekucyi, przeto on, Korunka, żąda, aby sąd zmusił Krausa i jego towarzyszy do ustanowienia kongregacyi (*ad constituendam congregationem*) i do przestrzegania punktów w przywileju zawartych.



RÓG RYNKU I UL. TRYBUNALSKIEJ
(Dom zburzony).

Na takie *dictum* Kraus zapewne zgłupiał, bo począł się przed sądem już całkiem skromnie tłumaczyć, że przywileje malarskie własnym kosztem i wydatkiem z rąk osób trzecich wydobył (*privilegia vero, proprio sumptu et impensis apud extraneas personas recuperasse*).

Co się zaś tyczy kongregacyi, to ta z wielu względów jest potrzebna.

Wobec tego wszystkiego ks. biskup Charbicki, wspólnie z kanonikiem Łukaszem Witkowskim, Jakóbem Gawathem i Janem Rzepczyńskim, wydał wyrok uwalniający Sebastyana Korunkę od wszelkiej odpowiedzialności, „ponieważ te prawa i przywileje nie były zachowywane, a bractwo formalnie nie jest ustanowione“ (*confraternitas formaliter instituta non est*).

Przy tej sposobności ks. Charbicki poszedł jeszcze dalej w myśl życzeń i wniosków Sebastyana Korunki.

Nawiązując do faktu, że tak powód, jak i pozwany gorąco pragną założenia cechu malarskiego, nakazał ks. biskup Charbicki, ażeby na podstawie dawnych praw i przywilejów opracowano i spisano nową ordynacyę malarską, a to za porozumieniem się i jednomyślną zgodą wszystkich malarzy tak polskich jak i ruskich, którzy to ostatni mają być dopuszczeni do cechu pod pewnymi warunkami, w artykułach wymienionymi [7]).

Skoro zaś ordynacya zostanie ułożoną i podpisaną, należy ją zaprezentować urzędowi (konsystorskiemu) do zatwierdzenia, przyczem biskup dodaje, że wolno będzie malarzom wybrać sobie ołtarz w katedrze, przed którymby mogli modły swoje wygodnie odprawiać, jak i żałomsze za dusze pomarłych konfratrów. Wolno im będzie również wybierać dwu cechmistrzów z pomiędzy siebie, z tem jednak, że jednym z nich musi być koniecznie sławetny Wojciech Kraus, jako zasłużony inicyator założenia cechu i ten, który nie szczędził pieniędzy dla wydobycia przywilejów malarskich.

I jakby wiedział ks. biskup Charbicki, że z malarzami trzeba wszystko czynić na gorąco, bo zgoda wśród mistrzów pędzla jest czemś bardzo krótkotrwałem, więc

nakazał im, aby w przeciągu ośmiu dni przedłożyli gotową już i wypracowaną ordynacyę cechową konsystorzowi do rewizyi i do aprobacyi[8]).

Skutek był piorunujący. Przypominamy, że powyższy proces rozegrał się 11. lutego 1661, a już w trzy tygodnie potem, dnia 2. marca, nowa ordynacya malarska była ułożoną, przez wszystkich malarzy lwowskich, Polaków, Ormian i Rusinów uchwalona, konsystorzowi przedłożona, zrewidowana, zatwierdzona, na pergaminie przepisana i pieczęcią ks. biskupa Charbickiego zaopatrzona.

Tylko, że niestety z takim samym pospiechem i gruntownością gdzieś się zapodziała. Mimo dość skrupulatnych poszukiwań, nie udało się nam odszukać pełnego tekstu owego, na nowo ufundowanego kamienia węgielnego lwowskiej sztuki malarskiej. Przedewszystkiem powinna ona była być wniesioną i zapisaną do aktów konsystorskich — ale tam jej niema. W sprawie cechu, czy bractwa i rada miasta Lwowa miała coś do powiedzenia, więc mieli malarze w tem interes, aby świeżo uzyskany dokument oblatować w księgach radzieckich — ale tam go również ani w r. 1661, ani w następnych niema. W Rzeczypospolitej zresztą każdy, kto chciał coś publicznie ogłosić, biegł do ksiąg grodzkich — ale i tam niema ordynacyi malarskiej.

A jednak musiała być chyba gdzieś zapisana i dla tego skłonni jesteśmy przypuścić, żeśmy jej nie dość skrupulatnie szukali, albo też szukać nie umieli. Być też może zresztą, że ordynacya ta nie uzyskała zatwierdzenia radzieckiego, a uzyskany niebawem od króla Jana Kazimierza przywilej, czynił ją zbyteczną i bezprzedmiotową.

Na szczęście jednak w „sumaryuszu praw i przywilejów konfraternii malarskiej nadanych, tudzież dekretów i membranów wspomnianej konfraternii służących“ — w tym sumaryuszu, sporządzonym już za czasów austryackich, o którym zresztą niżej będzie mowa, jest trochę szczegółów z treści tej z 2. marca 1661, ordynacyi malarskiej.

Przedewszystkiem były to „Artykuły dla kongregacyi malarskiej lwowskiej opisane“. W nich „obszernie jest obwarowano“, jak bracia sobie postępować mają, jako to:

za jakiemi próbami do magisteryi przystępować, elekcyę starszych na św. Łukasz składać, obsekwie kwartalne za zmarłych braci odprawiać, obrazów malowanych po rynku nie nosić, starszego w bractwie szanować, na schadzkach i sesyach uczciwość zachować, nieposłusznych i sprzecznych karać, jak sobie przychodni czeladnik (który od starszego na robotę wysyłany być powinien) postąpić ma, jak czeladź majstrów szanować, jak jeden pod drugim podstępów w robocie czynić nie powinien, jak czeladź żadnej roboty tak w mieście, jak i na przedmieściu, klasztorach, kościołach, jakoteż domach i dworach szlacheckich bez wiadomości i konsensu braci podejmować się nie ma.

Taką była treść artykułów malarskich z roku 1661. W przeciwieństwie do katolickiej wyłączności przywileju Solikowskiego, oparte one były przedewszystkiem na zasadzie równouprawnienia, już nie z malarzami ormiańskimi, którzy po przyjęciu unii byli katolikami, ale głównie z malarzami ruskimi, których jako szyzmatyków tak gwałtownie potępiał arcybiskup Solikowski.

Same artykuły nie różniły się wiele od ustaw innych cechów, układanych pospolicie według jednego szablonu. Jedyny charakterystyczny wyjątek stanowi zakaz obnoszenia obrazów malowanych po rynku, celem łatwej ich rozsprzedaży.

Och ty lwowska sztuko! Adepci twoi uczynili cię podobną do zabłoconej przekupki. I chodziłaś, o Muzo, zatelepana i obszarpana po błotnistym i wyboistym bruku lwowskim i uśmiechałaś się do przechodnia jaskrawością swoich bohomazów i szukałaś kupca na wdzięki twoje.

O Muzo!

Brzuchate, kontuszowe postacie mieszczan szły mimo ciebie, urągając ci może i szpetnem lżąc słowem. Wyzłocona mieszczka brzękała ci nad uchem sznurami korali i chrzęstem srebrnych maneli i żołnierz pijany przechodził pomimo i pospólstwo cię trącało, pośpiesznie kupczące.

Biedna Muzo!

A kto cię w kąt zaprosił — to łatwo mu byłaś sprze-

dajną. Za ort złamany, za półtalerek bity, czasem za grosz wytarty, szły owe Chrystuse ze dwoma łotrami i wojny i wieprze malowane i wszystko twoje natchnienie, cała twoja wytworność — o córo boskiego Apollina!

A one orty i półtalarki i grosze wędrowały potem do gospody, gdzie gorzałą mistrz pałkę zalewał i znowu płodził, byś miała z czem wyjść na rynek, ty biedna, zatelepana muzo lwowskich malarzy!

Aż cię Wojciech Kraus i Sebastyan Korunka z despektu i kontemptu takowego wywiedli, każąc nie po rynku lwowskim, ale po słonecznym chadzać Parnasie.

Wejdźmy tedy na chwilę w te słoneczne wyżyny i horyzonty, kędy sztukę lwowską malarską powiedli sławetni Wojciech Kraus i Sebastyan Korunka. Bo obaj niedawni wobec sądu biskupiego antagoniści pogodzili się bardzo rychło i obaj stanęli na czele zmartwychwstałego bractwa malarskiego, jako jego starsi i cechmistrze, obaj też rozpoczęli bardzo żywą działalność około ugruntowania i zorganizowania odnowionej kongregacyi.

Ktoby jednak na tym lwowskim Parnasie doznać pragnął olimpijskiej woni, rozkosznego smaku ambrozyi i nektaru, ochłody u kastalskiego źródla czystej sztuki i prawdziwego natchnienia, ten byłby jako człowiek, któremu nagle wymierzono potężnego szczutka w nos. Pełna bowiem była lwowska świątynia sztuki niemiłego swądu: zamiast urodzajnych haseł, latały tam szpetne słowa i ordynarna siebie i matki mistrzów charakteryzująca polemika, czasem do korda rwali się uczniowie św. Łukasza, a zawsze w ich sercu sroga była zawziętość przeciwko pacykarzom, naonczas jeszcze partaczami zwanym. I zaraz zakwitła na tym wskrzeszonym Olimpie lwowskim familijna klika, którą się otoczył sławetny Wojciech Kraus, a nie brakło także usiłowań secesyjnych.

Głównym reprezentantem lwowskiej secesyi w XVII. wieku był malarz Grzegorz Bogdanowicz. Temuż za ciasne były ramy cechowe, a jak najbardziej niemiłym widok innego malarza Jakóba Podkowieckiego, który, jako krewny Krausa, pozwalał sobie stanowczo za dużo. Wobec tego

Bogdanowicz postanowił zbojkotować bractwo i pójść swoją własną drogą. Ale starsi bractwa, Kraus i Korunka, zapozwali go 26. listopada 1661 r. przed sąd sufragana, zarzucając, że nie czyni zadość obowiązkom brackim, nie bywa na posiedzeniach i t. d. Na rozprawie przed biskupem Charbickim tłumaczył się Bogdanowicz, że brałby udział we wszystkich zebraniach i sesyach malarskich, gdyby nie ten Podkowiecki, który bez żadnego prawa, jedynie pod pretekstem jakiegoś pokrewieństwa z Wojciechem Krausem, z furyą powstaje na tychże sesyach, łamie porządek, podnosi krzyk, szpetnemi słowy łaje, do szabli się porywa tak, że gotów jeszcze zrobić jakie kalectwo.

Motywy jednak secesyi nie wystarczyły sądowi biskupiemu. Dnia 2. grudnia 1661 zapadł wyrok skazujący Bogdanowicza na zapłacenie „kościelnej winy“ to jest jednego kamienia wosku i zmuszający pod groźbą więzienia do zaniechania secesyi [9]).

Zdusiwszy w ten sposób secesyę w łonie własnem, podniosło bractwo groźną prawicę przeciwko partaczom, biegunom, niedoukom i inszym, którzy „pędzlem robią“. To malarskie *quos ego* skierowane było przeciwko siodlarzom, bo zawsze jeszcze malowanie siodeł było jednym z głównych postulatów malarstwa lwowskiego — następnie linia bojowa rozszerzała się na wszelakich innych bazgraczy, którzy nie odbyli wymaganego terminu, nie zapłacili wkładki cechowej i t. d. Dziś nikt już nie rozstrzygnie, wiele było wśród tych biegunów i niedouków prawdziwych talentów, zwarzonych zdolności, wiele pędu, wyłamującego się ze skostniałego szablonu i więzów szkolnych, ile iskier bożych zagasło raz na zawsze. A jeżeli tak było w istocie, to pełna odpowiedzialność za to niech spadnie znowu na sławetnych Krausa i Korunkę.

Oni to bowiem, korzystając z obecności we Lwowie, jesienią r. 1662, króla Jana Kazimierza, wydobyli z kancelaryi królewskiej, znany już skądinąd przywilej, zatwierdzający nadania Solikowskiego i Zygmunta III., a skierowany głównie przeciw pacykarzom, z których żaden nie śmie „w mieście naszem Lwowie i na przedmieściach ro-

boty malarskiej robić, ani onej, zrobionej do sprzedania na przeszkodę malarzów lwowskich w bractwie będących dawać, a to pod winą stu czerwonych złotych i zabraniem towaru, albo roboty wszystkiej“.

Tę ekskluzywność mistrzów tłumaczy przywilej wielką bryndzą, jaka wśród malarzy rzekomo panowała, bo „ubodzy mistrzowie malarscy, ludzie starożytni, lubo nam i miastu naszemu zawsze wygodą są, ciężary miejskie często ponoszą, a przed tymi biegunami żadnym sposobem pożywić się nie mogą i prawie do wielkiego ubóstwa przychodzą“.

Z tem wszystkiem niniejszy przywilej jest pierwszem od przeszło pół wieku nawiązaniem do dawnych nadań i przywilejów malarskich, pierwszym przywilejem królewskim, który po Zygmuncie III. interesuje się malarzami lwowskimi.

Czasy się jednak zmieniły. Niema już w tym przywileju górnych i wielkich słów o posłannictwie sztuki, a jest tylko zwykła, rzemieślnicza chciwość chleba i zarobku, niema onych trudnych sztuk mistrzowskich, ani tematów takich, jak „sposób wojny wielkiej“ lub polowanie na lwa etc. — a są za to, te zawsze nieszczęsne, malowane siodła.

Czas tedy wsiąść na jedno z takich siodeł i przebieżać krainę, kędy chadzały aspiracye malarzy lwowskich.

Możnaby ostatecznie darować lwowskim malarzom gorące pragnienie malowania siodeł i nie pamiętać im tego obniżenia poziomu artystycznego, ale z procesowej zawieruchy między mistrzami jednego i drugiego fachu wypływa niespodzianie kwestya obcych wpływów na lwowską sztukę malarską. I to nie byle jakich wpływów, bo aż... tureckich.

W procesie, wytoczonym w r. 1664 przez malarzy siodlarzom o to, że ci „siodła gołe u partaczów kupują i one sami malują, malowane zaś po ulicach noszą i sprzedają“, wyznaczyła rada miejska dwóch swoich członków, Waleryana Alembeka i Samuela Kuszewicza, do zbadania sprawy i wydania orzeczenia, któreby potem stanowić

mogło podstawę dekretu radzieckiego. Siodlarze trwali mocno przy swojem, „że z dawnych czasów siodła sami malują, bo im to wolno i nigdy z powinności onych malarzom malować nie dawali!“

Wobec tak sprzecznych zdań okazała się potrzeba przesłuchania świadków. Pierwszy z nich, Łukasz Stebnicki, płatnerz, zeznał pod przysięgą, co następuje: „Szymon, malarz, który teraz na Sieniawszczyźnie mieszka, jakoś po pierwszej Kozaczyźnie (1648) robił u Wojciecha Winnickiego, siodlarza, za czeladnika. Tego jednak nie wiem, który od którego malarstwa się uczył, czyli Szymon od siodlarza, czyli siodlarz od Szymona, ale wiem napewne, że go siodlarz nauczył tureckiego malarstwa, do kulbak i tebinek, to jest pokostem tureckim malować“.

Drugi świadek Maciej Kidaszczyk, haftarz, powiedział również pod przysięgą: „Pamiętam, że z dawnych czasów siodlarze łęki srebrem malowali, a haftarze w różnych materyach haftowali i zaś haftowanymi siodła oprawowali. Aż dopiero po pierwszej Kozaczyźnie, kiedy haftarze nie mogli nastarczyć roboty, zjawił się tu był siodlarz Wojciech Winnicki. Ten umiał łęki rozmaicie malować i malarczyków przyjmował i uczył ich malarstwa turecką modą pod pokost turecki, a przedtem nigdy takowej roboty malarze tutaj nie rabiali“.

Zeznania dalszych świadków nie przyniosły już nic nowego. Manna, wdowa po Prokopie haftarzu, skonstatowała, że nieboszczyk rodzic jej Wasyl Żornicki, „będąc siodlarzem, sam siodła robił i one malował i haftował aż do samej śmierci“. W tym samym duchu zeznał nareszcie Dymitr Podhorecki, który „zestarzał się na rzemiośle siodlarskiem“.

Rzadko chyba kiedy jakieś wpływy artystyczne i źródła pewnych gustów i upodobań dadzą się poprzeć zeznaniami zaprzysiężonych świadków. W tym jednak wypadku dwaj klasyczni świadkowie, Łukasz Stebnicki i Maciej Kidaszczyk, pozwalają niejako na gorącym uczynku schwytać modę turecką oraz, którędy i jak ona szła w siedemnastym

wieku do Polski. Ten „pokost turecki“ jest jakąś specyalną, a przedtem we Lwowie nieznaną techniką malarską, zastosowany jednak do rynsztunku wojennego, maluje dość dokładnie ów wschodni charakter broni polskiej, czyni zrozumiałymi motywa wschodnie, które na sztuce polskiej i jej wyrobach z zakresu przemysłu artystycznego tak często się spotyka. Jeżeli rozbity obóz Husseina baszy pod Chocimem i Kara Mustafy pod Wiedniem, zalał Polskę masą wschodnich wyrobów, przyniesionych jako zdobycz wojenna i wywołał chęć naśladowania ich u miejscowych rękodzielników, to taki siodlarz Wojciech Winnicki, snać bywalec w Tureczczyźnie, jest wymownym przykładem, że moda turecka i przedtem znajdowała w Polsce grunt podatny oraz szerokie pole zastosowania.

Wróćmy jednak do procesu między malarzami, a siodlarzami. Wspomniani wyżej delegaci rady miejskiej, na podstawie zeznań świadków i zaprodukowanych przez malarzy przywilejów, wypracowali rodzaj sprawozdania dla rajców, którego najważniejsze ustępy są następujące:

„Siodlarze nie wdawają się w prawdziwą malarską robotę, to jest nie malują żadnych obrazów, tak duchownych jako i świeckich, ani w inne tym podobne rzeczy, ale własne wyroby swoje“. Natomiast z przywilejów malarskich wynika, że „malarze, w kongregacyi lwowskiej będący, same tylko osoby, obrazy, konterfekty itp. malować winni“.

„Potem i ponieważ widzimy to we Lwowie i w innych koronnych miastach, że różni rzemieślnicy, jako to stolarze itp. roboty swoje własne, różnymi kolorami farbują, bez wszelakiej od malarzy przeszkody, tedy wolno i siodlarzom siodła swoje albo łęki malować. Jeżeliby jednak ktokolwiek siodło proste, niemalowane u siodlarza którego cechowego kupił, a one do malowania, według upodobania swego, malarzowi w bractwie będącemu oddał, tedy wolno będzie malarzowi takowe siodło u siebie malować“.

„Do tego nie powinni siodlarze czeladzi malarskiej w domach swoich dla malowania siodeł chować i *vice*

versa nie powinni będą malarze czeladzi siodlarskiej dla robienia siodeł do siebie przyjmować".

Na tej podstawie wydali rajcy miasta Lwowa dekret, z którego siodlarze byli o tyle niezadowoleni, że odmawiali malarzom prawa malowania siodeł, nawet na życzenie stron prywatnych. Dlatego też wnieśli do ksiąg radzieckich odpowiednią replikę i duplikę, ale ostatecznie dekret został utrzymany w pierwotnem brzmieniu, a jego odpis przechowany został w bractwie malarskiem, jako jeden z główniejszych dokumentów brackich.

Takiemi to drogami prowadził lwowskie bractwo malarskie jego starszy, Wojciech Kraus. On był wskrzesicielem cechu i jego duszą przez długie lata, on potrafił wziąć niesforną brać malarską w ryzy cechowe i rozwinął bardzo ożywioną działalność cechową wobec różnych władz i urzędów.

Ale właśnie ta działalność i jej objawy, któreśmy powyżej przytoczyli, noszą na sobie wszystkie znamiona upadku artystycznego. Jeżeli założone przez Solikowskiego bractwo nie zdołało się utrzymać, to można sobie ten fakt wytłumaczyć, że przecież malarze traktowali swój fach, jako wolną sztukę, nie znoszącą ciasnych więzów cechowych. Tymczasem Kraus zepchnął ją do rzędu zwykłych rzemiosł z całym ich ceremoniałem i zawiścią wobec konkurencyi, z całą majsterską wyłącznością.

I snać trafił na grunt bardzo podatny, bo udało mu się to w zupełności. Cech malarski istniał przez dłuższy przeciąg czasu, przeżył nawet swojego ponownego założyciela, ale żywot jego wcale był marny i anemiczny. Na razie jednak był źródłem znaczenia dla Wojciecha Krausa, który ze swojej strony nie był znowu zanadto wobec swojego dziecięcia bezinteresownym. Cech musiał mu zapłacić wszystkie jego pretensye, czego dowodzi wystawiony przez Krausa dnia 10. października 1672 dokument, mocą którego on całą konfraternię ze wszystkich swoich należytości kwituje.

Częścią tych należytości były zapewne i koszta sprawienia dwu pieczęci cechowych, z których jedna była na

mosiądzu, druga na drzewie, a obydwie dziś przepadły bez śladu.

Popchnięty przez Wojciecha Krausa toczył się cech czy bractwo malarskie naprzód. Niestety brak nam zupełnie materyału do ustalenia właściwego charakteru zrzeszenia malarzy lwowskich. Miało ono wszystkie znamiona cechu, a tytułowało się bractwem, od sądownictwa duchownego przechodziło bardzo łatwo na ratusz, gdzie się ważyły sprawy wszystkich cechów, a mimo to w spisach cechowych niema malarzy i niema nawet wtedy, kiedy wszystkie lwowskie cechy bez wyjątku a zarazem i solidarnie wystąpiły przeciwko ratuszowi do walki o swoje prawa i uprawnienia. Sprawa ta w oczach Jana Sobieskiego rozogniła cały Lwów, jej echo szło poprzez wszystkie trybunały, komplanacya ostateczna cechów z magistratem obejmuje wcale gruby tom rękopiśmienny. Ale w tym rękopisie, gdzie najdrobniejsze nawet kwestye sporne poszczególnych cechów znalazły szerokie omówienie, niema żadnej wzmianki o malarzach. Świadczyłoby to z jednej strony o słabej bardzo sile kongregacyi malarskiej, a z drugiej strony może o tem, że malarze jednak uważali się za coś wyższego od pospolitych i prostych rzemieślników, a do swojej organizacyi za mało przywiązywali wagi.

Mimo to z czasów właśnie Jana Sobieskiego pochodzi ostatni przywilej królewski, zatwierdzający prawa i prerogatywy nadane przez Solikowskiego. Podpisał go Jan III. we Lwowie, dnia 3. lutego 1685 r. Do dziejów malarstwa lwowskiego przywilej ten, znany zresztą w literaturze, nie przynosi nic nowego, poza tem chyba, że stwierdza istnienie cechu, tak samo jak i dwa dalsze dokumenty, które były przechowywane w skrzynce brackiej. Jeden z nich z 14. lipca 1686 jest „membranem“, rodzajem weksla, wystawionym przez złotnika Błażeja Nalewajkowicza na rzecz bractwa malarskiego na sumę 100 złp., drugi takimże samym membranem na dalsze 50 złp.

Świadectwem istnienia bractwa przy samym końcu wieku siedmnastego jest dalej proces wytoczony w grodzie

na sądach burgrabskich w roku 1696 przez Stefana Jastrzębskiego i Michała Kądziszewskiego, starszych kongregacyi malarskiej, przeciwko Janowi Sawickiemu i Janowi Malinowskiemu, czeladnikom, o to, że podejmowali się skrycie, poza plecami kongregacyi, robót malarskich i wykonywali je na własną rękę. Bliższych szczegółów procesu nie znamy.

Ale równocześnie nawa bracka zaczęła znowu osiadać na mieliźnie. Byli wprawdzie malarze, być może nawet kołatało się jeszcze z początkiem ośmnastego wieku i bractwo malarskie, ale ze sztuką malarską nie wiele ono miało już wspólnego.

Właśnie wtedy jednak, gdy cech malarski we Lwowie dogorywał bez sławy i echa, w samem mieście, jego bliższej i dalszej okolicy malowało się bardzo wiele, zwłaszcza w dziedzinie sztuki kościelnej. Ale mistrzami, którzy dokonali wiele ciekawej polichromii kościelnej, wiele obrazów ołtarzowych i pałacowych, byli ludzie z akademickiem, bardzo często nawet z rzymskiem wykształceniem. Nie chcieli oni mieć nic wspólnego z cechem malarskim, nie chcieli do niego należeć, uważając to za rzecz sprzeciwiającą się ich artystyczniej godności.

W całej Europie protestowały cechy malarskie przeciwko inwazyi akademików. W Niemczech naprzykład, gdzie malarstwo cechowe było bardzo rozwinięte, walka ta przybrała ostre formy, ale we Lwowie nic o niej nie słychać. Bractwo malarskie było bezsilne wobec mistrzów baroka i rokkoka, ich zdumiewającej techniki i artystycznych pomysłów.

Zamiast cechu czy bractwa malarskiego wystąpił do walki magistrat lwowski w imię fiskalizmu miejskiego. Żądał od malarzy przybyłych skądinąd, ażeby przyjmowali prawo miejskie i ponosili wszystkie z niem połączone opłaty i daniny na rzecz miasta. Rastawiecki przytoczył w swoim słowniku malarzy kilka protestów miejskich przeciwko przybyszom, jak n. p. przeciwko Piotrowskiemu, Eckstein om itd.

Przeciwko Eckstein owi, sprowadzonemu przez Jezui-

tów lwowskich aż z Moraw, wystąpił i w obronie malarzy cechowych stanął biskup sufragan lwowski, ks. Samuel Głowiński, wzywając osobnem pismem w r. 1737 malarzy, ażeby przestrzegali ściśle przywilejów cechowych, zatwierdzonych przez nuncyusza papieskiego Germanika Malaspinę.

Ks. Samuel Głowiński był serdecznym antagonistą Jezuitów. On przeciwko ich szkołom fundował we Lwowie Pijarów, on też doczekał się rozwiązania Zakonu i był tym, który odnośną bullę papieską zaniósł im i w ich własnem kollegium przeczytał. On też według wszelkiego prawdopodobieństwa, jako tradycyjny protektor i zwierzchnik malarzy, wziął ich obecnie w obronę przeciwko najazdowi obcych mistrzów, a Jezuitom nakiwał przywilejem nuncyusza Malaspiny. Niestety znowu nie znamy szczegółowo treści tej ciekawej deklaracyi.

Jest ona ostatnim, znanym nam dokumentem, odnoszącym się do malarzy lwowskich. Odtąd ani August II., ani August III., ani Stanisław August nie zatwierdzili, ani też nie dali malarzom żadnego przywileju. Niema też odtąd śladu w aktach i księgach o istnieniu bractwa.

Na tle jego koślawych dziejów przesunęło się jeszcze trochę postaci, „ni pięknych, jak półbogi, ni silnych, jak olbrzymy tytańskich czasów“ — ale takich sobie lwowskich mistrzów, których sztuka zaginęła, ale których za to bole i zmartwienia przechował zżółkły papier archiwalny.

A na ich czele twoja tragedya, Józefie Ziembicki, malarzu lwowski!

Trzebaby zaiste pióro nie w atramencie, ale w krwawej maczać żółci, aby mógł być obraz pełny cierpień twoich, o mistrzu, których doznałeś od uczciwych Stanisława Forneckiego i Józefa Woleckiego, malarczyków. Trzebaby nie pędzla, ale olbrzymiego kwacza, ażeby namalować sylwetki onych twoich wrogów, którzy cię oskarżyli przed szlachetnym prezydentem miasta i już już do kozy wpakować chcieli.

Mistrzu! Tyś w dom swój przyjął i przytulił Józefa Woleckiego, boć to był przecie twój towarzysz po pędzlu,

a twoje serce przyjaźni było pełne i gościnności. I dałeś mu „stancyę w r. 1773 od Bożego Narodzenia aż do Wielkiejnocy, wikt i wszelkie wygody mu subministrowałeś, nie otrzymując żadnej pieniężnej satysfakcyi“.

A kiedy, nieboże, za dużo już tobie było i rzekłeś Woleckiemu, aby się już wyprowadził — ten „do szabli porwał się i ciebie skrwawił i sztyletem przebić usiłował“, o mistrzu nieszczęsny!

Albo taki Stanisław Fornecki! Kiedyś ty, mistrzu Józefie Ziembicki, malował u Rocha Wieniawskiego, podczaszego lwowskiego i pułkownika, tam uczciwy Fornecki „bez żadnej racyi wpadłszy, hałasu narobiwszy i ciebie bijąc, do szabli porwał się. I gdybyś był, o mistrzu, nie chwycił tejże szabli ręką, której palce sobie popodrzynałeś — zapewne byłbyś już teraz wiecznym kaleką“.

Aż wreszcie uczciwi Stanisław Fornecki i Józef Wolecki podjęli się robót malarskich u J. W. X. biskupa lwowskiego. Ty, Józefie Ziembicki, patrzyłeś na to spokojnie a może i zacierałeś ręce na widok, „iż pomienieni, nie wiedzieć z jakowej przyczyny, sami tychże robót nie robili, lecz ciebie zwokowali do siebie i tęż ci robotę nadali“.

Puściłeś tedy dawne krzywdy i porachunki w niepamięć i zabrałeś się żwawo do roboty u J. W. X. biskupa lwowskiego — nie przypuszczając wcale, jaki smutny koniec będzie wszystkiemu.

To też „dla złej przez tychże danej tobie informacyi“ musiałeś, o mistrzu, „po kilka razy to *de novo* malować, to wymalowane poprawić“, w czem nie małą szkodę i stratę poniosłeś, a co gorsza naigrywania od twoich wspólników, „którzy ci przyrzekli dopomagać, a przecież nie dopomagali“.

Tak tedy ty, Józefie Ziembicki, „widząc wielkie dla siebie krzywdy i szkody, a ich wykręty i oraz niby naśmiewania się“, odstąpiłeś tej roboty i kontynuować dalej wzbraniałeś się.

Wobec tego Fornecki i Wolecki, „uwiedzeni pasyą, przyszedłszy do sądu szlachetnego JWP. Prezydenta, opatrznie i niesprawiedliwie ciebie, o mistrzu, oskarżywszy,

familię, czyli pachołków magistrackich, do sekwestrowania, to jest aresztowania twojej osoby, wyrobili i z tą familią magistracką, wyjednaną, ciebie, nie jako posesyonata, ale jako ostatniego złoczyńcę po różnych miejscach szukali".

Gdy zaś się o tem dowiedziałeś, sam przyszedłeś z eksplikacyą do sądu szlachetnego JWP. Prezydenta i „zapobiegając (!) całości honoru twojego" jako najuroczyściej przeciwko Forneckiemu i Woleckiemu przed aktami sądu magdeburskiego protestowałeś.

Milczą jednak dzieje o tem, czy sprawiedliwość została ci wymierzona, o mistrzu. Ale że na świecie wogóle tak mało jest sprawiedliwości, zatem snadnie można przypuścić, że i twoja krzywda wpadła do wielkiego morza wszelkich krzywd ludzkich, nieodkupionych [10]).

W tym samym czasie wielka była kwestya między malarzem Marcinem Stroińskim, a rzeźbiarzem Janem Szczurowskim. Obydwu mistrzom chodziło o Jana Skulskiego, ucznia sztuki rzeźbiarskiej, którego odmówił Szczurowskiemu Stroiński do swoich robót, zapewne sztukateryjnych. Tenże Skulski zgodzony był na lat sześć do terminu rzeźbiarskiego, w czasie którego utrzymywany był najpierw przez swoją matkę, potem przez Szczurowskiego, a na ostatku utrzymywał się już sam z robót rzeźbiarskich, wykonywanych za zezwoleniem mistrza w pewnych godzinach. W ten sposób przebiedował już pięć i pół roku, gdy go Stroiński odmówił. Dekret sądowy jednak kazał mu go oddać Szczurowskiemu pod karą 40 złp. i to bez żadnej apelacyi [11]).

Historya cechu malarskiego lwowskiego zamyka się zgoła niespodziewanym, dość jednak efektownym epizodem. Oto bardzo już późno, za rządów austryackich, dnia 4. listopada 1780 zjawili się na ratuszu lwowskim wszyscy zamieszkali we Lwowie mistrzowie pędzla, którzy do cechu malarskiego nigdy nie należeli i jeszcze w r. 1771 pociągani byli za to przez magistrat do odpowiedzialności. Na czele tych niezwykłych gości stał „szlachetnie urodzony" Stanisław Stroiński, a obok niego Józef Choynicki, Mathias Miller, Bielawski i Tomasz Gertner.

Zacna ta i artystyczna kompania zażądała ni mniej ni więcej tylko wydania sobie wszystkich przywilejów cechu malarskiego, znajdujących się w depozycie magistrackim. Jaką drogą szanowne te świadki dziejów malarstwa lwowskiego dostały się do tak pewnego depozytu, niewiadomo, ale magistrat nie czynił z ich wydaniem żadnych trudności. Spisano tylko formalny protokół, wciągnięto go w księgi radzieckie (tom 142), wyszczególniając każdy dokument z osobna, poczem czynność urzędowa została zakończona a grono malarzy poszło sobie, unosząc pod pachą całą zawartość dawnej skrzynki cechowej.

Szkoda tylko, że wspomniany protokół ani słówkiem nawet nie pisnął, po co, w jakim celu i jakiem prawem zabrali ci właśnie malarze w mowie będące dokumenty. W ten sposób bowiem cała sprawa nabiera tajemniczego i zgoła niewyjaśnionego charakteru, tem bardziej, że malarze ci nie występują ani imieniem bractwa, ani też jako jego seniorowie czy cechmistrze, ale tylko jako malarze lwowscy (*pictores leopolienses*). Rzetelne odebranie tych dokumentów stwierdzili wszyscy swoimi własnoręcznymi podpisami, przyczem Bielawski bardzo zamaszyście zatytułował się *della Akademia Romana pictor*, Gertner zaś i Miller podpisali się niemieckiemi literami, ale polską pisownią.

Prawie wszystkie z tych dokumentów omówiliśmy już poprzednio w szkicu niniejszym. Obecnie jednak dla rodzaju rekapitulacyi przedmiotu wyliczymy całą zawartość dawnej skrzynki cechu malarskiego, a to tem chętniej i potrzebniej, że to cały papierowy i dokumentarny dorobek bractwa malarzy lwowskich, całe ich dzieje.

Wydał przeto magistrat następujące rzeczy:

1. Przywilej arcybiskupa Jana Dymitra Solikowskiego dla malarzy katolickich we Lwowie z dnia 21. stycznia 1596.

2. Ustanowienie przez tegoż arcybiskupa bractwa malarzy katolickich we Lwowie, dnia 10. lipca 1596.

3. Potwierdzenie przywileju dla lwowskich malarzy

katolickich przez króla Zygmunta III. w Warszawie, dnia 10. stycznia 1597.

4. Prawa i artykuły bractwa malarzy lwowskich, zatwierdzone przez Radę miejską dnia 21. stycznia 1597.

5. Zatwierdzenie powyższych artykułów przez króla Zygmunta III. w Warszawie, 10. marca 1597.

6. Zatwierdzenie przywileju Solikowskiego, ustanawiającego bractwo malarzy we Lwowie, przez Zygmunta III., dnia 20. marca 1597.

7. Zatwierdzenie powyższego przywileju przez nuncyusza papieskiego Germanika Malaspinę w Warszawie, 18. kwietnia 1597.

8. Dekret sądu konsystorskiego lwowskiego między malarzami Wojciechem Krausem a Sebastyanem Korunką o nieprawne wykonywanie malarstwa z dnia 11. lutego 1661.

9. Ordynacya cechu malarzy lwowskich z dnia 2. marca 1661 zatwierdzona przez biskupa sufragana lwowskiego ks. Charbickiego.

10. Pozew cechu malarzy przeciwko malarzowi Grzegorzowi Bogdanowiczowi o nienależenie do cechu z 26. listopada 1661.

11. Dekret sądu konsystorskiego z 2. grudnia 1661 między bractwem malarzy lwowskich a Grzegorzem Bogdanowiczem.

12. Przywilej króla Jana Kazimierza dla bractwa malarzy lwowskich z daty Lwów, dnia 8. listopada 1662.

13. Dekret lwowskiej Rady miejskiej w sporze między malarzami a siodlarzami z r. 1664.

14. Kwit Wojciecha Krausa z 10. października 1672 kwitujący konfraternię malarską z otrzymanych swoich należytości.

15. Przywilej króla Jana III. dla bractwa malarzy lwowskich z daty Lwów, 3. lutego 1685.

16. Membran (weksel) z 14. lipca 1686 wystawiony bractwu przez złotnika Andrzeja Nalewajkowicza na 100 złp.

17. Takiż membran na 50 złp.

18. Dekret sądu burgrabskiego lwowskiego z r. 1696.



WIDOK Z RYNKU NA PL. KAPITULNY

między starszymi kongregacyi malarskiej a czeladnikami Janem Sawickim i Janem Malinowskim.

19. Deklaracya biskupa sufragana lwowskiego ks. Samuela Głowińskiego z r. 1737 w sprawie przestrzegania przepisów cechowych.

20. Dwie pieczęcie cechowe.

Jakie będą dalsze losy tych dokumentów niewiadomo. W każdym jednak razie papierowe przepadły bez śladu, pergaminowe znajdują się dziś w bibliotece Dzieduszyckich we Lwowie.

Oto są dzieje żywota lwowskiego cechu malarskiego, dzieje jednak sztuki malarskiej we Lwowie stoją po za nim i osobnego wymagają opracowania.

VI.

ARTYŚCI

KAMIENICA NESTEROWICZOWSKA

Artysta dramatyczny p. Józef Chmieliński, odgrywa po za teatrem, rolę... kamienicznika. Ponieważ rola taka we Lwowie, o ile chodzi o stosunek do władz wszelkiego rodzaju, nie pozbawiona jest momentów dramatycznych — tedy znajduje się pan Chmieliński na swojem miejscu. Chodzi po różnych urzędach, składa deklaracye, fasye, podpisuje kontrakty, wydobywa ekstrakty tabularne i konsensy na przeróbki i restauracyę, ma „krzyż pański“ z majstrami i przedsiębiorcami, ma „swojego mola, co go gryzie“ w formie władzy podatkowej i „klina“, zabitego w głowę w postaci zapadających i zapadłych rat hipotecznych.

Ponadto zaś ma jeszcze p. Chmieliński co chwila sensacyjną niespodziankę w swoim własnym domu przy ul. Blacharskiej 8. Kiedy ją kupował od spadkobierców śp. Franciszka Mozera, tę kamieniczkę o kilku oknach frontu, przytykającą do tylnej części kamienicy królewskiej, była to rudera ze śladami usiłowanej stylowości empirowej, ze serwitutem widoku i światła na dziedziniec domu ongi Jana Sobieskiego, pełna zakamarków, zabielonych sklepień etc. Sumienna restauracya jednak i gruntowne odczyszczenie na rzecz tutaj się sprowadzić mającej filii pocztowej, wydobyła na jaw szczegóły zgoła niespodziewane. Z pod młotka murarskiego odbijającego tynki wychodzić poczęły prawdziwe mary przeszłości i to przeszłości długiej, kilkuwiekowej, która do szczętu pokrytą była świeżą warstwą, naniesioną przez późniejsze czasy.

Szczęściem do pewnego stopnia dla starej lwowskiej

architektury był fakt, że restauracyę starożytnych kamienic przeprowadzano z końcem ośmnastego i do połowy ubiegłego wieku powierzchownie tylko, zamazując i powlekając tynkiem a wapnem wszystko, co raziło ówczesne gusta i smak estetyczny. W ten sposób dziś przy umiejętnej restauracyi, ocalić można przynajmniej fragmenty dawnej sztuki, podczas gdy obecny system budowlany, polegający zasadniczo na burzeniu i demolacyi i tej nawet skromnej nadziei nie daje na przyszłość.

P. Chmieliński spostrzegłszy się, że jego kamienica przy ul. Blacharskiej kryje w swojem wnętrzu różne tajemnice, poświęcił dużo uwagi, staranności i pieczołowitości, celem jej należytego odnowienia i oto z pod brudnych i okurzonych obsłonek wyłaniać się poczyna starodawna, poważna sadyba mieszczańska, sięgająca założeniem swojem tych czasów, kiedy obywatelstwo lwowskie miało dużo poczucia monumentalności, a architekci swój odrębny, z Włoch wprawdzie przyniesiony, ale na lokalnych motywach oparty styl i zdobnictwo. Są tedy w kamienicy p. Chmielińskiego, wybudowanej w pierwszej połowie siedmnastego wieku, w zwykłej u starego Lwowa ciasnocie miejsca, z wyzyskaniem każdego skrawka terenu, są w tej kamienicy leżącej jakby na pograniczu dawnej dzielnicy ruskiej i ormiańskiej, wszystkie typowe dla dawnej sztuki lwowskiej szczegóły, a więc beczkowe sklepienia w jednej części parteru, drewniane profilowane stropy z rzniętemi gwiazdami i innymi ornamentami pośrodku, kamienne obramienia okien z charakterystycznemi rozetami, resztki międzyścieży, pokrytych w całości bogatą ornamentyką, z wybitnemi znamionami upodobań lwowskiego patrycyatu i tutejszych „lapicidów“ — rzeźbiarzy.

Ale tego rodzaju szczegółów architektonicznych i fragmentów sporo przechowało się w lapidaryum Archiwum miejskiego i w dziełach Władysława Łozińskiego, tak, że u p. Chmielińskiego one właściwie nowością nie są. Prawdziwą natomiast niespodzianką są dwa odskrobane freski we wnękach okiennych klatki schodowej, na wysokości drugiego piętra. Jeden z nich przedstawia obraz Matki

Boskiej w medalionie, drugi podobny medalion z wizerunkiem Chrystusa, obydwa ze szkoły bizantyjsko-ruskiej i obydwa wcale nieposledniej wartości artystycznej. Matka Boska przedstawiona jest z dzieciątkiem, wychodzącem jakoby z jej łona i rękoma do góry wzniesionemi. Typ taki znany jest w starszej sztuce bizantyjskiej, chociaż w tym wypadku o tyle odbiega od utartych szablonów, że nawet znawcom trudno jest rozeznać, czy to Matka Boska t. zw. „Premudrost", czy też „Hodegitria" (Putywodnaja), czy wreszcie „Wopłoczenie" (wcielenie Chrystusa). W każdym jednakowoż razie żywy koloryt z przewagą barw: czerwonej i złotej i dobry rysunek wskązują na biegły pędzel i lepsze artystyczne wyszkolenie. To samo odnosi się i do drugiego fresku, na którym przedstawiony jest Chrystus ze złotym nimbem nad głową, z ewangelią w jednej ręce, podczas gdy druga wzniesiona do błogosławieństwa i w płaszczu nasianym czerwonymi krzyżykami.

W ten sposób znalazł p. Chmieliński w kamienicy swojej zamarły kawał ruskiego Lwowa, ślady wschodniej kultury, o ścianę tylko od wyrafinowanego zbytku z czasów Ludwika XIV., którym otaczała się w kamienicy królewskiej żona Jana III, Marya Kazimiera. Tak było zawsze we Lwowie, że dwa światy graniczyły ze sobą i mieszały się nawzajem różne nacye, różna wiara i różny obyczaj.

Któż jednak z Rusi lwowskiej mieszkał dawnymi czasy w domu, oznaczonym dziś liczbą 8. ul. Blacharska, kim był on człowiek żarliwej wiary, któremu niedość było ikonów o kilka kroków dalej w cerkwi wołoskiej, że je aż mieścił na własnych schodach i malować je kazał na mokrem wapnie, aby skrzepły w fresk niespożyty?

Historya dawniejsza kamienic lwowskich jest mimo obfitości materyału, bardzo żmudnem zadaniem. Bo nie miały one żadnych numerów, żadnej oryentacyi, a tylko miano swoich właścicieli, zmieniające się ciągle w mowie potocznej i w aktach. To też drogą macania na oślep udało nam się stwierdzić ponad wszelką wąpliwość, że na dzisiejszą posesyę artysty dramatycznego p. Chmielińskiego

złożyły się dwie stare kamienice mieszczańskie. Jedna nosiła miano „kamienicy Łyskiewiczowskiej, alias na Krzywem kole“, drugą zaś była „kamienica Justkowiczowska“ — w pierwszej siedział Ormianin, w drugiej Rusin, bo tu była właśnie linia graniczna między dzielnicą ormiańską i ruską. Nazwę zaś „Krzywe koło“ zawdzięczała kamienica sławetnego Grzegorza Łyskiewicza tej okoliczności, że leżała u zakończenia krętej ulicy pod Dominikanami, dziś Arsenalską zwanej, Justkowiczowska zaś pierwotnemu właścicielowi, nieznanemu nam bliżej Justkowiczowi. O ile jednak właściciele „Krzywego koła“ odznaczyli się w życiu Lwowa tem tylko, że utrzymywali handel korzenny i świec woskowych, o tyle późniejszym właścicielom drugiej kamienicy, Justkowiczowskiej, danem było odegrać ważniejszą rolę i o wiele ciekawszą.

Przez cały środek wieku siedmnastego siedział na niej Stefan Nesterowicz, obywatel lwowski, wiary wschodniej i gorliwy rzecznik nacyi ruskiej we Lwowie. Jego żona Zofia, z domu Strzelecka, przyniosła mu tradycyę rodu, który pierwszym był zawsze wśród lwowskiej Rusi, sam zaś Nesterowicz nazywał się właściwie Krasowski. I jeżeli trudno go wywieść od słynnego przy końcu wieku XVI. we Lwowie, budowniczego Krasowskiego, to niewątpliwie pochodził on z tych Krasowskich, których nazwiskiem brzmiała Ruś lwowska rozgłośnie, albowiem przyjaciółmi byli hospodara wołoskiego Mohyły Bernawskiego i zawsze wpatrzeni byli w dalekie wschodnie krainy, skąd szła siła dla ich wiary i pieniądze na cerkiew wołoską.

Stefan Nesterowicz Krasowski był jednym z najbogatszych mieszczan lwowskich wogóle. Kiedy trzeba było płacić okup Kozakom i Moskwie w czasie dwukrotnego oblężenia Lwowa, obliczono jego majątek na 100 tysięcy złp., sumę, którą kilka tylko rodów współczesnych mogło się wykazać, a na którą obok gotówki i towaru złożyły się trzy kamienice w dzielnicy ruskiej. O ofiarności jego na rzecz cerkwi świadczyła duża lampa srebrna razem z tablicą, zawieszona na pryncypalnej części ikonostasu cerkwi wołoskiej t. zw. „Deisusie“ — o wykształceniu

zaś, charakterystyczna zapiska pod jednym z aktów Stauropigii: „Stefan Nesterowicz, jako pisać nie umiejący przy krzyżyku ręką Jana Mazarakiego podpisuję się“. Niepiśmienność nie przeszkodziła mu wcale w osiągnięciu serwitorjatu królewskiego. W r. 1661 zaliczył go Jan Kazimierz w poczet sług swoich, a dokument odnośny nie omieszkał Nesterowicz zanieść do aktów grodzkich, celem oblaty ku wiecznej pamięci. Za Jana Sobieskiego czekał go jeszcze większy zaszczyt i nagroda za ofiarność dla Rzeczypospolitej w czasie wojen tureckich: został nobilitowany i w poczet szlachty policzony w roku 1676. na sejmie koronacyjnym Jana III. „Godzien zawsze — czytamy w odnośnej uchwale sejmowej w Voluminach legum — wielkiej nagrody ojczyzny syn, który w potrzebie Rzeczypospolitej z uszczerbkiem fortun swoich nam i Rzeczypospolitej czyni przysługę. Nie inną, gdy urodzony Stefan Nesterowicz Krasowski z miłości dla ojczyzny, znacznie swojej własnej, na potrzebę wojenną, na teraźniejszą kampanię, uszczerbiwszy substancyi, suplementował Rzeczypospolitej potrzeby, tedy w nagrodę tej życzliwości, onegoż z potomstwem jego obojga płci, za zgodą wszech stanów, powagą sejmu teraźniejszego, do klejnotu szlachectwa polskiego przypuszczamy“.

Klejnot szlachecki miał dla Stefana Nesterowicza ten przedewszystkiem skutek, że uwolnił go od opłaty podatków miejskich. Odtąd w regestrach podatkowych, obok kamienicy Justkowiczowskiej widnieje wymowna notatka „Jm. Pan Stefan Nesterowicz — szlachcic“ i puste okienko, w którem dawniej wpisywano zapłaconą kwotę.

Po śmierci Stefana, posesorem kamienicy, teraz już powszechnie „Nesterowiczowską“ zwanej, został syn jego Mikołaj Krasowski, osobistość w dziejach Rusi lwowskiej poczesne zajmująca miejsce tak, że doczekała się nawet osobnej monografii pióra Izydora Szaraniewicza. Urodzony w r. 1644, ożeniony z Anastazyą Ławryszewiczówną, był Mikołaj Krasowski przez lat 10, do r. 1682 pisarzem Staurópigii, a później, do r. 1697, to jest do śmierci swojej, jej seniorem, oraz głową Rusi lwowskiej, jej rozumem,

gospodarzem, rzecznikiem i to w czasach dla wschodniego obrządku bardzo ciężkich. Oto bowiem, na stolcu u św. Jura siedzący, episkop Szumlański przygotowywał unię z Rzymem, o której Stauropigia nawet i słyszeć nie chciała, trwając całą siłą duszy i przywiązania przy „błahoczestju“. Krasowski był jednym z najgorętszych fanatyków wschodniej wiary. W duszy jego grała rodzinna tradycya związków z hospodarami wołoskimi, a wzrok z utęsknieniem kierował się ku dalekiej Moskwie i ku świętej górze Athos, wyglądając ratunku dla „błahoczestywych“ i zbawienia dla cerkwi.

To też i dom jego prywatny stał się twierdzą wschodniego obrządku. Anastazya Krasowska w najszczytniejszych marzeniach swoich widziała się mniszką czernicą w kiewopeczerskim monasterze, a gnał ich wszystkich do walki i wytrwania krewny domu, jeromonach Samuił Krasowski, zakapturzony i czarny mnich od św. Onufrego.

Na tem tle powstały freski religijne w domu przy ul. Blacharskiej l. 8. Zdobił nimi sadybę swoją senior Stauropigii i starszy narodu ruskiego, sam prawdopodobnie bezdzietny, żyjący w atmosferze religijnej ekstazy i dewocyi, którą napełniała dom cały, jego żona i jeromonach Samuił. Malował zaś owe freski według wszelkiego prawdopodobieństwa malarz Aleksander, o którym często wspominają współczesne rachunki stauropigialne.

Mikołaj Krasowski umarł w r. 1697, a na trumnie jego przybiła Stauropigia portret z herbami Jelita i Szreniawa. Jelitą bowiem pieczętowała się rodzina jego matki Strzeleccy, Szreniawę zaś otrzymał ojciec, Stefan Nesterowicz w r. 1676. Anastazya Krasowska osiadła w monasterze kijowskim, właścicielką zaś domu przy ul. Blacharskiej została siostra Mikołaja. Około r. 1725 kupił od niej dom ten kasztelan podlaski Adam Rzewuski, dla zaokrąglenia kamienicy królewskiej, której był posesorem. Syn jego Michał Rzewuski, wojewoda podolski, dokupił jeszcze sąsiednią kamienicę „Krzywe koło“, połączył je razem i zrestaurował gruntownie, nadając tak jednej, jak i dru-

giej, jak wreszcie i klatce schodowej w kamienicy królewskiej cechę upodobań empirowych z końca XVII w.

Wśród rozmaitych pertraktacyi spadkowych z początkiem XIX w. kamienice te znowu zostały rozdzielone, królewską odzierżyli Ponińscy, dawna zaś sadyba Krasowskich, zmieniona nie do poznania, zmieniała też często swoich właścicieli, między którymi znajdował się w połowie ubiegłego stulecia, wybitny obywatel lwowski, Kazimierz Dendor, później Franciszek Mozer, a teraz p. Józef Chmieliński, który tak wspomniane freski, jak i wszystkie pamiątki w niej się znajdujące, postanowił pod nadzorem Grona konserwatorów, jak najskrupulatniej oczyścić i zakonserwować.

VII.

MALOWANE STRASZAKI

W połowie ośmnastego stulecia był Lwów całkowicie już spowity gęstą siecią jezuickich bractw, kongregacyi i sodalicyi. Ruchliwe i energiczne potomstwo Ignacego Lojoli umiało znaleść przynętę dla wszystkich dusz, rozgrzanych fanatyczną wiarą swojego czasu, spragnionych nieba, lub, co najczęściej, przejętych obawą piekielnego ognia. W ten sposób, zaraz po osiedleniu się we Lwowie, zdołali Jezuici uformować dwie sodalicye: większą i mniejszą (1610—1615) — oraz kongregacyę Germanów, to jest Niemców, we Lwowie zamieszkałych. Zorganizowano dalej w osobne bractwo zwolenników „dobrej śmierci“ (1684), jak niemniej adherentów „Opatrzności boskiej“, a wreszcie wielbicieli „Serca Jezusowego“ (1730). Każda kongregacya miała swoje godności, urzędy i tytuły, to też w całem mieście roiło się od asystentów, sekretarzy, kanclerzów, konsyliarzów, skarbników, notaryuszów, marszałków, prefektów, kolektorów itp.

Jedynie tylko z organizacyą mieszczan lwowskich szło Jezuitom jakoś, jakby po grudzie. Założona w r. 1630 „kongregacya obywatelska“ od samego początku słabe jeno dawała znaki życia, aż wreszcie zanikła zupełnie w czasach wojennych i nad wyraz burzliwych. Dopiero w r. 1735 udało się na nowo skupić sypki żywioł mieszczański i nadać mu wszelkie formy „szlachetnej kongregacyi obywateli lwowskich“.

I byłaby ta organizacya utonęła raz na zawsze w morzu słodkiego zapomnienia, zwłaszcza wśród burzy dziejowej, która w lat kilkadziesiąt potem rozpętała się nad

zakonem, gdyby nie pierwszy prefekt kongregacyi, a równocześnie burmistrz miasta Lwowa, Kazimierz Kirkur. Ten to bowiem mąż, patrzący snać na rzeczy pod monumentalnym kątem wieczności, sprawił zaraz w pierwszym roku swojego urzędowania wielkie „album“, czyli księgę do zapisywania przychodów, rozchodów i ważniejszych zdarzeń w kongregacyi. Sprawunek ten kosztował całych dwadzieścia florenów, ale wydatek opłacił się, bo potomność nie miała serca znęcać się nad porządnie oprawioną i zapisaną księgą. W ten sposób ocalała ona z ogólnego rozbicia po kasacie Jezuitów i po różnych perypetyach zawędrowała aż do biblioteki ruskiej Kapituły w Przemyślu, gdzie dziś czuwa nad nią zazdrośnie ks. prałat Podoliński [10]). Dzięki tedy wspomnianej przezorności Imć p. Kirkura, czyny kongregacyi obywateli Lwowa nie mogą już utonąć w niepamięci. Twierdzimy nawet, że stać się to nie powinno, bo niektóre dzieła tej zbiorowości mieszczańsko-jezuickiej mają klasyczną wartość dla dziejów kultury ośmnastego wieku, a same zadziwiają wprost swoją „artystyczną“ pomysłowością i barokowo powykręcaną myślą. Znajdzie się tu także kapitalny przykład, jak się tego rodzaju społeczność porała z niektóremi chorobami społecznemi, zwłaszcza zaś, jakie pomysłowe środki miała przeciwko zepsuciu młodzieży.

Przedewszystkiem jednak wiedzieć trzeba z kim się ma do czynienia. Zaraz tedy na pierwszych kartach albumu przedstawiają się dzisiejszemu czytelnikowi poszczególni prefekci kongregacyi w chronologicznym porządku. Towarzystwo wcale porządne: sami burmistrze i prezydenci miasta Lwowa. Każdy z nich dźwiga równie pompatyczny, jak pusty w treści swojej tytuł „sekretarza Jego Królewskiej Mości“, niektórzy zdołali uszczknąć w Kuryi rzymskiej tytuł „protonotaryusza apostolskiego“, a jeden z nich, Jan Dominik Wilczek, nosił wcale morowy tytuł „kawalera złotego krzyża i komesa pałacu Laterańskiego“. Poza tem wszystkiem są to skromne już tylko i zubożałe resztki dawnego patrycyatu lwowskiego, właściciele odrapanych i zadłużonych kamienic, skromni kupcy i kiedy nie-



PLAC MARYACKI 9
(Dom zburzony).

kiedy doktorowie obojga prawa i medycyny: Reinhold Złotorowicz, Jan Solski, Piotr Kupiński, Jan Wilczek, Franciszek Gordon, Mikołaj Ziętkiewicz, Karol Garani, Tomasz Francchi, Michał Wierzbic, Jan Wemmer, Franciszek Venino, Jan Durbas, Wojciech Bem, a nawet Bazyli Iliasiewiec Komoniec, Rusin prawowity.

Otóż wszyscy ci panowie, jak niemniej cała Kongregacya, obok pospolitej obawy mąk piekielnych, podniecanej wymową kaznodziejów, mieli także pewne potrzeby duchowe, a przedewszystkiem pragnienie okazałości i splendoru. Te więc aspiracye zaprowadziły nasze stowarzyszenie bardzo rychło na pole wydatków artystystycznych. Przyczynił się jeszcze do tego i pożar Lwowa z r. 1734, który wypalił i strawił mnogo dzieł sztuki, tak w kościele jezuickim, jak i w sąsiednich kościołach św. Ducha i franciszkańskim.

Z tych wszystkich okoliczności skorzystał przedewszystkiem malarz Jędrzej Boguszowicz, któremu już w r. 1735 kapnęło dwa razy po 8 złp. za odmalowanie obrazu Matki Boskiej Bolesnej. Również i „Stefan malarz“ partaczył coś, za niewielkie pieniądze, koło starego obrazu Nawiedzenia M. B., a „malarz Aleksander“ został „ztargowany“ na 7 złp. za odnowienie i odmalowanie obrazów na drzwiach kongregacyjnych.

Niebawem jednak stanęli lwowscy mistrze, jak jeden mąż, do wielkiego konkursu artystycznego. Kongregacya bowiem zaczęła się meblować także i nowymi obrazami, dając w ten sposób pole popisu i upust wszelakim aspiracyom malarskim. Namalował tedy jeden z mistrzów nowy obraz świętych Jana i Franciszka za całe trzy floreny, drugi nowy obraz św. Józefa „kosztował ze wszystkiem, z malarzem, stolarzem, pozłotą i bleytramem florenów 12“. Aleksander malarz, mieszkający przed folwarkiem Wilczkowskim, stworzył obraz św. Jana, za który mu wyliczono na rękę dziesięć florenów, przyczem jeszcze osobno rama kosztowała florenów trzy.

Ale ich wszystkich przewyższył inwencyą i natchnieniem, znany nam już Stefan malarz. Ten bowiem nietylko,

że namalował obraz kędy Chrystus woła z krzyża do zgromadzonych sodalisów i sodalisek: „Pamiętaj na Kongregacyę twoją“, ale jeszcze wykoncypował i drugi obraz, który stał się wypadkiem w dziejach Lwowa pobożnego i artystycznego. Kongregacya bowiem zapłaciła mistrzowi wprost sensacyjne, jak na owe biedne czasy, honoraryum w kwocie 36 florenów i groszy 10, a dodatkowo jeszcze za pozłocenie ram „glancowaną sztuką“ florenów trzy i groszy 24. Wyszło przytem do tego „glancowania“ samego złota i srebra za ośmnaście florenów, a nadto jeszcze klej i ćwioczki kosztowały groszy 9.

W braku wszelkich krytyk i recenzyi współczesnych, nie możemy niestety obliczyć sumy wrażeń estetycznych, jakich doznali członkowie Kongregacyi mieszczańskiej, patrząc na tak słono zapłacone malowidło. Suma ta jednak musiała odpowiadać gotówkowym wydatkom, zwłaszcza, gdy się zważy niezwykle urozmaiconą treść obrazu. Zasadniczym bowiem motywem owego dzieła sztuki było Nawiedzenie Matki Boskiej w asystencyi świętych Józefa, Elżbiety, oraz Zacharyasza. Okolicznościowo ponadto wyobraził jeszcze artysta miasto Lwów pod nogami Matki Boskiej, a obok „wzgórze Zodyaku“ ze znakami niebieskimi „Raka“, „Panny“, „Lwa“ i „Wagi“. Bardziej wrażliwi widzowie mogli także wyczytać na obrazie symbol, tłumaczący, dlaczego święto Nawiedzenia wypada kalendarzowo i zodjakalnie między znakami „Lwa“ i „Panny“.

Niewiadomo, czy właśnie do wyżej opisanego obrazu, czy też do jakiego innego, uchwaliła Kongregacya w r. 1739 sprawić srebrną sukienkę. Przeznaczono na ten cel srebro z ośmiu łyżek srebrnych, pozłocistych, które były w zastawie u Imć p. Piotra Simonowicza. Zanim jednakowoż owe nieszczęsne narzędzia stołowe odbyły przemianę w srebrną sukienkę, musiały przejść przedtem cały szereg formalności. Osobna komisya, złożona z cechmistrza złotników, Macieja Kozłowskiego i „kleynociarza“, Jana Filipowicza, odważyła je przedewszystkiem sumiennie i stwierdziła jedenastą próbę srebra, potem zdarto z nich skrupulatnie pozłotę i oceniono je na 162 florenów.

Przy tej sposobności znaleziono na nich także pobożne sentencye i napisy, które tak przypadły do gustu członkom Kongregacyi, że specyalnie zanotowano w księdze, jako „wiersze na 8 łeszkach te były“:

1. Dał ci Bóg dary
   Zażywajcie miary.
2. Nie przepomnij człowiecze nieba
   Dla trochy chleba.
3. Nie mów, że nie znam Jezusa
   Będzie zbawiona twa dusza.
4. Błogosław nam Panie
   A dobrze się stanie.
5. Ty Bogiem jesteś moim
   Rzekł Tomasz w sercu swojem.
6. U Boga ten znaczny
   Kto na ubogie baczny.
7. Miłuj nieprzyjaciele z serca
   Będzie też ciebie twój Twórca.
8. Acz szalbierze zawsze
   Z nimi w mierze baw się.

Jakkolwiek by dzisiaj wypadła ocena powyższych wierszyków, to zawsze dobrze się stało, że Kongregacya mieszczan lwowskich zdjęła je ze swoich łyżek i przechowała dla potomności. Byli bowiem współcześnie i tacy, którzy ze staremi srebrami obchodzili się znacznie bezceremonialniej i zniszczyli nietylko napisy, ale i wiele godnej a misternej roboty starych złotników.

Wśród takich stosunków i takich nastrojów estetycznych wszczęła szlachetna Kongregacya obywateli lwowskich akcyę przeciwko zepsuciu wśród młodzieży. „Swawola studentów“ zwłaszcza i przedewszystkiem w samem kollegium jezuickiem, oddawna już napełniała zgrozą szanowne mózgi, z których szał młodości dawno już wywietrzał. Mówiono tedy ze świętem oburzeniem o wybrykach,

kryjących się jakoby po wszystkich zakątkach szkoły, mówiono też o jawnogrzesznictwie, dziejącem się w obliczu samej nawet Kongregacyi. Szukano więc środków zaradczych i to tak radykalnych, ażeby raz na zawsze urwać było można łeb hydrze zepsucia.

W arsenale tych środków niepoślednią naonczas rolę odgrywały... odstraszające obrazy. Chodziło mianowicie o to, ażeby jaskrawem przedstawieniem śmierci straszliwej, albo mąk piekielnych podziałać tak piorunująco na wyobraźnię widza, by ten ostatecznie wszedł na drogę cnoty i pobożności. Kongregacya obywateli lwowskich nieraz już zaprzęgała w ten sposób sztukę malarską do rydwanu publicznej moralności. Jeszcze bowiem w r. 1735 zapłacono malarzowi „od różnych śmierci“ florenów cztery, a w r. 1793 malarzowi Aleksandrowi „od trzech płócien malowanych śmierci“ florenów 2 i groszy 16.

Ale czyto skutkiem zbyt małego honoraryum i niepodnieconej ożywczym groszem fantazyi mistrzów, czy też dlatego, że te malowane śmierci opatrzyły się już i nie czyniły zamierzonego wrażenia, dość, że zepsucie kwitło sobie w najlepsze, ku wielkiemu utrapieniu poważnych mieszczan. — Wobec tego zdobyła się Kongregacya na krok stanowczy i postanowiła stworzyć coś tak strasznego i okropnego, żeby stanowić mogło epokę i punkt zwrotny w dziejach umoralnienia społeczeństwa, a zarazem prawdziwy bicz na wszystkie grzechy i nieprawości studenckie. Do tego celu jednak nie wystarczał talent wszystkich malarzy lwowskich razem wziętych i dlatego należało szukać twórcy mocniej natchnionego, któryby potrafił zbadać i wymownie przedstawić wszystkie tajemnice piekła i w ten sposób rzucić postrach na każdą chuć grzeszną w samym jej zarodku.

Znalazł się też mistrz taki i to nawet niebardzo daleko, bo w samym zakonie jezuickim. Był to mianowicie „clarissimus Bach S. J.“ Historycy starego malarstwa, ani nawet tak bardzo szczegółowy „Słownik“ Rastawieckiego nie znają wcale mistrza o takiem nazwisku, a jednak on istniał, malował i, jak świadczy album szlachetnej Kon-

gregacyi, stworzył nie jedno ale trzy dzieła, istne straszaki na utrapioną plagę grzechu śmiertelnego.

Kongregacya ułatwiła mu zadanie, całą kasą swoją i kupiecką zapobiegliwością. Zamówiła u stolarzy trzy tablice drewniane, kupiła 15 łokci surowego płótna cienkiego po groszy 9, funt kleju, pół kamienia kredy, kwartę lnianego oleju, a nadto jeszcze garnki do kleju, garnuszki do farb, dwadzieścia cztery pędzlików i jedenaście gatunków i kolorów farb. Rachunek za te farby przedstawia się następująco: Cerussy pół funta gr. 27, — Umbry pół funta fl. 1., — Terrae anglicae ćwierć funta gr. 20. — Braunrot ćwierć funta gr. 3, — łut Kugellaku gr. 6, — łut Cynobru gr. 15, Lichtenocker ćwierć funta gr. 3, — Lack ingran. pół funta fl. 1., — Berlin blau pół łuta fl. 1., Auripigment łut gr. 3, — Dunkel ocker gr. 3.

Zachęcony nadto honorowym darem w kwocie sześciu florenów, zabrał się „clarissimus Bach S. J.“ w r. 1741 raźno do roboty, tak, że już niebawem zachlastał swoimi jedenastu kolorami farb całych piętnaście i pół metra cienkiego płótna.

Tak powstały trzy obrazy, rodzaj cyklu, z pobożną introdukcyą i sielankowem zakończeniem. Punktem kulminacyjnym cyklu i właściwym straszakiem na młodzież był obraz drugi, pod względem treści najokropniejszy, sens zaś moralny wyrażony był wreszcie słowami lapidarnego sześciowiersza. Z treści obrazów i ich tendencyi była Kongregacya do tego stopnia zadowolona, że pisarz uznał za stosowne podać ich treść szczegółową i zanotować, jako teraz wszystkie plugastwo zostanie ze szkoły niezawodnie wyeliminowane.

Na pierwszym obrazie przedstawił mistrz mękę pańską i przystosował ją do potrzeb kongregacyjnych i szkolnych o tyle, że obok św. Jana i Matki Boskiej pomieścił dwie grupy młodzieńców szkolnych, klęczących z nabożnie złożonemi rękoma i wzrokiem wpatrzonym w krzyż. Z ust Chrystusa wypływały, współczesnym obyczajem malarskim, wstęgi z odpowiednimi napisami z pisma św. O żadnej swawoli nie było mowy na tym obrazie, a mistrz

chciał zapewne przedstawić wzorowych pauprów szkolnych, ku nauce i zbudowaniu.

Drugi obraz natomiast miał być szczytem i symbolem myśli wychowawczej ks. Bacha i Kongregacyi, a zarazem jak najjaskrawszem przystosowaniem zasady odstraszania od grzechu. Ci sami bowiem studenci, którzy na pierwszym obrazie znajdują się w rodzaju pobożnej ekstazy, tutaj wpadają nagle w wir bardzo ożywionej akcyi, rozgrywającej się równocześnie nad obłokami i pod obłokami. W pierwszej części, to jest ponad obłokami stały dwie grupy pauprów, patrząc na to, co im pokazywali dwaj aniołowie, tj. na krzyż i Matkę Boską. Napisy na wstęgach, biegnących od ust anielskich, świadczyły, że ci synowie niebios przemawiali do młodzieży o czci należnej świętym. Znacznie gorzej natomiast działo się na dole pod obłokami. Tam już „clarissimus Bach“ nie żałował farby, ani ponurego nastroju, ale użył sobie do syta na wszystkich okropnościach piekielnych. — Widać tam więc było przerażone gromady pauprów, dokoła których kościotrupy i rozmaici dyabli taniec swój zawodzili piekielny. Od góry artylerya niebieska grzmiała snopami zygzakowatych piorunów, obok czart otwierał czeluści piekielne, a poprzez wszystko na stosach trupich kości spacerowała sobie śmierć blada. Taki los i przeznaczenie zgotował „clarissimus Bach“ niesfornym i swawolnym studentom!

Treścią obrazu trzeciego było coś w rodzaju niebiańskiej idylli. Namalował więc „clarissimus Bach“ i ustawił w jednym rzędzie świętych Michała, Gabryela i Rafała. Każdemu do jednej ręki wetknął miecz, lilię albo róże, do drugiej zaś tarczę z obrazami Chrystusa, Matki Boskiej i św. Józefa. Obok tych trzech archaniołów uwijała się gromada pospolitych aniołków, z których każdy dźwigał bądźto krzyż, bądź miecz, hełm, lub tem podobne insygnia. Poniżej, wśród kwiecia i zieleni, stała gromada pauprów szkolnych i patrzyła z zachwytem na te cuda i mieszkańców niebieskich. Koroną zaś całego dzieła była sroga admonicya wierszowana, pomieszczona u samego spodu i skierowana pod adresem młodzi szkolnej:

„W każdej gospodzie twojej i w każdym kąciku
Uczcij anioła swego skryty niewstydniku
Szpetny paskudniku!

A nie śmiej tego czynić w jego obecności
Czegobyś nie śmiał czynić w mych oczu baczności
Dla twej poczciwości".

Takie było dzieło ks. Bacha S. J. i takie myśli jego ku naprawie młodzi szkolnej, oparte na zasadzie, według której dziś jeszcze wieśniak ustawia na polu swojem rozmaite potworności, celem odstraszenia natrętnych i żarłocznych wróbli. — Czy dzieła te, z takim sumptem Kongregacyi a inwencyą mistrza poczęte spełniły swe zadanie, czy istotnie przestraszyły pauprów jezuickich, nawiodły ich na drogę moralności i cnoty — trudno o tem coś pewnego powiedzieć tem bardziej, że milczy także w tym względzie i nasze album kongregacyjne. Jedna się tylko nasuwa uwaga. Oto ta młodzież, którą „clarissimus Bach" starał się malowanymi swojemi dziełami tak bardzo przerazić, wyrosła później w pokolenie niezwykle hulaszcze, to samo, które, po rozbiorze Polski, zapewniło miastu naszemu istotnie smutną sławę, grodu o bardzo wolnych obyczajach.

Dzieła ks. Bacha S. J. przepadły i znikły bez śladu. I gdyby nie spotkał ich los taki, to kto wie, czyby dopiero dzisiaj nie spełniły swej roli, polegającej na wywołaniu przestrachu. Przestraszyliby się ich może historycy sztuki i krytycy, przestraszył prof. Antoniewicz z prezydentem Rutowskim — dr. Kozicki, razem z dr. Treterem...

VIII.

PLAC SOLSKICH.

(OBRAZEK WCALE NIE BARWNY).

Dziesięć razy może przejść Lwowianin koło placu Solskich i dziesięć razy nie zauważyć jego istnienia. Bo przeciętnie elegancki osobnik zapuszcza się w te strony tylko wówczas, gdy go nagła wzbierze tęsknota do podkasanych skoków, jaskrawych łamańców, ochrypłej a wyuzdanej piosenki, których stałą siedzibą jest pasaż Hermanów. Do placu Solskich zresztą odwrócił się tyłem nawet jedyny jego monumentalniejszy budynek, zwany „gmachem sukursalnym teatru miejskiego“. I tak świadkami, wielce handlowych i odpowiednio przytem hałaśliwych zdarzeń tego miejsca są tylko jednostajnie brzydkie szeregi okien od ulic Wagowej i Pełtewnej, oraz mocno połamana i poszczerbiona linia od strony sympatycznych „Opałek“.

Za czasów wolno i otwarcie płynącej Pełtwi, żydowskie Gheto patrzyło na plac Solskich po przez rzekę, wylotami ulic Starozakonnej, Łamanej, Bożniczej i Zakątnej. Dziś miłe te uliczki, razem z placem Rzeźni, kokietują go bezpośrednio, najbardziej zaś natarczywie wysunął się ku przodowi parkan z olbrzymim napisem: „kupno i sprzedaż starego żelaza“. Całość patrzącemu od „gmachu sukursalnego“ przedstawia się co prawda niezbyt uroczo i kokieteryjnie, ale za to w dnie targowe pełna jest groteskowego charakteru. Oto przodem ruchliwa i drgająca plama, na którą złożył się chaotycznie zmotłoszony kłąb fur wiejskich, zmarniałych koniąt, stogów siana, kapuścianych łysin i czerwonych „Bóg zapłać“

u kapot wieśniaczych. Plama ta razem z wzorzystą chustą bab wiejskich i obszarganym chałatem wiruje koło przysadkowatej budy, na której napis „waga miejska“. Dalej po lewej stronie kilka szeregów kadzi rybnych, po prawej zaś rumowisko starego żelaziwa: pordzewiałe rury od pieców, fantastycznie powyginane i postrzępione blachy, zczerwienione od starości kadłuby kotłów parowych. W głębi nareszcie, w dalekim, sinym majaku widać dyndające na żerdzi damskie pończochy, czerwone barchany, bezwstydnie rozłożone tajne części garderoby, kulawe meble, czyli właśnie wszystko, czego dostać można na „Opałkach“.

Plac Solskich, oficyalnie zwany „Targowicą zbożową“ jest miejscem, gdzie się wieś podlwowska spotyka z przednią strażą kultury miejskiej, której reprezentantami są tutaj chałatowy engrosista, wymowna przekupka, rzezimieszek, czasami nożowiec, lokal, który jeszcze nie „pokojem do śniadań“, ale bez ogródek nazywa się „szynkiem“, a nareszcie nie określona jednostka, której mina usłużna i porozumiewawczo przymrużony wzrok, świadczy o gotowości do usług każdego rodzaju.

Wieś podlwowska spotyka się z mętem miejskim na błotnej kałuży placu Solskich. Odpowiednio do pory roku i pogody jest tamtejsze błoto, albo zmięszaną ze śniegiem pstrokacizną, rozlewną strugą o lśniącej powierzchni, albo tumanem niepolewanego kurzu. Oko władz magistrackich sennie jeno spoczywa na tym kawałku błotnistej ziemi, który od lat wielu stał się jakiemś zaniedbanem, a mimo to wiecznie ruchliwem boiskiem ludzkich interesów, kędy nie rozkwitła żadna twórcza nadzieja, ani uciecha z własnego kąta. Nawet ci, co tu osiadali na stałe, marzyli przy świeczce sobotniej, o innej, dalekiej ziemi obiecanej, a niczyja fantazya nie pisała gmachów poważnych, ni piękna sztuki lub wielkomiejskiej ozdoby miejscu, które zawsze było gruntem pustym — opuszczonem, smutnem polem.

Beznadziejny zaułek, zapomniana i w odwieczne bloto wkopana kraina.

Poraz pierwszy rozbudziło się nad nią senne oko magistrackie w r. 1610. W bagnistych oparach i brudnej mgle Pełtwi majaczyła tuż zaraz za murami miejskimi i bramą krakowską płaszczyzna, na której jeno błotne ptactwo i dwa młynki wodne klekotały. Jeden z nich z dawien dawna zimnowodzkim nazwany, na wysokości dzisiejszego placu Gołuchowskich, drugiego zaś koła obracane były wodą malutkiego strumyczka, który wyprysnąwszy gdzieś z ulicy Źródlanej, płynął środkiem dzisiejszego placu Solskich i krótki swój żywot kończył w Pełtwi. Po za nim było kędyś miejsce, gdzie wybijano psy, wałęsające się po mieście, a dalej rozpoczynały się już haszcze i zarośla i szły dalej, jak okiem sięgnąć, aż do Kleparowa [11]).

Wszystko to dzierżawił od miasta p. Szymon Wacławowicz za czynszem rocznym 2 złp., a martwota i pustka, przerywana tylko jękiem psich egzekucyi, tak niepodzielnie zapanowała w tem miejscu, że nawet starzy ludzie zapominać poczęli zwolna o dzierżawie i dzierżawcy. Nagle w r. 1610 spostrzegli ekonomowie miejscy, że zakwitło tu cichaczem życie nowe bez żadnego prawa, ani kontraktu [12]). Pan Szymon Wacławowicz bowiem nietylko, że sam od lat piętnastu czynszu wcale nie płacił, ale sprowadził jeszcze bezprawnie z jurysdykcyi starościńskiej na lewy brzeg Pełtwi, powyżej młyna zimnowódzkiego, całą kolonię Izraela, który mnożył się tam już w drugiem pokoleniu.

Siedział tedy nad brzegiem Pełtwi, babylońskie wspominając wody, Abraham Jakubowicz, obok niego Lewko Kobyłka, a dalej Ezdrasz Kordybannik, Jakób Joel, Abraham Sawka i wielu innych mężów bogobojnych i cnotliwych. Na nich to padł wielki strach i nie ostał się duch w żadnym człowieku, gdy magistraccy Filistyni przyszli zabrać domy ich, pełne dobytku i towarów. Ale Pan usłuchał głosu synów Izraela i skruszył serca Edomitów magistrackich, każąc im wziąć tylko sowity grosz czynszowy. I zostało to miejsce nadal pełne sprawiedliwości mężów zacnych, a prawość w niem nocowała.

Odtąd też czynsz po 17 do 20 groszy od jednego domu ostał się na całym placu Gołuchowskich i zaciężył tabularnie na właścicielach, aż do początków dziewiętnastego wieku.

A tymczasem czujne oko magistrackie zmrużyło się znowu nad zapomnianym kątem. Umilkły o nim wszelakie akta, nikt się nie spierał o błotnistą pustkę, tak, że gdy nareszcie z końcem ośmnastego wieku uchylił się nieco rąbek zapomnienia, to z poza niego zamajaczyły te same dwa młynki rozklekotane, ta sama zielskiem obrosła kałuża, a jeno w górze po drugiej stronie odnogi Pełtewnej dwa, tyłami do siebie zwrócone domki i studnia z żórawiem patrzyły po przez gęstwinę drzew na zatyłki domów dzisiejszego placu Gołuchowskich.

Na tle tego nieokreślonego i beznadziejnie banalnego krajobrazu rysowały się podówczas sylwetki dwu panów Solskich. Z nich jeden, Jegomość Pan Marcin Solski miał twarz kasztelańską, którą ospa zorała do szczętu, tak, że wąs nawet został przetrzebiony i czernił się na górnej wardze, jak rzadki zagajnik. Zresztą powaga była na tem obliczu, a spięty pod szyją karmazyn, [13]) świadczył, że pan Marcin Solski jest osoba i personat, niekoniecznie może senator, ale za to rajca i burmistrz lwowski, posesor Zubrzy i Skniłowa, pan kamieniczny i mocno pieniężny, a przytem obywatel dobry i szczery. On miastu pieniędzy pożyczał, kiedy ono już żadnego kredytu nie miało, on w najsmutniejszych czasach między polskiem a austryackiem panowaniem stał i trwał u bramy ratusza, już nie dumny patrycyusz, ale kłaniający się w pas rosyjskim i austryackim generałom, żebrząc prośbą, podarunkiem, niewielką łapówką zmiłowania dla grodu, opuszczonego przez króla i Rzeczpospolitą. I on też wraz z stanami i narodami miasta uchwalał i podpisywał na ratuszu rezolucyę do generała Hadika i gubernatora Pergena, że miasto Lwów nie może przysięgać nowemu rządowi, a chce pozostać wiernem Najjaśniejszemu królowi polskiemu. Bez rady i bez pomocy, bez żadnej nadziei uległ wreszcie, tak jak ulegli wszyscy „nie bez wielkiego

zamieszania umysłu", ale mimo to nie spotykamy go przecież w rzędzie austryackich dygnitarzy, jak właśnie drugiego ze Solskich, pana Franciszka Ksawerego, być może brata jego rodzonego.

Sylwetka tegoż Franciszka Ksawerego mniej wyrazista na tle dziejów miasta, tem silniej jednak występuje na tle placu błotnistego, który obaj Solscy wciągnęli w zakres swoich interesów i któremu nadali tradycyonalne miano. Jegomość Pan Franciszek Ksawery Solski był za Rzeczypospolitej ławnikiem lwowskim, pod rządami zaś dwugłowego orła zmienił ten tytuł, na o wiele dźwięczniejszy „konsylarza apelacyjnego". W r. 1778 przelicytowawszy generała adjutanta wojsk koronnych Wiktora Drohojowskiego, kupił na publicznym przetargu za 2.850 złp. „grunt pusty niegdyś Bogdanowiczowski, teraz Zawadzkiego zwany" i zaokrąglił nim znakomicie puste grunta Solskich.

Solscy po Marcinie rozrośli się tęgo we Lwowie. Z trzech córek jedna była za Grazlem seniorem ławników, druga za Szlichtynem drukarzem, trzecia znowu za ławnikiem Wojciechem Bemem, który wtedy nie spodziewał się wcale, że z jego pnia rodzinnego wyrośnie kiedyś słynny i bohaterski generał Józef Bem. Na ostatku był Kasper Solski, jedynak pana Marcina, jeżeli chodzi o męskie potomstwo, a szewc rzetelny, gdyby komuś zależało na jego powołaniu. Ale samemu Kasprowi szewstwo jakoś nie bardzo było do twarzy. Ekspansya duchowa, zwana trywialnie „szewską pasyą", wiodła go gdzie indziej, a to tem bardziej, że naród szewski we Lwowie odznaczał się zawsze bujną fantazyą i powołaniem do służby publicznej. Mówiono, przynajmniej dawnymi laty we Lwowie, że szewc najlepszą jest hyeną wyborczą, najlepszym mowcą na zgromadzeniu, najbardziej szarmanckim rzemieślnikiem. Wszak bywali i tacy, co dla nieboszczki cesarzowej Elżbiety złote robili buciki, a jeżeli ich dziś nie robią, to tylko dla tego, że w złotych bucikach, za naszych dni, lada hadra fika na reducie.

Pan Kasper Solski złotych bucików nie robił, hyeną wyborczą być nie mógł wobec braku konstytucyi w owych czasach, ani też mowcą, ale za to został poborcą podatków magistrackich i w chwilach wolnych, między szydłem a kopytem wybierał je z takim temperamentem, iście szewską pasyą, że zasłużył sobie na pisemne uznanie władz magistrackich i pieniężną remuneracyę. O plac Solskich zaś dbał akuratnie tyle, co słoń o tytuł prezydenta chińskiej republiki, czem się zresztą nie różnił wcale od stryjecznego swego brata Bonawentury. Ten bowiem odziedziczywszy po ojcu swoim, znanym nam już Franciszku Ksawerym, grunta nadpełtwiańskie, wolał się raczej procesować z magistratem o karczmę na Kulparkowie, wolał mieszkać w ojcowym dworku przy ul. Sykstuskiej, a wśród zajęcia swojego — był komornikiem sądowym — sennem tylko okiem spoglądał, od czasu do czasu, na błotniste swoje dziedzictwo, nad coraz bardziej niewonną Pełtwią.

Tutaj też nad brzegami lwowskiej rzeczki, a w chałatowej ciżbie rozmnożonego Izraela, wzrok jego spotykał się z równie sennem i obojętnem wejrzeniem magistratu, teraz już niemieckiego. I było milczenie wielkie ponad placem Solskich, a czarne jak mgła jesienna, z błotnego dobyta oparu.

Aż oto znowu lud mędrców i uczonych podniósł wołanie, które dotarło do wyżyn i stało się źródłem rozkoszy dla wszystkich mężów sprawiedliwych, dla ich domów na „małym placu“, [14]) dla żon, synów i córek. Bo zdawna patrzył Izrael, ręce załamując, jak ordynarne fury chłopskie z pięciu rogatek miejskich zjeżdżały po pod domy sprawiedliwych, fetor nieznośny zostawiając, jak lada grubianin zaraz do bicia się zabierał i kalectwo lub nieszczęście mógł zrobić, jak krzyk i harmider turbowały mędrców, zatopionych w czytaniu świętych ksiąg kabały i Zoharu. I rzekł naród synów Izraela: pójdźmy do starszych miasta tego — oby ich imię było wywyższone — i zróbmy tak, żeby zabrali smród i zgiełk z oczu naszych. Niech plac Solskich, w tyle domów naszych stanie

TYPY Z PLACU SOLSKICH



CZYTANIE KSIĄG ŚWIĘTYCH



SPRZEDAŻ MIĘSA



OBIAD POD GOŁEM NIEBEM



ZACHWALANIE TOWARU



SPRZEDAŻ RYB



Z RUCHU TARGOWEGO

się miejscem targu, źródłem życia i majętności każdego męża.

Icyk Motteles, Joel Bodyk, Nuchim Goldstein, Moysze Goldstein, Jakób Schipper, Leib Szmulowicz, Hersz Adlass, oto imiona mężów, którzy na placu Solskich umyślili wznieść pomnik godny wybranego narodu, świątynię złotego zysku, kolumnę dobrobytu, plac handlowej mądrości, jednem słowem ...targowicę drzewną. Wszyscy oni razem wnieśli w r. 1794 zbiorową prośbę do magistratu, ażeby targ drzewny w interesie „fiskusa miejskiego i całego publicum“ przeniósł z dzisiejszego placu Gołuchowskich, na grunta Solskich, „które od niepamiętnych czasów leżą bez żadnego pożytku“.

I snać cała gmina święta, wszyscy mędrcy, uczeni i pisarze wzięli udział w zredagowaniu tej prośby, bo pełną jest ona delikatnej mądrości, słów pięknych i przyjemnych. Oto rzekł naród synów Izraela do starszych miasta: nie jest dobrze, gdy chłopskie fury i paskudne wózki aresztanckie są razem i hamują drogę pańskim pojazdom i fiakrom *(fiacres)*, gdy wielki ścisk sprawia, że nieraz urzędnik nie może przyjść punktualnie do kancelaryi. Nie jest dobrze, że chłopski fetor i koński gnój przynosi paskudny zapach na świeżo założone plantacye wałowe, bo oto państwo tam spacerujące dostaje kataru i kaszlu, woda zaś w jedynej studni brzydkiego smaku. Gdyby nareszcie powstał pożar, to może być gotowe nieszczęście.

Jeżeli jednak jaki argument przemówić mógł do magistratu, to tylko ten, że w razie usunięcia targowiska, mały plac nie musiałby być tak często szutrowany, skutkiem czego powstałaby wielka ulga dla kasy miejskiej. Wobec tego spojrzał magistrat uważniej na błotnisty zaułek placu Solskich i przedewszystkiem pod względem formalnym zadał sobie pytanie, do kogo właściwie plac ten należy. Odpowiedź była trudniejsza niżby się komu zdawało. W magistracie wiedziano coś piąte przez dziesiąte, że to grunta Solskich, syndyk miejski Zarzycki całkiem nic nie wiedział, a kiedy wreszcie zapytano Bo-

nawenturę Solskiego, które naprawdę części placu są jego własnością... to i on nie wiedział.

Biedny, w błoto wkopany, bezpański zaułek!

W takich warunkach począł być magistrat bezceremonialnym. Ku żywej radości narodu synów Izraela targ drzewny za jednym zamachem znalazł się na placu Solskich, poczem, z mniejszem już ukontentowaniem koszernej ludności, wybudowano tam w latach 1807—1810 „nową rzeźnię chrześcijańską“ kosztem 27.768 złr. [15]) — dalej zasypano, kosztem miejskim, odnogę Pełtwi płynącą środkiem placu, a naostatek sprzedano skrawek o powierzchni $39^{1}/_{2}$ sążni niejakiemu Mendlowi Beckowi.

Bonawentura Solski patrzył na to wszystko z olimpijskim spokojem, a tak samo i spadkobiercy jego Sylwester i Józefa z Trojanowskich Solscy, na których niewonne dziedzictwo spadło w roku 1810 [16]). Nie wiedząc, co począć właściwie z całym kramem, sprzedał go Sylwester Solski w roku 1833 Michałowi Sadowskiemu, który w dziesięć lat później odstąpił miastu 1756 sążni kwadratowych na otwarcie i uregulowanie ulicy Słonecznej, dalszy zaś skrawek, 125 sążni, sprzedał starozakonnemu Lejbie Rochmesowi.

Teraz znowu na odwrót patrzył magistrat z olimpijskim spokojem na te manipulacye, a tymczasem plac drogą spadku przeszedł w roku 1843 na Karola i Michała Sadowskich, którzy go w roku 1861 sprzedali za 800 złr. ze wszystkimi przynależytościami i prawami niejakiemu Jakóbowi Sawczyńskiemu.

Starsze pokolenie Lwowian pamięta jeszcze Jakóba Sawczyńskiego. Był to typ, jakiego już teraz nigdzie nie spotkać, prawdziwy kwiatek wyrosły na rabulistycznej niwie biurokracyi, który ją całą przejrzał, zrozumiał, a z jej kruczków, niedołęstwa, ślamazarności ciągnął dla siebie soki żywotne. Sawczyński był to zapoznany geniusz prawniczy, mały Napoleon kazuistyki prawnej, któremu los wyznaczył skromne miejsce doradcy pokątnego w trochę lepszym stylu. Ale też za to on wygrywał na wszystkich organach rządowych, magistrackich, sądowych, ad-

ministracyjnych, prawdziwie mistrzowskie rapsody, umiał zaduplikować, replikować, „przedstanowczo“ załatwić wszelkie sprawy tak, że lepiej by tego nie zrobił pierwszy lepszy uniwersytecki wydział prawny. Wogóle była w tym człowieku dziwna jakaś mieszanina najsprzeczniejszych pierwiastków: lisia chytrość w parze z szeroką, szczerą naturą, zgryźliwe pieniactwo, obok zamaszystego humoru, lotny dowcip w ciężkiej definicyi kodeksu cywilnego, zmysł towarzyski z pochopnością do procesów. Rusin z pochodzenia, chodził Sawczyński zawsze w stroju polskim, „człen“ lwowskiej Stauropigii, pod szyją nosił dużą, koralową spinkę, na której biały orzeł widniał z daleka, nos zatykał nieprawdopodobnemi porcyami tabaki, gardło zaś przepłukiwał dokładnie różnymi przetworami alkoholicznymi. Zresztą ustawiczne figle trzymały się jego głowy i niespodziane — iście kanibalskie pomysły, którymi bawił swoich klientów i towarzyszy przy biesiadnym stole i długiej libacyi.

Rzucając cenę kupna w błoto placu Solskich niespodziewał się Kuba Sawczyński, że owe ośmset guldenów staną się dla niego istnym posiewem wilczych zębów, z których mu wyrośnie legion trosk, kłopotów i zachodów. Na razie sprzedawał plac detailicznie i po kawałku Elce Szmorak, Sarze Werbezirk, Leizorowi Rohatynowi i dotąd wszystko było w porządku. Ale gdy się później puścił na interes hurtowny i całą resztę placu, dwa morgi i 1247 sążni sprzedał w r. 1862 gminie miasta Lwowa za 8.000 złr., zaczęło się dla niego nieprzerwane pasmo zgryzot. Tabularny bowiem stan placu był mocno zamazany, a nieszczęsny Kuba przyjął na siebie obowiązek oczyszczenia go. Wnosił przeto masę pism do różnych dykasteryi, prowadził pertraktacye, środki dowodowe, schody magistrackie wydeptywał, ale ceny kupna nie mógł w żaden sposób wydostać. Przezorny bowiem magistrat zawiesił jej wypłatę, aż do ostatecznego załatwienia sprawy, a w ten sposób Kuba Sawczyński znalazł się niespodzianie w sytuacyi Tantala, albo chytrego lisa wobec kwaśnych winogron. Na dobitek wszystkiego przy-

szło mu jeszcze patrzeć, jak magistrat, już jako wyłączny właściciel, sprzedał znowu skrawek placu (40 sążni) po dwa złr. za sążeń [17]) spadkobiercom Mendla Becka, a w r. 1868 rozpoczął budowę wagi miejskiej.

Ostatecznie Sawczyński zanadto był biegłym prawnikiem i wydobył swoje 8.000 złr. zostawiając na placu Solskich małe, ale bardzo niedobrane i niezharmonizowane towarzystwo. Współwłaścicielami bowiem niepodzielnej całości zostali teraz: magistrat, Leizor Rohatyn, Juda Leinwand, Chawe Burker, oraz całe stowarzyszenie mędrców i pisarzy o nazwie: „Kowea Itim la Thora“, to jest mężowie popierający torę i trzymający tu synagogę.

Spółka ta magistracko-hebrajska trwała dość długo, bo do roku 1892, w którym nastąpił ostateczny akt działu. Plac, należący do gminy, otrzymał numer wykazu hipotecznego $1248^{3}/_{4}$, bez numeru konskrypcyjnego i oficyalną nazwę „Targowica zbożowa“.

Gmach sukursalny teatru miejskiego zbudowany równocześnie z teatrem nadał „Targowicy zbożowej“ dzisiejszą fizyognomię, która każdego dnia targowego przypomina odrazu wieś, małe miasteczko i wielkomiejski zaułek, a raz do roku jest koczowiskiem wędrownych cyrków.

IX.

PLAC ŚW. DUCHA.

(MOCNO ZAWIKŁANA HISTORYA O KAWIARNI WIEDEŃSKIEJ I ODWACHU Z PRZYNALEŻYTOŚCIAMI).

Kompleks gruntu, obejmujący kamienicę z Kawiarnią wiedeńską i odwachem, oraz niezabudowany plac św. Ducha był od początku istnienia Lwowa na miejscu dzisiejszem, szczelnie zabudowany. W ciasnocie miast średniowiecznych, gdzie każda piędź gruntu w obrębie murów miejskich musiała być wyzyskana, aż do ostateczności, skupiał na sobie ów szczupły płacheć ziemi nad Pełtwią tak trzyokienne kamienice mieszczańskie, miejską woskobójnię, szpital z kościołem, cmentarzem i wikarówką, jak wreszcie część ogólnych fortyfikacyi miejskich: kawał podwójnego muru z basztą, fosą i wałem. Nawet między murami fortecznymi nad fosą tuliły się małe domki prywatne.

Ale pierwsze miał miejsce kościół i szpital św. Ducha, od których nazwa placu pochodzi. Szpital był początkowo pod wezwaniem św. Elżbiety z przeznaczeniem dla obcych bezdomnych przybyszów, gdy zaś rychło mieszczaństwo przybudowało kościół, całość schroniła się pod skrzydła św. Ducha i służyła głównie jako schronisko dla opuszczonych wdów mieszczańskich i samotnych starych panien. Za Ludwika węgierskiego i jego wielkorządcy Władysława Opolczyka, w drugiej połowie XIV. wieku kościół i szpital były już w pełni swojej filantropijnej działalności.

Miasto wzniosło je na własnym gruncie, własną myślą i ofiarnością. Toteż wobec duchowieństwa, roszczącego sobie prawo do zarządu tych instytucyi, broniło

swego prawa zazdrośnie a rozpaczliwie, poruszając wszystkie sądy, a nawet samą Stolicę apostolską. I potrafiło się obronić. Bulle papieża Marcina V. (1417), Eugeniusza (1446), Urbana VIII. (1626), dekrety nuncyusza Cancelottiego i wszystkich prawie królów polskich przyznały miastu wyłączny zarząd szpitala i prawo patronatu nad kościołem. Takie było przywiązanie mieszczaństwa do umiłowanej instytucyi, że rajcy lwowscy nie ulękli się nawet klątwy kościelnej arcybiskupa Próchnickiego (w r. 1624), nie zadrzeli, gdy w katedrze gaszono świece przy wymawianiu ich nazwiska i równano z Kainem i Lucyperem.

I wszystko, co było świętego i nabożnego we Lwowie ma swoje wspomnienie w tym nieistniejącym kościółku św. Ducha. Błogosławiony Jakób Strepa przyznał mu dziesięcinę ze wsi Prusy, na jego ambonie kazał błogosławiony Jan z Dukli, a w śmiertelnej chwili, przy jarzących gromnicach, nie było prawie we Lwowie mieszczanina, któryby w testamencie nie pamiętał o szpitalu i kościele św. Ducha. Bo był on dla społeczności lwowskiej tem wszystkiem, co dzisiaj zabezpieczenie starości i życiowa asekuracya, pozwalał zamknąć oczy spokojnie i bez troski o los wdowy i sieroty.

Więc mnożył się majątek szpitalny. Pięćdziesiąt kamienic lwowskich płaciło mu legaty, do szpitala św. Ducha należały wsie Malechów i Skniłów, grunta na Łyczakowie i ulicy Szerokiej, łany na „Psim rynku“ w okolicy dzisiejszych Sakramentek, „Babi młyn“ na Pełtwi za Wysokim zamkiem. Patrycyusz lwowski Jan Szolc Wolfowicz przekazał w testamencie wszystkim swoim potomkom a właścicielom narożnej kamienicy w rynku naprzeciw katedry, obowiązek corocznego dostarczania obiadu ubogim szpitalnym na Boże narodzenie. Obiad ten składać się miał z „żółtej juchy“ mocno zaprawnej marchwią, pietruszką, pieprzem i szafranem, z 80 porcyi mięsa wołowego, 80 porcyi pieczeni z dwoma półmiarkami rzepy, 12 gęsi, bułek za 20 gr. i czterech skopców piwa. Tak samo i w innych dniach, zwłaszcza świątecznych, panny

lwowskie uważały za punkt swojej ambicyi ugoszczenie ubogich obiadem przez siebie ugotowanym.

Majątkiem szpitalnym zarządzali prowizorowie, wybierani w czasie ogólnej corocznej elekcyi (22. lutego) razem z burmistrzem i rajcami, z pośród najznamienitszych mieszczan. Między innymi był prowizorem takim przez długie lata poeta, burmistrz i historyk Lwowa Bartłomiej Zimorowicz. Natomiast wewnętrzny zarząd szpitala, oparty był na zasadach autonomicznych, tworząc rodzaj republiki dziadowskiej. I trzeba przyznać, może nawet trochę ze wstydem, że w tej dziadowskiej republice lepiej nieraz bywało, niż w prawdziwej, najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Zasada „liberum veto“ nie obowiązywała tam wcale, a dla władzy, wybranej większością głosów, musiał być posłuch i szacunek, bo przez i bez ceremonii żeniono każdą parszywą owcę. Corocznie tedy w dniu Zadusznym, po nabożeństwie, zbierały się prebendaryuszki i większością głosów wybierały z pomiędzy siebie dwie przełożone, do których należał wewnętrzny zarząd i przestrzeganie regulaminu, „aby się babki zachowywały przystojnie, skromnie, pokornie. Któraby się swarzyła, upijała, wszetecznem słowem łajała, przeklinała, po gospodach się włóczyła, inne buntowała — taka ma być napędzona ze szpitala“.

Tak samo pamiętano i o kościele. W czasie Zielonych świąt nie było we Lwowie człowieka, któryby nie uważał za swój obowiązek pomodlić się w kościele św. Ducha, w Wielki czwartek było tam święto dziadowskie, rezurekcya obchodzoną była uroczyście i z muzyką, każdej zaś niedzieli zgromadzało się tu bractwo Niemców lwowskich, którym kazania w języku niemieckim głosili Jezuici. W r. 1567 spalił się kościół, lecz wnet został odbudowany, z początkiem wieku siedmnastego zrestaurowano go gruntownie, pomalowano i w r. 1649 poświęcono, poczem już w tym samym stanie dotrwał aż do końca swego istnienia.

Z tem wszystkiem był to kościółek niewielki, o trzech ołtarzach, a stał na samym rogu dzisiejszego placu, w tem

samem miejscu, gdzie dziś kiosk fotograficzny. Budynek szpitalny przylegał do niego bezpośrednio, frontem do ulicy Teatralnej. Była to kamienica z mnóstwem malutkich izdebek, wynajmowanych czasami samotnym kobietom i z dwoma wielkiemi salami „dziadowskiemi“ dla prebendaryuszek. Dalej na lewo, frontem do ulicy Teatralnej, gdzie dziś przednia część kamienicy z odwachem, stały kamienice prywatne Abichtowska i Nosego, w tyle których w wązkiej uliczce, dziś rozszerzonej (Kilińskiego) znajdowała się woskobójnia.

Z tyłu po za kościołem i budynkiem szpitalnym znajdował się cmentarz kościelny, zabudowany również budynkami drewnianymi i kamieniczką murowaną, którą w r. 1680 wybudował szlachcic Marcin Filipowski na mieszkanie duchownego, względnie proboszcza św. Ducha.

Cały ten kompleks zabudowań oddzielony był ulicą biegnącą prostopadle do murów miejskich (dziś ulica św. Ducha), przy której z czasem stanął kościół Jezuitów, w tyle zaś wąskie przejście, na linii mniej więcej dzisiejszego wchodu do Dyrekcyi skarbowej, oddzielało go od muru fortecznego t. zw. wysokiego, zbudowanego za Kazimierza Wielkiego. Za murem w lekkiej pochyłości spadał grunt w fosę, biegnącą wzdłuż dzisiejszego chodnika przed kawiarnią wiedeńską. Na drugim brzegu fosy, jak dzisiejsza ulica Hetmańska, biegł wał oszkarpowany, drugim, niższym murem, a za nim Pełtew, w drugiej głębokiej fosie toczyła swe wody.

W ciągu kilku wieków krajobraz tutejszy zmienił się o tyle tylko, że po wybudowaniu kościoła OO. Jezuitów wybito w obu murach furtę t. zw. „Jezuicką“ i dano mostki zwodzone przez obie fosy. Pomiędzy zaś oboma murami nad brzegiem fosy powstały cztery domki drewniane i jedna kamieniczka murowana.

Niesposobne dla budownictwa czasy wojenne w ciągu XVIII. w. odbiły się też na tym skrawku starego Lwowa. Żył on tylko odblaskiem chwały dawnych dni, a nędza i opuszczenie panowały tu coraz wszechwładniej.

Na tle tego opuszczenia i w chwili wielkiej katastrofy dziejowej, która oddała Lwów pod panowanie austryackie, poczęły się i poszczególne budynki na placu św. Ducha wysuwać z rąk miasta i mieszczaństwa.

Początek zrobiły dwie wspomniane wyżej kamienice od dzisiejszej ulicy Kilińskiego: Abichtowska i Nosego, połączone już dawniej z miejską woskobójnią. Kontraktem kupna i sprzedaży z 6. sierpnia 1762 sprzedali spadkobiercy Jana Abichta kamienicę swoją Józefowi Łodzia Ponińskiemu, wojewodzicowi poznańskiemu i staroście Ostrowskiemu za 15.054 złp., w rok później zaś kupił tenże Poniński i kamienicę Nosego za 3.000 złp. i złączył je w jedno jak dzisiejsza część Kawiarni wiedeńskiej od strony ulicy Teatralnej. Mąż światły i wielki bywalec, poseł Rzeczypospolitej do Hiszpanii i Portugalii, Holandyi i Sardynii, mieszkał wraz z żoną swoją Maryanną z Kalinowskich w sąsiednim Kuhajowie, zjeżdżając do Lwowa na kontrakty i na wszelakie uroczystości. Wówczas kamienica jego roiła się bujnem życiem, a wśród wielu znakomitych osobistości bywał tu także młody naonczas poeta Franciszek Karpiński.

Tkliwy poeta przyniósł ze sobą do Lwowa „tęskność do Justyny“, swojej pierwszej miłości. „Tęskność“ ta jednak już wówczas nadszargana była trochę nadzieją zyskowniejszego małżeństwa, we Lwowie zaś zaszargała się do reszty. Zanadto bowiem dużo było tutaj pokus niewieścich, a zanadto miękkie serce poety. Studyum teologiczne, któremu się Karpiński oddawał w akademii jezuickiej, nie wstrzymało go wcale od „pocałowań przedłużonych“ w pół odkryte piersi mieszczki Tamburini, która odgrywała podówczas na bruku lwowskim dwuznaczną rolę „świętej“, mającej różne objawienia. W wirze życia towarzyskiego, wpadło też bez większej trudności czułe serce poety w sieci starościny Ponińskiej. Miała ona „wzrost hoży, ciało najbielsze, twarz nie wiele przyjemną, ręce najpiękniejsze“, tak, że niebawem przyszło się poecie „rozkochać w jejmości“, mimo tego, że była o 14 lat starsza od niego.

Miłość trwała pełnych lat dziesięć, a salony, obok dzisiejszego odwachu, nasłuchały się do syta sielanek, które układał Karpiński pod imieniem Justyny, stwierdzając sam niedyskretnie, w swoim pamiętniku, że „wszystkie one do drugiej Justyny, Maryanny Ponińskiej należą". Sielanki te jednak miały nieraz i drastyczniejszy przebieg, bo poeta pragnął zbyt często „pocałowania w piersi najpiękniejsze", co mu znowu nie przeszkadzało wcale „z młodszymi miewać rozrywki".

Spadkobiercą Józefa Ponińskiego był Franciszek Poniński r. 1800, po nim Augustyn Poniński r. 1819, a wreszcie Jan Poniński r. 1827. Przy założeniu tabuli miejskiej otrzymała realność Ponińskiego numer konskrybcyjny 32.

Tymczasem sąsiedni (od ul. Teatralnej) szpital i kościół św. Ducha chyliły się coraz bardziej do upadku. Zły Zarząd dóbr szpitalnych, niepewne a mocno zagmatwane stosunki w pierwszych latach rządów austryackich, pozbawiły fundacyę św. Ducha prawie całego majątku. Nie było komu restaurować nadwerężonych murów, ani dbać o ich utrzymanie; niższe zaś władze rządowe ograniczały swą działalność do tego tylko, że zasypywały gubernium doniesieniami o nędznym stanie budynków szpitalnych i o tem, że kościół św. Ducha każdej chwili grozi zawaleniem. Od r. 1778 doniesienia te powtarzają się coraz częściej, zapowiadając wprost nieuchronną katastrofę.

Jakoż istotnie katastrofa nastąpiła. W nocy na 7. marca 1780 r. budynek szpitalny, a raczej część jego, przytykająca do kościoła św. Ducha runęła, na szczęście bez wypadku w ludziach, gdyż ubogich dzień przedtem usunięto z budynku. Wysłany na miejsce inspektor budownictwa rządowego Francuz Gibaut, złożył dyrekcyi policyi sprawozdanie w języku francuskim, w którem oświadczył, że i reszta budynków, nie wyłączając kościoła św. Ducha, w żaden sposób nie da się utrzymać. Osobliwie na murach kościelnych wystąpiły tak szerokie rysy, że sklepienie zostało zupełnie oddzielone od ścian

bocznych, ściana zaś od strony kościoła OO. Jezuitów, jakkolwiek podparta drewnianymi belkami, wybrzuszyła się do tego stopnia w stronę ulicy, że jej upadek jest tylko kwestyą kilku dni.

Na podstawie tego sprawozdania wydało gubernium pod dniem 22. marca 1780 do prowizorów szpitalnych rozporządzenie, aby resztę budynków i kościół natychmiast opróżnili i zaraz po świętach wielkanocnych przystąpili do ich zburzenia. Równocześnie wysłano pismo do oficyała katedralnego ks. Godurowskiego, aby polecił wynieść z kościoła wszystkie świętości (*sacra et suffragia*).

Co się tyczy placu — powiada dalej wspomniane rozporządzenie — to aż do dalszego rozporządzenia ma on pozostać pustym, albowiem o odbudowaniu szpitala nie może być nawet mowy wobec braku miejsca i ciasnoty w samem mieście. Materyał wreszcie uzyskany z rozbiórki należy drogą licytacyi sprzedać najwięcej dającemu.

Rozporządzeniu temu stało się zadość. Kościół i budynek szpitalny został zburzony i zniesiony doszczętnie, materyał sprzedano częścią na licytacyi kupcowi lwowskiemu Preszlowi za 1.504 złr. 54 kr., reszty zaś użył magistrat na swoje potrzeby.

W ten sposób rząd sam, z góry, jeszcze przed rozpoczęciem demolacyi, zadecydował o przyszłem przeznaczeniu placu św. Ducha. Plac istotnie pozostał pustym, tylko na jego środku sterczała jeszcze w r. 1788 ruina, czyli, jak powiada metryka Józefińska, „kawałek kamieniczki“, która stała się kością niezgody między rządem a kapitułą i stała się przyczyną, że miasto jako między nimi najsłabsze, przy placu utrzymać się nie zdołało.

Ów kawałek kamieniczki był mianowicie mieszkaniem wikarego, albo raczej mansyonarza przy kościele św. Ducha, zbudowanem w r. 1786 przez wspomnianego powyżej Marcina Filipowskiego, za pozwoleniem arcybiskupa Lipskiego. Ta okoliczność spowodowała kapitułę do wystąpienia z pretensyą nietylko do kamieniczki i placu na którym stała (17 i pół sążni kwadr.), ale i do

miejsca, na którem stał kościół, jako niby rzecz duchowna, a wreszcie także i do materyału uzyskanego z jego rozbiórki.

Pretensye kapituły nie były zbyt silnie oparte na prawie, a zresztą wysunięte zostały przeciwko rządowi dla utargowania ustępstw w innej sprawie procesowej. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że tak kościół, jak szpital, jak wreszcie plac po nich pozostały, był wyłączną własnością miasta z obowiązkiem gminy utrzymywania ubogich. Skutkiem tego cały majątek szpitala św. Ducha, tak samo jak i zniesionego równocześnie drugiego szpitala św. Stanisława miał być przelany na rzecz szpitala św. Łazarza, z którego rząd zamierzał uczynić centralną instytucyę dla ubogich. Tak więc i plac św. Ducha stał się częścią funduszu ubogich, a jako taki, wobec rządowego zakazu budowania na nim, przynieść mógł funduszowi temu pożytek, jedynie wtedy, gdyby został sprzedany. Gdy zaś równocześnie rząd, zająwszy budynek dawnego kollegium Jezuitów, zamierzał ulokować w nim wszystkie władze dykasteryalne, a nawet początkowo nosił się z zamiarem wystawienia na ich pomieszczenie nowego, wielkiego gmachu, wzrok jego padł przedewszystkiem na sąsiedni, bezpośrednio prawie do kollegium przytykający plac św. Ducha.

Miasto ze swojem prawem własności placu znalazło się w bardzo trudnem położeniu. Z jednej strony groził mu uporczywy proces z Kapitułą, z drugiej strony przeznaczenie placu na rzecz funduszu ubogich, zakaz budowania na nim i chęć rządu nabycia go, spowodowały ostatecznie gminę, że zgodziła się plac św. Ducha sprzedać rządowi.

Sprawa sprzedaży ciągnęła się od r. 1786 do r. 1788, poczem na podstawie oszacowania miejskiego Bauamtu z 16. czerwca 1788 rząd nabył od gminy sam plac za cenę 2.715 złr. 37 kr., która to suma przeszła następnie na fundusz św. Łazarza. Bezpośrednio potem rozpoczął fiskus długoletni, uporczywy, z całym nakładem kruczków biurokratycznych prowadzony proces z Kapitułą o wspo-

mniany wyżej kawałek placu św. Ducha powierzchni 17 i pół sążnia kwadratowego, na którym stało mieszkanie wikarego.

Ostatecznie rząd proces wygrał i stał się nieograniczonym właścicielem miejsca kościelnego i szpitalnego, które w tabuli miejskiej zapisane zostało pod nrem 89, jako rządowe pustki (*aerariense vacuum*).

Miejsce to jednakże obejmowało małą tylko część placu św. Ducha w dzisiejszych jego rozmiarach. Nie należy bowiem zapominać, że na drugiej jego części stały wciąż jeszcze fortyfikacye miejskie, a mianowicie podwójny mur, fosa, wał z czterema domkami. Niebawem jednak przyszedł koniec i na te zabytki dawnej obronności Lwowa. Przy końcu XVIII wieku zburzono mur wysoki, Kazimierzowski, zasypano fosę, na wale urządzono plantacye dla użytku publicznego. Skutkiem tego i plac św. Ducha rozszerzył się więcej, jak w dwójnasób, sięgając aż do samego prawie brzegu Pełtwi. Wolna ta, wówczas uzyskana przestrzeń rozpoczynała się mniej więcej od miejsca, gdzie dziś odwach styka się z werandą Kawiarni wiedeńskiej, obejmowała całe miejsce, gdzie Kawiarnia wiedeńska od strony ulicy Hetmańskiej i plac przed Dyrekcyą skarbową, odznaczający się dziś jeszcze pochyłością grutu, która powstała przy zasypywaniu fosy. Część tego gruntu poszła, jak wyżej wpomnieliśmy, na plantacye wałowe, druga część pod ulicę Hetmańską, reszta zaś została wyłączną własnością gminy i została wpisana do tabuli miejskiej pod nrem 88 jako pustki (*civitatense vacuum*).

W ten sposób właścicielem placu św. Ducha został po połowie rząd i gmina m. Lwowa. Kamienicę zaś narożną od ul. Kilińskiego i Teatralnej, posiadali, jak wyżej powiedziano, Ponińscy. Plac powoli zaczął się stawać publicznym i przechodnim, a granica między tem, co należy do rządu, a co do miasta, zacierała się powoli.

W r. 1827 realność Ponińskich kupił za 14.000 złr. obywatel lwowski Karol Hartmann, a równocześnie rządowi wypadła potrzeba nowego odwachu dla wojsko-

wości. Obowiązek dostarczenia budynku na pomieszczenie warty należał do gminy, która nie mając na ten cel funduszów, zrobiła do spółki z rządem i Karolem Hartmannem następujący interes.

Rząd pozwolił wybudować odwach na części placu św. Ducha do niego należącej, Hartmann, który równocześnie przebudował świeżo przez siebie nabytą kamienicę, miał przy tej sposobności wyręczyć gminę i wybudować własnym kosztem odwach, a gmina za to odstąpiła mu na własność dla rozszerzenia jego realności przytykającą do niej część placu św. Ducha od strony ulicy Hetmańskiej, powierzchni około 105 kwadratowych sążni.

Kontraktem z 12. maja 1828 między gminą miasta a Karolem Hartmannem został ten interes ubity. Hartmann uzyskiwał znakomity kawał placu budowlanego, którym zaokrąglił swoją realność tak, że uzyskała ona trzy, względnie nawet cztery fronty, a w zamian za to zobowiązał się wystawić na placu św. Ducha od strony północnej tuż koło własnego domu, na rządowym placu za zezwoleniem fiskusa „solidny“ odwach, złożony z izby oficerskiej i strażnicy dla 40 żołnierzy, który to odwach mieć będzie wspólny kanał z kamienicą Hartmanna l. k. 32. Serwitut ten ciąży na tej realności do dnia dzisiejszego.

Hartmann w przeciągu roku 1829 wybudował i odwach i na odstąpionym przez gminę gruncie kamienicę dla siebie, która otrzymała numer konskrypcyjny 360. Tak powstał budynek Kawiarni wiedeńskiej w dzisiejszej swojej postaci z trzema frontami od ulicy Teatralnej, Kilińskiego i Hetmańskiej i z czwartym frontem od placu św. Ducha, który to jednak front obciążony był pewnemi służebnościami. Mianowicie tak Hartmannowi jak i wszystkim jego następcom pozwoliło miasto mieć z tej strony jedynie tylko okna i drzwi wchodowe, pod żadnym jednak warunkiem nie mogła się tu mieścić brama wjazdowa. Ale i te okna a drzwi pozwolone były tylko w drodze łaski i ustępstwa *(precario modo)* tak, że na każde żądanie miasta musiały być zamurowane bez żadnego od-



FAJERWERK W JEZUICKIM OGRODZIE R. 1807.

szkodowania podobnie jak wystające gzymsy każdej chwili zniesione.

Odtąd kamienica z kawiarnią wiedeńską, z przytykającym do niej odwachem, z pewnymi służebnościami i prawami do placu św. Ducha (prawo widoku) pozostawało w rodzinie Hartmannów aż prawie do dni naszych. Po Karolu Hartmannie odziedziczyła ją w r. 1847 Klementyna z Hartmannów br. Rüstel, w r. 1856 jej córka Irena Rüstel, poczem w r. 1870 własność kamienicy przeszła na rzecz Antoniego i Genowefy Sieberów, po ich śmierci wreszcie w r. 1893 do Franciszki Sawczyńskiej, urodzonej Fuchs Sieber Haintz. Od ostatniej nabył realność p. Gabryel Stark, od tego wreszcie gmina miasta Lwowa.

O ile jednak kamienica, względnie jej stan tabularny już od r. 1829 był zupełnie uporządkowany, o tyle stosunki na samym placu św. Ducha pozostawały nadal bez ścisłego rozgraniczenia własności rządowej i miejskiej.

Pierwszy jednak rząd upomniał się o swoją własność. Na podstawie dekretu gubernialnego z 14. lipca r. 1832 l. 31.967 i deklaracyi magistratu m. Lwowa, którą przyznano własność rządową z 5. października 1832 l. 24.171 utworzono na placu św. Ducha osobne ciało tabularne, jako własność Wysokiego Skarbu, z tem, że kamienicy l. k. 32, a więc przedniej części kawiarni wiedeńskiej przysługuje w drodze służebności prawo używania piwnic, znajdujących się pod odwachem. Służebność ta trwa do dnia dzisiejszego.

W trzydzieści lat później postarało się wreszcie i miasto o ustalenie granic swojej własności na placu św. Ducha. Stało się to na zasadzie ścisłego porozumienia z władzami rządowemi, przyczem zgodzono się na to, ażeby poszczególne części placu św. Ducha rozdzielone zostały fizycznie między współwłaścicieli. Dnia 1. czerwca tedy w r. 1861 wyszła na plac komisya, w której ze strony gminy m. Lwowa brał udział koncypient magistratu Wojciech Piwernetz i komisarz drogowy Władysław Liebel. Przez dwa dni z rzędu oznaczała ta komisya i oddzielała miejską własność od rządowej, a nareszcie przy pomocy

palików, sznura i przyrządów mierniczych, zdołała wypośrodkować granicę. Granicę tę oznaczono fizycznie linią złożoną z brukowych kostek kamiennych.

Linia ta prostopadła do głównego wchodu do budynku c. k. Dyrekcyi skarbowej jest widoczną do dzisiaj i stanowi granicę własności rządowej i gminnej.

Na podstawie protokołu rozgraniczenia i deklaracyi magistratu z 7. września 1866, utworzono z tej części placu św. Ducha od strony ulicy Hetmańskiej osobne ciało tabularne, jako własność gminy m. Lwowa, z tem, że kawiarni wiedeńskiej przysługuje prawo widoku i wychodu na plac św. Ducha. Miejsce odwiecznie miejskie, tylu tradycyami uświęcone, z wyjątkiem dwu kamienic prywatnych, zawsze publicznym celom służące podzieliło się między trzech właścicieli, z których gmina miasta Lwowa przed zakupnem kamienicy z kawiarnią wiedeńską, na niewielkim się tylko utrzymała skrawku.

X.

PYROTECHNICA FESTIVA.

(RZECZ O ZAGINIONEJ UMIEJĘTNOŚCI).

W dzisiejszych czasach znajduje się fabrykacya ogni sztucznych w stanie melancholijnego zapomnienia i prawie, że zupełnego zaniku. W takim Lwowie naprzykład jedyny „pyrotechnik z Warszawy“ p. Rutkowski z iście rozpaczliwą wytrwałością nawoływał plakatami i sensacyjnymi komunikatami do oglądania różnych „wybuchów wulkanu“, „walk powietrznych“ i morza płomieni bengalskich, ale mimo to ognie sztuczne stały się mało wybredną atrakcyą niewielu już festynów. Publiczność odrzuciła się stanowczo od „fajerwerków“, a bardziej, pod względem ekonomicznym uświadomiona jej część widzi w tego rodzaju zabawie nieproduktywną tylko stratę pieniędzy, puszczanie z dymem grosza, potrzebniejszego bardziej na cele ogólne.

Starolwowska i staropolska pasya oglądania przy każdej weselszej sposobności ogni sztucznych, pasya, którą dzieliliśmy zresztą z całą Europą, zapadła się już w bezpowrotną przeszłość. Należy się jej zatem trochę historycznego wspomnienia, tembardziej, że pyrotechnika posiada w swoich dziejach karty tak świetne, jak różnokolorowe młyńce i bzykające, jak ogniste szmermele.

Przez cały wiek ośmnasty sam tylko ogień sztuczny rozjaśniał i oświecał bezdeń nędzy polskiego żywota. Pukającemi racami grzmiała czczość i pustka chwalby ludzkiej, w wichrowatych młyńcach pełzało poniżenie przed dumą magnacką. Od fontan świetlnych, jaśniejących inskrypcyi, od roziskrzonych koperdymentów i transparentów czynił się wrzaskliwy zgiełk dokoła świątyń i mag-

nackich pałaców. Na olbrzymich a martwych obszarach Rzeczypospolitej zapalały się co chwila różnokolorowe ogniska i strzelały w górę ogniste race, w których świetle cały ów okres dziejowy występuje w barwach tem ciemniejszych i bardziej ponurych.

Przyznać jednak trzeba, że ognie sztuczne, powszechnie „fajerwerkami" zwane, dziwnie przypadały do duszy barokowej i gustów społeczności ośmnastego stulecia. Dawały jej upragnioną ułudę, oraz tak bardzo w sztuce barokowej poszukiwane i cenione złudzenia optyczne. Pod względem kulturalnym i artystycznym stał ogień sztuczny na równi z malowaną architekturą wnętrz, z „kształtnem rzeźby udawaniem" na gołych ścianach, z rozbujałym ruchem aniołów i świętych na sklepieniu kościelnem. W malowanych obłokach a przy dźwięku organów i w dymie kadzideł miała to być złuda ruchu i życia na bezmiernych niby i zaludnionych przestrzeniach niebieskich, a tak samo i w ogniach sztucznych widział zwichrzony umysł, w czasach baroku, jakiś przedsmak zaczarowanej i bajecznej krainy.

W takich sprzyjających warunkach stała się pyrotechnika nietylko częścią składową kultury barokowej, nieodzownym punktem programu każdej uroczystości kościelnej i świeckiej, ale także sztuką, wiedzą i umiejętnością, w całem, poważnem, uniwersyteckiem tego słowa znaczeniu. W Akademii Jezuickiej we Lwowie była ona nawet przedmiotem naukowych wykładów i badań, a głosił ją w pierwszej połowie XVIII. w. z katedry profesor matematyki ks. Faustyn Grodzicki, na równi z innemi sztukami wojennemi, jak wojskową architekturą, taktyką, perspektywą i t. d. Nosiła też ona oficyalną nazwę: *Pyrotechnica festiva,* uroczystościowa, w odróżnieniu od pyrotechniki wojskowej, *pyrotechnica militaris.*

Wśród słuchaczy ks. Faustyna Grodzickiego znajdował się także miecznikowicz bracławski Ignacy Bogatko. Wykładów słuchał pilnie i skrzętnie je notował, a w r. 1747 wydał je we Lwowie w osobnej książce p. t. *Scientia artium militarium, architecturam, pyrotechnicam, tacticam,*

polemicam, perspectivam complectens sive Lectiones Mathematicae... Książka, dedykowana księciu Januszowi Sanguszce, ozdobiona została przez lwowskiego współczesnego stycharza Jana Filipowicza portretem tegoż księcia i całym szeregiem tablic naukowych i technicznych, wśród których ilustracye do wykładów o ogniach sztucznych niepoślednie zajmują miejsce, a wykonane są z całą naukową, jak na owe czasy możliwą precyzyą i dokładnością. Książka należy dzisiaj do większych rzadkości bibliograficznych, jej zaś egzemplarz, będący w tej chwili pod ręką autora niniejszej notatki, był ongi własnością Jana de Witte, długoletniego komendanta Kamieńca Podolskiego.

Co, przy przeglądaniu obfitego działu o ogniach sztucznych w tej książce, wywołuje w pierwszej chwili uczucie rzetelnej wesołości, to niezmierna powaga w traktowaniu tak, w gruncie rzeczy, krotochwilnego przedmiotu. Do pospolitej fabrykacyi ogni sztucznych zastosował profesor cały ciężki aparat naukowy ze wszystkiemi formułkami, działami i poddziałami metody scholastycznej. Ale to uczucie sardonicznej ironii znika bardzo rychło. Wszakże — na miły Bóg — to nieszkodliwe pukanie racami i szmermelami połączone tu zostało integralnie i seryo z najważniejszemi zagadnieniami obrony kraju, policzone zostało do sztuk wojennych, a jako takie stanowiło przedmiot wykształcenia wojskowego, było ściśle kultywowaną wiedzą oficerów artyleryi koronnej.

Tej artyleryi, którą Karol XII. zniszczył doszczętnie, wywożąc częściowo do Szwecyi, a resztę rozsadzając prochem i gwożdżąc na wieczny nieużytek. W czasach długiego i martwego pokoju za obu Augustów i Poniatowskiego, zatraciło się do cna wojenne przeznaczenie nawet tych mizernych armat, które ocalały z ogólnego rozbicia, tułając się po zniszczonych murach i wałach miast, albo otwierając swe paszcze ze strzelnic prywatnych zamków magnackich. Jedyną ich pracą były już tylko głośne a ślepe wiwaty przy wznoszonych toastach i ogłuszający huk na uroczystościach wszelkiego rodzaju.

Zapominali też równocześnie i oficerowie, jak prowadzić kortyny pod cyrkiel, jak belwerki rozsadzać, gdzie robić baterye i jak aproszami podemknąć się pod twierdzę. Nie było sposobności wyrzucać minami baszt, kruszyć mury z kartaunów i trzaskać granatami. Mało już kto umiał wyrównywać fosy, ubiedz kazamaty, rychtować kwadrantem moździeże, działa pod wagę nabić i strychować. Miasto tych wszystkich sztuk szlachetnych a wojennych zabawiali się oficerowie artyleryi koronnej puszczaniem misternych fajerwerków, z wielkim nakładem dowcipu i inwencyi, a niezmiernem psowaniem prochu.

I dlatego, że nie przeciwko koronnemu nieprzyjacielowi kierowała się ich wiedza i armatnie wyloty, dlatego, że z akademickiej nauki ks. Faustyna Grodzickiego ostawał się jeno dym kędzierzawy i niemiły swąd spalonego prochu i saletry — była *pyrotechnica festiva,* ona matematyczna umiejętność, wiedzą tak bardzo smutną, taką jakąś żałobną w swoich kaskadach różnokolorowego ognia, marną wśród okrzyków patrzącego i zachwyconego tłumu.

Czczym tedy i w swoich rezultatach jałowym był trud profesorski ks. Faustyna Grodzickiego i pustemi jego słowa, padające z wysokości akademickiej katedry.

A on tymczasem z całą dostojnością i powagą, dawał zaraz w pierwszym rozdziale swego pyrotechnicznego systemu „definicye i niektóre zasady pyrotechniki“. Według nich *pyrotechnica festiva* jest umiejętnością puszczania ogni zdolnych dla zabawienia ludzi. Nie należy jednak nigdy stosować fajerwerków w wypadkach pogrzebu, klęski, śmierci i t. p., ale wyłącznie na uroczystościach ku czci świętych Pańskich, w czasie urodzin i koronacyi króla, zaślubin magnatów i po odniesionem zwycięstwie.

Zwraca dalej uwagę uczony profesor, że ognie sztuczne w żadnym wypadku nie powinny być podobne do pożaru, bo to ludzi denerwuje i strachem mimowolnym napełnia, owszem należy je tak urządzać, aby były jak najdalsze od wszelkich reminiscencyi pożogi — dodajmy tej pożogi, która bez żadnego ratunku naonczas tak często w perzynę zamieniała dobytek i majętności ludzkie.

Dalszą kardynalną zasadą pyrotechniki była rozmaitość i zastosowanie różnych rodzajów ognia, aby oko widza nie doznało przesytu i znużenia.

Następuje cały szereg definicyi szczegółowych i terminologia, zabawna o tyle, że określenia łacińskie tłumaczył uczony profesor na język polski, ale wyrazami niemieckimi. W ten sposób dowiadujemy się, że *theatrum pyrotechnicum* jest to miejsce, gdzie się puszcza ognie sztuczne, *apparatus pyrotechnicus,* czyli po polsku „feierwerk", to rozwinięcie ogni sztucznych w powietrzu, albo na ziemi, według czego nazywają się one „ogniami górnymi i dolnymi". Raca *(pyrobolus)* jest to tuba papierowa, napełniona mieszaniną saletry, siarki, węgla i falszpionów, czyli trocin. Raca zawierała jeszcze ponadto t. z. „szlagę", to jest ładunek prochu, którego przeznaczeniem było wywoływać w chwili decydującej odpowiedni huk, a wreszcie „cyngrot" i „brynery" do zapalania.

Oprócz rac ognistych zna także nasz uczony „topione i nietopione gwiazdki" (*gesmolcenfek*), szmermele (*pyroboli vagi*), puszki (*cylindri pyrotechnici*), młynki (*rotae pyrotechnici*), fontanny i kule świecące („lustkule").

Rozdział drugi traktuje o materyale do sporządzania ogni sztucznych. Przedmiot ten podzielił autor na kilkanaście problematów, w których daje bardzo szczegółowe przepisy co do składu materyi wybuchowych oraz rozmaite sekrety natury chemicznej, ktorych rozpatrywanie w tem miejscu zadaleko by nas zaprowadziło.

Rozdział trzeci poświęcony jest w całości sztuce sporządzania rac ognistych. Zadziwia w nim zarówno mnóstwo sposobów i sekretów, jak niemniej duża ilość kwestyi rozmaitego rodzaju, które się wszechstronnemu snać autorowi nasunęły i które podzielił szematycznie, dając na każdą z nich wyczerpującą odpowiedź z iście kazuistyczną dokładnością. To samo tyczy się i rozdziału czwartego, w którym autor omawia zagadnienia i problematy ogni górnych, a w szczególności latających gwiazdek w najrozmaitszych możliwych kombinacyach. I tutaj należałoby ciekawego czytelnika odesłać chyba do samego dzieła, bo

wszelkie streszczenie wywodów autora byłoby rzeczą zanadto ryzykowną, w gruncie rzeczy i bezprzedmiotową i mimo całego swojego komizmu, beznadziejną.

Rozdział piąty wreszcie zawiera najwyższy stopień wiedzy pyrotechnicznej, którą osiągnąć było można po przejściu całego czyśćca wiadomości przedwstępnych. Jest tu bowiem mowa o najzawilszych, wielkiej istotnie wprawy i sztuki wymagających kombinacyach, które w razie zrozumienia i przystosowania się do przepisów autora, mogły w praktyce stać się błyszczącymi i efektownymi młynkami, fontannami, drzewami, jaśniejącemi inskrypcyami, gorejącymi łukami i bramami tryumfalnemi.

Takie były rozmiary, taka rozległość umiejętności, kryjącej się dziś już w nielicznych tylko fabrykach i pracowniach rękodzielniczych. Czas teraz wspomnieć o zastosowaniu tej wiedzy w życiu praktycznem, czas wymienić kilku jej adeptów, z których ks. Faustyn Grodzicki, o ile ich dzieła naocznie oglądał, sprawiedliwie mógł być dumnym.

Należał do nich przedewszystkiem Jmć P. Józef Uruski, subdelegat grodzki lwowski, który w roku 1750 urządził we Lwowie na uroczystość koronacyi obrazu Matki Boskiej u Dominikanów „fajerwerk“ i zostawił o nim w druku „konnotacyę“, z której godne uwagi są następujące szczegóły:

Przedewszystkiem urządził pan Uruski machinę wysoką więcej jak na łokci dwadzieścia, na froncie której było wyobrażenie Matki Boskiej, przed którym herbowy lewek lwowski, trzy góry z gwiazdą trzymający, koronę z głowy swojej składał. Nad nim paliły się litery wyrażające rok koronacyi. Na prawej stronie tej machiny były herby głównych fundatorów uroczystości, a więc Potockich, Mniszchów i Zamoyskich w różnych kolorach, po drugiej zaś stronie herb Zakonu dominikańskiego, to jest piesek trzymający pochodnię, herb Odrowąż, św. Jacka i herb konwentu lwowskiego, także w różnych kolorach. Z tych wszystkich herbów wypadały czterołutowe race.

Obok tego było sześć piramid świetlnych, „które, jak się wypaliły, drugich sześć palono“. Nadto wypuścił

pan Uruski w powietrze sześć fontann świetlnych, dwanaście puszek z gwiazdami szmermelami, w ten sposób, że z niektórych wypadały herby Pilawa, Jelita, Odrowąż, sześćdziesiąt rakiet z gwiazdami, sto rakiet ze szmermelami, dziesięć rakiet z herbami, dziesięć rakiet z cyframi Augusta III. A. R, sześć rakiet, „z których widać było osóbki aniołów“ i pięćset rakiet „ordynaryjnych“.

W rok później, to jest w rocznicę po powyższej koronacyi, zajęła się urządzeniem odpowiedniego fajerwerku cała konsystująca we Lwowie artylerya koronna, pod dowództwem kapitana swojego Jmć Pana Kudelskiego. Koszta tego dziwowiska, które odbyło się „z wielką aprobacyą i ukontentowaniem wszystkich spektatorów“ ponosił dumny i ponury „królik Rusi“, pan na Krystynopolu, Warężu, Tartakowie, Franciszek Salezy Potocki, ojciec Szczęsnego, a teść nieszczęsnej Gertrudy Komorowskiej. Jako *theatrum pyrotechnicum* dla onego fajerwerku wybrano miejsce „wygodne bardzo dla całego miasta“ między kościołami Benedyktynek a Reformatów, to jest w okolicy górnej części dzisiejszych Wałów gubernatorskich. Dla tem większej parady urządzono się tak, że arcybiskup lwowski Ignacy Wyżycki miał ze swojej loży za kościołem Dominikanów zapalić lont własnoręcznie i w ten sposób całą machinę puścić w ruch.

Nadeszła wreszcie godzina spektaklu. Na znak rozpoczęcia dano na wałach ognia z trzech co największych dział, przeznaczonych do burzenia murów, odezwały się trąby i kotły, a dwunastu trębaczy rozpoczęło na przemiany, rodzaj capstrzyku. W tem, za wskazówką kapitana, arcybiskup „z wielu gośćmi będący w loży klasztornej, ręką swą podpalił racę, która po sznurze uderzyła w opus kapitalne i zapaliła całą machinę“. Machina ta zbudowana była na kształt łuku tryumfalnego „w różnych, dziwnie pięknych kolorach, z kolumnami, piramidami, wazami, kwiatami i innemi w architektonice najbardziej wydającemi się sztukami“. W perspektywie tego łuku imię Marya koronowało herb Potockich Pilawę, co miało symbolizować niejako wdzięczność Matki Bożej dla Franciszka

Salezego Potockiego, za urządzenie tak kosztownego fajerwerku. Do takich nonsensów zdolny był współczesny serwilizm wobec wybujałej, żadnych granic nie uznającej dumy magnackiej.

Nastąpiły potem „różne artyficialne ognie przy nieustających trąb i kotłów na przemiany kurantach, tudzież wszystkich armat zwolna za każdą sztuką odzywających się odgłosach". Paliły się fontanny, młynki, puszki z gwiazdkami i szmermelami, „cedry, jako w ogrodach wysokie drzewa, także iskrzące gęsto szpalery, z których ogień w różnych kolorach padał na dół i wydawały się jak jedne, ogniste ściany. Wypadały gęste race po kilka i kilkanaście razem ze skrzynek, to z gwiazdami to z szmermelami, ścigały jedna drugą w zawody i pojedyncze reprezentowały się gonitwy z ognistymi mieczami".

Trwało to wszystko bez przestanku więcej niż półtory godziny, poczem na zakończenie zapaliła się fontanna „wielką kupę gwiazd z okrutnym hukiem wyrzucająca z siebie, które przez wielką jasność całe miasto i przedmieście oświeciły, przy odgłosach tak, jak na początku trąb i kotłów na przemiany wytrębujących, oraz ognia z trzech wielkich armat".

W kwadrans po spaleniu się fajerwerków uderzono na wałach ze wszystkich armat na dobranoc.

Z tych wszystkich wspomnień, które pozostały po Franciszku Salezym Potockim, a które z wielką dokładnością zebrał Józef Ignacy Kraszewski w „Starościnie bełzkiej", wynika, że dumny magnat był przednim zwolennikiem ogni sztucznych, na których urządzenie nie żałował ani olbrzymich sum pieniężnych ani zachodów. Wydając bowiem znacznie później córkę swoją za Brühla, sprowadził aż z Warszawy pierwszorzędnego ogniomistrza i urządził u siebie w Krystynopolu taki fajerwerk, że pamięć o nim długo pozostała w tych czasach barokowej przesady, a jego rysunek oglądał jeszcze sam Kraszewski.

Zamiłowanie do ogni sztucznych przetrwało rozbiory Polski. Jeszcze w początkach dziewiętnastego wieku malarz Gerstenberg pokusił się o akwarelę, przedstawiającą

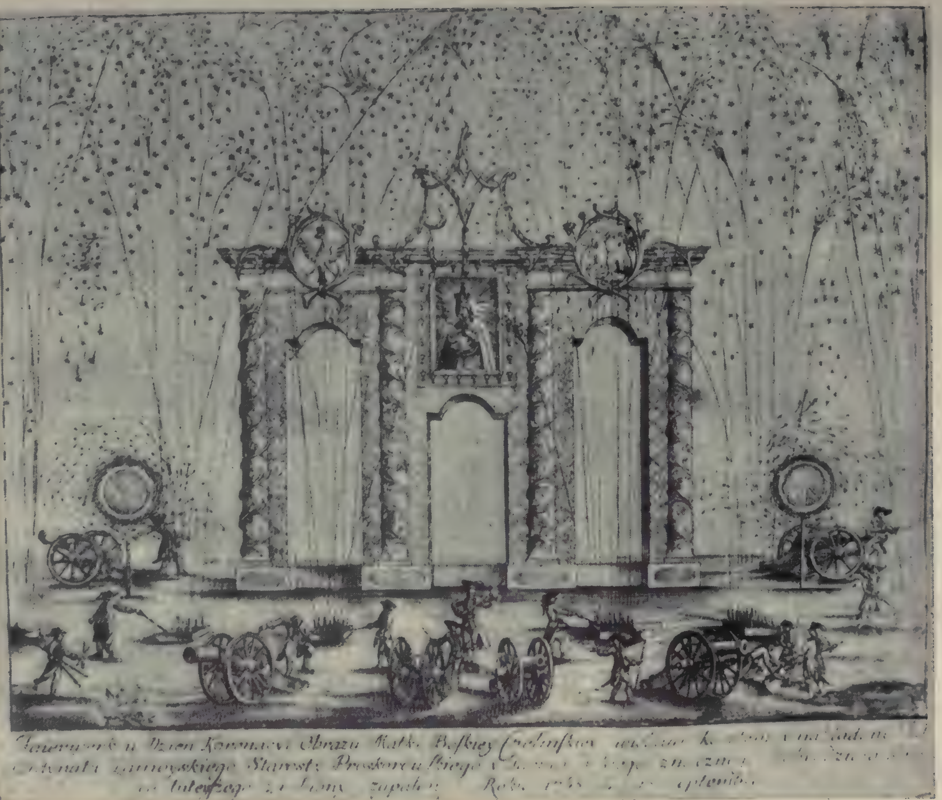
olbrzymi fajerwerk, puszczony w ogrodzie jezuickim. Ale siły nie dopisały malarzowi, nie zdołał oddać barwy i przepychu rozpasanej orgii światła, tak że jego obraz, przechowywany obecnie w bibliotece Baworowskich, słabe tylko daje wyobrażenie o tem, czem się przez długie lata nie mogło nasycić oko lwowskiej publiczności.

Dziś sztuce pyrotechnicznej braknie już „naukowych" podstaw, bo zapewne nie znalazłby się na świecie Uniwersytet, któryby chciał kreować katedrę dla... pyrotechniki festynowej.

XI.

NA DREWNIANYCH SKRZYDŁACH.

(USTĘP Z DZIEJÓW PRZEMYSŁU I SZTUKI).



FAJERWERK W R. 1765.

I.

PUSTA SAKIEWKA.

Sezon budowlany z wiosną r. 1771 zaczynał się dla arcybiskupa lwowskiego Wacława Hieronima Sierakowskiego nad wyraz smutno, prawie że beznadziejnie. Trwająca od lat sześciu fabryka, czyli gruntowne odnawianie katedry lwowskiej pochłonęła już wszystkie bogate zasoby arcybiskupie, a jej koniec był jeszcze daleki. Na domiar złego, siła fatalnych stosunków politycznych odsadziła arcybiskupa daleko od ukochanego dzieła restauracyi. Zwolennik familii Potockich, sprzyjający zamysłom konfederacyi barskiej, nie miał co robić w lojalnym dla Stanisława Augusta Lwowie, kędy rządził jak u siebie rosyjski generał Kreczetnikow. Z pałacu więc arcybiskupiego w Dunajowie i tylko oczyma duszy oglądał Sierakowski postęp robót i kierował niemi aż do najdrobniejszych szczegółów żmudną drogą korespondencyi [18]).

A tej swojej „fabryce metropolitańskiej“ poświęcił siedmdziesięcioletni starzec już wszystką pańszczyznę dóbr swoich stołowych, legaty testamentarne, składki dziekanów, wszystkie dochody, plon swoich folwarków. Nawet darowany przez Ignacego Krasickiego, szczerozłoty pierścień ze rżniętym onyksem utonął w odmętach kosztów fabrycznych, pomiędzy żydy powędrowała złota, kameryzowana tabakiera, z drugiej znowu, oddanej jako zaliczkę

na roboty malarskie, wąchał już dawno tabakę przedni malarz pan Stroiński. A tymczasem liczba wierzycieli rosła jak śnieżna lawina i prowizorowie fabryki, kanonicy Jaroszyński i Watraszyński coraz większym głosem domagali się pieniędzy, coraz natarczywiej apelowali do worka arcybiskupiego.

On zaś, pierwszy dotąd po prymasie senator Rzeczypospolitej, któremu już bardzo niebawem pisany był tytuł hrabiego austryackiego, rzucał w tę bezdenną, wiecznie otwartą i nigdy nie zapełnioną otchłań wszystko, co tylko było pod ręką: zegarki i pierścionki, stare wina z piwnicy, srebra stołowe, a nawet odzież i futra. Tak czyni rozbitek morski, rzucając w spieniony nurt bałwanów wszystkie dobra swoje: z ulgą dla słabej łupiny statku, ale z wielkiem obciążeniem serca swojego i żałością dla ginącego dobytku.

Zaraz też otoczył wysprzedającego się arcybiskupa pewnego rodzaju nastrój krydalny, konkursowy, czy licytacyjny. Ludzie korzystali z żałośliwej sytuacyi prałata i postępowali tak, jak się postępuje na wysprzedaży po wielkiem bankructwie, albo przy katafalku zmarłego, kiedy drapieżny spadkobierca wszystko dokoła siebie sprzedaje. Doszło wreszcie do tego, że Sierakowski na seryo począł doznawać uczucia szczupaka, żywcem odzieranego ze skóry i temu też uczuciu dał odpowiedni wyraz w liście z Dunajowa do ks. Jaroszyńskiego:

„Wszystkie rzeczy, które oddałem na fabrykę katedralną niechcę i niepozwalam, aby były sprzedawane levi pretio (za niską cenę) jak po zmarłym, który krzywdy swojej nieczuje“. Byłoby to nawet, jego zdaniem, ujmą dla fabryki, bo „lubo teraz aktualnie u mnie znajduje się niedostatek pieniędzy, to nie trzeba się spieszyć ze sprzedażą zegarków, pierścionków etc. bo widzę lekko są taksowane, a ja niemam myśli trwonić cum dedecore, jakby to już fabryka ostatnim groszem goniła“.

Jeżeli jednak jeszcze nie ostatnim groszem, to naprawdę dyszała fabryka bardzo ciężko, ledwo robiąc bokami. Zrozumiał to też ostatecznie i arcybiskup, a w obawie,

ażeby cały kram nie utknął zaraz z wiosną, postanowił go ożywić swoimi starymi winami.

A był przednim znawcą dobrego wina Wacław Hieronim Sierakowski. Tradycyą i pamięcią swoją sięgał jeszcze błogich czasów saskich, sam, chociaż skromny z natury i wstrzemięźliwy, zasiadał nieraz przy rozpasanym stole biesiadnym i dobrze znał tajemnice boskiego trunku, całą jego edukacyę, wszystkie przyczyny jego mocy ożywczej i kryształowych blasków. Więc rzucając w otchłań fabryki katedralnej swoją piwnicę, chciał, ażeby przynajmniej fabryka miała z niej trwalszą korzyść i poszła ruchem zgoła przyspieszonym.

„Fabryce — pisze — depozyt moich win starych lwowskich poświęciłem. Trzeba mieć na pamięci, że im dalej w lata wina idą, kiedy się nie psują, droższe i szacowniejsze być powinny, nie jak szata i szkapa stara, albowiem konserwacya onych, naprawa, dolewki, trudy, starania i przysługi do nich kosztują i szacować się powinny“.

Skłonił głowę przed takiem wytrawnem znawstwem ks. dziekan Jaroszyński i rzekł w odpowiedzi: „refleksye Pańskie względem win wielkie są i należy mi przestawać na nich“. W ślad za tem wylała się z piwnicy arcybiskupiej na miasto struga starego wina, a dla lepszej kontroli i dopilnowania wysprzedaży zjechał do Lwowa niejaki Korfini, widocznie piwniczy arcybiskupa, albo zaufania godny rzeczoznawca. Niebawem też zapanowała smętna i melancholijna pustka w zasobnej piwnicy pałacowej, a z ogólnego rozbicia ocalało zaledwie kilka tylko beczułek boskiego płynu. Za to jednak zwilżyły się setnie gardła nabywców i wzbogaciły prywatne piwniczki, zwłaszcza kanoników lwowskich. Jednym z hurtowniejszych nabywców był ks. prałat Mikulski, głośny jeszcze z czasów dysputy Frankistów z talmudystami na temat mordu rytualnego.

Bywa jednak, że bardzo osłabionemu człowiekowi i stare wino nie wiele pomoże. Tak też i fabryka katedralna nie dała się na długo ożywić piwnicą arcybiskupią.

Przyciśnięty na nowo do muru, wygłosił Sierakowski rozrzewniająco melancholijną maksymę jako „rzecz nie bardzo miła workowi, kiedy go się bardzo otwiera po pieniądze, a tembardziej, kiedy wyjmując z niego nie dokłada się". Gdy jednak ta zasada ekonomiczna, jakkolwiek bardzo trafna i głęboka, miała w niniejszym wypadku jedynie teoretyczną wartość, trzeba się było oglądnąć za nowemi źródłami dochodów i szukać bardziej realnych pomysłów dla zdobycia gotówki.

Wówczas to począł bezradny wzrok arcybiskupa biegać po wszystkich cenniejszych ruchomościach, przeglądać kufry, sepety i wszelakie schowki, aż wreszcie zatrzymał się na paradnem futrze sobolowem. „Mam ja troiste sobole — pisze — jedne z nich najprzedniejsze, które wiem, że kosztowały więcej jak 2.000 złp. Radbym sprzedał za życia i przydałyby się pieniądze na dalszą potrzebę katedralnej fabryki. Gdyby się tak kto trafił pyszniejszy odemnie, chcący paradować i dobrze zapłacił, to bym wielce był kontent".

Ale zapomniał snać pasterz archidyecezyi lwowskiej, że czas ciężki czarną padł zmorą na ludność w owych ostatnich już dniach Rzeczypospolitej. Nad Lwowem wisiał Kreczetnikow z chciwymi Moskalami, po drogach, miastach i siołach chodzić poczynała morowa zaraza. Dawni panowie tej ziemi i dziedzice chadzali w trwodze wielkiej i niepewności dnia jutrzejszego, a do nich nędza swe zęby szczerzyła trudem podwód moskiewskich, ciężkością rekwizycyi wojennej dla wojsk przechodzących, ciężkim na wszystko przednowkiem, niebezpieczeństwem wreszcie od grassantów i opryszków w kraju, który był już właściwie bez pana i prawa, bez sądu i siły. Nie był to więc czas sposobny do transakcyi o sobole arcybiskupie, to też ks. Jaroszyński mógł odpisać tylko z ciężkiem westchnieniem: „O sobolach będę myśleć, aby można spieniężyć jak najlepiej, ale ciężko dziś znaleźć pana, któryby chciał tak drogo paradować".

Ostatecznie znalazł się jakiś amator na sobole, a nawet na część sreber stołowych, ale to wszystko było za

mało, bo ks. Jaroszyński jęczał bez przestanku i coraz bardziej hiobowe wieści słał do Dunajowa:

„Cegła w Rzęśnie przegniła na słocie i do murowania ołtarzów niezdatna, pańszczyzny żadnej już nie masz, bo na podwody rosyjskie zabrana, woły słabe, ledwie trzy razy na dzień mogą obrócić z piaskiem, pan Stroiński, niezapłacony, narzeka i traci ochotę do dalszego malowania, cóż mówić o stolarzach, kowalach, o materyale dla nich, „kasa już próżna i nie wystarczy na zapłacenie tygodniowego dla rzemieślników. Jedyna ufność pozostaje w Opatrzności, hojnie szafując przez ręce JPana“.

W miarę, jak tego rodzaju wieści szły do Dunajowa stają się i listy ks. Sierakowskiego co raz bardziej liryczne i pełne rezygnacyi: „lubo nie żałuję wysilać się dla chwały Bożej, ale zerwie się struna, nawet i cięciwa, kiedy się nazbyt ciągnie“, pisał w jednym liście, a w drugim wołał już pełen rozpaczy: „Pieniędzy prawdziwie nie mam i sposobu już mieć nie będę mógł — chyba żebyś JPan użył kredytu i dostał gdzie na moje konto pieniędzy, na co pozwalam zażyć resztę mojego srebra“.

Ale srebra tego było tak niewiele, że nawet słyszeć o niem nie chcieli lwowscy finansiści, pożyczający na fanty, skutkiem tego zaś położenie fabryki katedralnej zaczynało być już na prawdę tragiczne.

W chwili jednak kiedy finansiści i lichwiarze zamknęli swe kasy przed arcybiskupem, kiedy już zda się żadnej rady nie było ani ratunku, znalazła się nagła i niespodziewana pomoc i to aż na samem dnie... niewieściej pończochy.

Jeżeli bowiem była gdzie w tych ciężkich czasach jaka gotowizna, to kryła się ona w pończochach mieszczek, które tej części stroju używały podówczas i długo jeszcze potem, jako kasy ogniotrwałej. Taką też mocno wypchaną pończochę posiadała przy ul. Ormiańskiej Jejmość Pani Augustynowiczowa. Ormianka z dziada pradziada, żona prezesa nacyi i kupca przedniego. Baba kuta na cztery nogi i chętnie pożyczająca na fanty, już dawno zamknęła pończochę z talarami przed arcybiskupem, ale

teraz rozmiękło nagle jej serce. Może ją strach obleciał przed mękami w czyśclu, może chciała sobie okupić bezpośredni wstęp do szczęśliwości wiecznej, dość, że ku największemu zdumieniu strapionego dziekana wydobyła z pończochy 300 złp. i oświadczyła, że je pożycza tylko na słowo, bez żadnego nowego zastawu.

Zaraz też o tym niezwykłym wypadku poszła sztafeta do Dunajowa: „Srebra mało co, pieniędzy nigdzie zaciągnąć nie mogę, trzeba by było zamknąć fabrykę, gdyby pani Augustynowiczowa nie pożyczyła 300 złp. nie biorąc nowego zastawu“.

W ten sposób pokusztykała sobie dalej, mocno kulejąca „fabryka kościoła metropolitańskiego“.

II.

WICHR BAROKOWEGO MODERNIZMU.

Któż to był, co za myśl, idea, której sędziwy książę kościoła aż takie składał ofiary z własnego dobra? — w jakąż to otchłań rzucał kosztowności i sprzęty domowego użycia, co za mara niosła mu tyle troski pieniężnej, jaki żar wysuszał arcybiskupią sakiewkę, piwnice, sepety, skarbczyki?

Była nią „lekka sztuka“ baroku. Ona to, skędzierzawiona malowanymi obłoki, szeleszcząca drewnianymi skrzydłami aniołów, zaludniona geniuszami, koperdymentami, razem z malowaną architekturą i wszystkimi złudami perspektywy — zawichrzyła do cna umysł arcybiskupa Sierakowskiego, a z prastarej katedry lwowskiej uczyniła na razie coś, jakby kupę gruzów i rumowiska. — Wichr barokowego modernizmu rozszalał nad gotycką budową Kazimierza Wielkiego, a pod jego namiętnym żarem opadał w gruzy wielowiekowy trud i artystyczna praca poprzednich pokoleń.

W chwili, gdy arcybiskup Sierakowski prowadził taką rozpaczliwą walkę z brakiem pieniędzy, przedstawiała ka-

tedra lwowska pełny obraz rozpoczętej „fabryki“. Cmentarz katedralny zawalony gruzem i rumowiskiem, oraz stosami nowego materyału, wewnątrz i zewnątrz drewniana siatka rusztowań, pokiereszowane mury, połamane ołtarze, rozbite nagrobki, wszystko to piętrzyło się wśród nowych murów, świeżo wyzłoconych sztukateryi, mokrych jeszcze fresków. Ostatni, obdarty żołnierz Rzeczypospolitej wartował tu, strzegąc rumowiska przed ludzką chciwością, pisarz fabryczny Bartłomiej Łysiński notował przybytek i ubytek materyałów, a wśród nawoływania i przekleństw woźniców, gwaru rzemieślników, stukotu młotów i wszelkiego rodzaju narzędzi, urastał nowy kształt świątyni i milkło powoli a zacierało się wspomnienie dawnego jej splendoru.

Był zaś w tem wspomnieniu także jęk żalu za minioną tradycyą lepszych czasów, był swar procesowy broniący bezsilnie odwiecznych pamiątek miasta i był wreszcie smętny zmierzch dawnego obyczaju, wiary, przyzwyczajeń, było coś, jakby wydzieranie serca z żywego organizmu.

W imię dawnych tradycyi, praw patronatowych i czci dla przodków wystąpił magistrat lwowski do nierównej walki z arcybiskupem, wodził się z nim aż po sądach rzymskich kongregacyi, ale zawsze przegrywał, zawsze bez skutku ponosił ogromne koszta sądowe, aż wreszcie zobojętniał na wszystko i tępem okiem patrzył, jak arcybiskup wyrzucał jego lary i penaty z katedry.

Była za katedralną absydą od strony ulicy Halickiej, na sam środek ulicy wysunięta przechodnia kapliczka Domagaliczów. Sześć kroków w kwadrat było jej powierzchni, trzydzieści ludzi zaledwie tam stanąć mogło ramię przy ramieniu, ale było to starego Lwowa miejsce święte świętych, tak jak Ostra brama w Wilnie, jak obraz u bramy Floryańskiej w Krakowie. Rozmodlona i rozśpiewana, dniem i nocą zawsze świecąca, klęczącym tłumem zewsząd otoczona, w złoto i srebro niezliczonych wotów cała oprawna, rzewną i poetyczną legendą o niewprawnym malarzu i uzdrowionem dziecięciu Domagalicza, jakby

kadzidłem owiana, była ta kapliczka, jakby sercem Lwowa, pociechą w jego smutkach, ochroną w nieszczęściu, tarczą w utrapieniu.

I to serce wydarł arcybiskup Sierakowski w imię porządku i jednolitości nabożeństwa. Obraz Matki Boskiej przeniósł do głównego ołtarza, kapliczkę wśród jęków ludu i namiętnego procesu kazał rozrzucić.

Były w samem prezbyteryum dwa ołtarze. Jeden wystawił Herburt Odnowski, alabastrową rzeźbą wyłożył arcybiskup Solikowski, drugi wzniósł hetman Stanisław Żółkiewski na prochach swego ojca.

Oba zmiótł wichr barokowego modernizmu.

Była w środku kościoła „Skałka“ taka, jaką widać do dzisiaj w krakowskim kościele Maryackim. Trzymano tam „Sanctissimum“, a u stóp kazał się pochować arcybiskup Jan Sieniański (1582), w nadziei, że odkupi grzechy swoje, gdy po jego prochach deptać będzie przechodzień.

Skałkę i pomnik kornego biskupa wyrzucił Sierakowski.

Była u góry, cała srebrna, masywna, błyszcząca tęcza „Kalwaryi“, znowu taka sama, jak ją przechował kościół Maryacki w Krakowie. — Srebrna na pół łokcia szeroka glorya, w kształcie serca, otaczała olbrzymi krucyfiks, gorejąc zawsze mnóstwem lampek wotywnych. U dołu wisiały w srebrnych ramach portrety mieszczan i mieszczek lwowskich...

Wszystko powyrzucał.

Kilkadziesiąt nagrobków było figuralnych, rzeźbionych, ciżba ołtarzy cechowych i brackich, skrzynie z majętnością bractw, obrazy, tablice z inskrypcyami, które skrzętnie notował jeszcze Starowolski w Monumentach sarmackich.

Wyrzucił.

Wylatywał tedy odwieczny sprzęt katedralny, jak z płonącego domu, kiedy gospodarz z domownikami statki swoje w trwodze największej wynosi. I rośnie naonczas nieskładna kupa, a rupieciem staje się to, co długie lata

trzymały w poszanowaniu, z pożytkiem dla pana i z przyzwyczajeniem dla oka czeladzi. Tak też zapełniły się niebawem wszystkie stajnie i szopy zabytkami dawnych czasów, aż się ks. Jaroszyński brał za głowę, nie wiedząc co począć z wyrzuconymi sprzętami, z których każdy długie jeszcze lata służyć mógł użytkowi kościelnemu. „Na złożenie ołtarzów — pisze do arcybiskupa — i innych sztuk z kościoła, nie mamy miejsca. Stajnia w pałacu pańskim szczupła jest i zaprzątniona, tak samo i słodownia za rezydencyami kanoniczemi. Rozumiem, że JWPan dysponował wydać circulares do XX. Dziekanów z doniesieniem, o znajdujących się ołtarzach i obrazach w katedrze“.

Circulares te były po prostu ofertą, uczynioną poszczególnym proboszczom, ażeby kupowali do swoich kościołów sprzęty wyrzucone z katedry. Na skutek też okólnika jaki taki proboszcz nie chcąc się narazić arcybiskupowi kupował je, tak, że pewna przynajmniej część zabytków dawnej katedry kryje się bezimiennie w kościołach podlwowskich. Jeden z ołtarzy, w ten sposób pozbyty, wyłowił i wcielił do swojego zbioru śp. Władysław Łoziński. Oczyszczony należycie i odnowiony był on celem zabiegów zagranicznych handlarzy starożytności, a dziś stanowi perłę zbiorów Łozińskiego, nabytych przez gminę miasta Lwowa. Z tego przykładu już można wnioskować, jaka to bezcenna była ta kupa gruzów i rumowiska, za których samo wywiezienie z cmentarza katedralnego wzięli w r. 1773 dwaj przedsiębiorcy Bartłomiej Łysiński i Wawrzyniec Jaworski wcale pokaźną kwotę 500 złp.

Podczas gdy obrazy, ołtarze i rzeźby wędrowały w taki trywialny sposób na śmietniki zamiejskie, albo też pokruszone i potłuczone służyły za materyał dla sztukatorów, odbywało się równocześnie, acz z większymi trochę ceremoniami, masowe całopalenie starych sreber katedralnych. Były to właściwie już tylko resztki, których w wielkiej potrzebie koronnej za Jana Kazimierza nie zdołała mennica przekuć na orty i szóstaki i które oca-

lały w czasie doszczętnego złupienia Lwowa w r. 1703 przez wojska Karola XII. Nad nimi to i nad wszystkimi splendorami, jakie gdzie jeszcze wisiały na ścianach i ołtarzach katedralnych, spoczął twardy wzrok i nieustępliwa wola arcybiskupa Sierakowskiego, jakby jakie fatum złowrogie. Arcypasterz determinował wyroby srebrne według własnego uznania na stopienie, prefekci budowy kładli je wedle rejestrów na wagę, a potem wspólnie ze złotnikami odliczali sumiennie uzyskane z pieca cegiełki czystego srebra. Wszystko to działo się dokumentarnie a jeden z zachowanych protokołów pozwala podpatrzeć samą procedurę i ostatnie chwile wielu cennych zabytków starego złotnictwa lwowskiego: „My prefekci — czytamy w tym charakterystycznym dokumencie — zadosyć czyniąc opisowi instrumentu pasterskiego, danego 27. lipca 1773, wezwawszy złotników cechmistrzów, przystąpiliśmy do ważenia srebra kościelnego, które sam JO. Pasterz osądziwszy za niezdatne do używania w kościele, odłączył je i determinował na stopienie“.

War i żar pieca złotniczego zakipiał więc nad mnogą masą symbolów kościelnych i najmisterniejszych wyrobów złotniczych. W jednym i tym samym kotle smażył się „fartuszek z koroną, która wisiała nad głową passyi“ i sam nawet „Duch święty z promieniami“ i drugi, mały „Duszek święty“ również z promieniami. Spadały do kotła „słońce, księżyc i gwiazdy“, topił się nawet „promień z nad głowy krucyfiksu“ i „osoba siedzącej na krzesełku Najświętszej Panny z klęczącym przed sobą archaniołem“. Skwirczały dalej na wolnym ogniu „cztery lichtarze z herbami“, „pastorał z osóbką“ i drugi pastorał „arcybiskupa Zamoyskiego filigranowej roboty z osóbką na wierzchu“, a obok „serce od trumny księcia Janusza“, „przyczołek i rama od trumny arcybiskupa Tarła“, tace, krzyże pozłacane, lampy, a nawet srebrne skędzierzawione obłoczki, które się wiły ponad świętymi obrazami, „róża od P. Jezusa“, buzdygan itd.

Przyszła wreszcie kolej na portrety srebrne, które wisiały na wspomnianej powyżej Kalwaryi i na wieki,

jakby w panteonie, świadczyć miały o potędze i znaczeniu w mieście tych, co byli i przeszli, zostawiając jednak ślady ofiarności swojej i bogactw w katedrze. Teraz one ciche i nieme czekały swojej kolei i szły do pieca złotniczego: portret Milewskiego, co kaplicę fundował i wielkim był dobrodziejem katedry, dumnego księcia Janusza Wiśniowieckiego, arcybiskupa Skarbka, rajczyni Wiśniowskiej, wojewody podolskiego Humieckiego, patrycyuszki Złorowiczówny, mieszczan Wilczka, Szmelinga, a nareszcie portret poety ...Szymona Szymonowicza.

Jeżeli poczucie historycznej i artystycznej szkody towarzyszy stale przy czytaniu niniejszego rejestru, to przy wzmiance o portrecie Szymonowicza dziwnie się jakoś robi smutno i markotno. Oto podobizny największego z dawnych poetów polskich nie poszanował wichr barokowego modernizmu, oto wrzucono do pieca wizerunek człowieka, który tak pięknie, tak swojsko śpiewał o słoneczku, cudnem oku dnia jasnego, sam jeden zbierał trud, znój i krople potu z pańszczyźnianego zagona, śpiewką swoją utrafiał jak rzadko w nutę narodową i był chlubą swojego czasu, laureatem, śpiewakiem ponad śpiewaki. I wobec takiej to czcigodnej i cennej podobizny wielkiego człowieka, ani nawet na chwilę nie wstrzymała się „determinacya“ twardego arcybiskupa — ten nieustępliwy człowiek baroku miał sumienie skazać na zagładę jedyny, zachowany portret poety i w ten sposób całą potomność pozbawił wyobrażenia rysów wielkiego lutnisty. Żadnego bowiem innego portretu Szymonowicza nie przechowały nam wieki.

Natomiast ocalał, chociaż tylko na razie, portret „pana Solskiego rajcy“, również na zagładę przeznaczony. W ostatniej bowiem chwili okazało się, że dowcipny rajca chciał oszukać potomność i na Kalwaryi zawiesił zamiast portretu z masywnego srebra, podobiznę swoją miedzianą i tylko grubo posrebrzaną. Protokół nasz powiada z pewną indygnacyą, że „portret i ramy były miedziane“ wobec czego wycofano go z pieca. W ten

sposób przemyślna chytrość rajcy lwowskiego ocaliła jego własną podobiznę od całopalenia.

Ze wszystkich srebrnych splendorów uzyskała fabryka katedralna 1377 grzywien czystego srebra, z czego lwia część poszła na sporządzenie nowej sukienki dla obrazu Domagaliczowskiego.

III.

PASTORAŁ I KIELNIA.

Chociaż tak się rozsrożył nad przeszłością katedry i jej pamiątkami, chociaż uwisł jak fatum dziejowe nad zabytkami lwowskiej sztuki, to jednak nie był arcybiskup Sierakowski duchem samego tylko zniszczenia, ani ślepem narzędziem nowych prądów, które zawsze tak chętnie mszczą się nad przeszłością. Miał w sobie bowiem ów starzec, pamiętający trzech królów polskich i dwu władców austryackich, dużo twórczego ducha modernizmu, był dzieckiem swojego czasu i epoki, człowiekiem i miłośnikiem lekkiej sztuki baroku w każdym calu swojej istoty, w każdem drgnieniu swej niespożytej energii i żelaznej woli, w nadmiernej ofiarności dla raz wytkniętego celu.

Jakoż na miejsce precz wyżenionej sztuki gotyckiej i odrodzenia, umiał on postawić rzeczy nowego stylu, piękne, cenne, o monumentalnych zamysłach i pragnieniach. Prześliczna sylweta hełmu na wieży katedralnej jest dziś jednym z najpiękniejszych zabytków późnego baroku na ziemiach polskich, nad zniszczonymi freskami prezbyteryum coraz bardziej ubolewają historycy i znawcy sztuki, a w samem dzisiejszem wnętrzu katedry spocznie oko z przyjemnością na niejednym szczególe stylowym, tem bardziej, gdy się pomyśli, że całe dzieło odnowienia katedry wyszło z rąk majstrów polskich, a nawet ściślej powiedziawszy, lwowskich.

Bo arcybiskup Sierakowski umiał w dziwny sposób skupiać i zaprzęgać do pracy siły miejscowe. W trudnych

warunkach, w powszechnem zubożeniu i upadku umiał odszukać i zorganizować całą plejadę artystów, mistrzów, rzemieślników o smacznym guście i niepospolitych zdolnościach. I w ten sposób, w chwili upadku Rzeczypospolitej, jakby już w obliczu nadciągającej nawały wiedeńskiej sztuki i niemieckiego przemysłu zrobił wielką, na długie lata ostatnią rewię dzielności i sprawności polskiego artysty i rzemieślnika.

Dzieje restauracyi katedry lwowskiej, jednego z największych przedsiębiorstw Lwowa przed zaborem austryackim, są bardzo wielkiem zawstydzeniem dla czasów dzisiejszych, a zarazem zasadniczem odparciem wszelkich zarzutów o rzekomem upośledzeniu, czy mniejszej wartości polskiego rzemieślnika. Dlatego czyta się owe dzieje z żalem wielkim, wspominając te małoduszne i samolubne siły zaborcze, które z chciwości zatamowały rozwój polskiego przemysłu w zabranej Galicyi i wytrąciły go z utartej drogi, zostawionej w spadku przez Rzeczpospolitą. Były chwile, że arcybiskup Sierakowski nie miał pieniędzy, ale naogół budowa i inwestycya, pochłonęła krociowe sumy, któreby wedle dzisiejszej stopy i cen robocizny trzeba obliczać na wiele milionów. Mimo to nie pomyślał dostojnik kościelny ani na chwilę o sprowadzeniu obcych budowniczych czy majstrów, czy materyałów, ale wykonywał wszystko siłami miejscowemi. Z drugiej strony zdziwienie ogarnia na widok, jak łatwo stosunkowo znajdował on na miejscu godnych przedsiębiorców i wykonawców i jak w tej fabryce kościelnej wszystko aż do najdrobniejszego szczegółu, do ostatniej sztabki żelaza, najmniejszego kawałka mosiądzu, złomu marmurowego, było dziełem krajowej wytwórczości, na miejscu zrobionem, wykonanem, obrobionem, artystycznie ujętem i uplanowanem.

Dzisiaj wszak lada proboszcz, lada zakon biegnie po potrzeby swojego kościoła, czasem po zwykłe stacye Męki Pańskiej, lub obrazy, nieraz aż do Tyrolu!

Restauracya katedry lwowskiej trwała od roku 1763 do r. 1780, a zatem pełnych lat siedmnaście. Na tle tego

długiego a ze wszystkiem przełomowego czasu, wśród ogólnego wyczerpania i niepewności stosunków, w chwilach, kiedy cała przeszłość opadała w gruzy, a przyszłość chmurzyła się zagadką obcych rządów, w takiej biedzie ekonomicznej, a w okresie pod względem politycznym katastrofalnym, zarysowuje się, po raz ostatni niestety — cała krzepkość i żywotność polskiego przemysłu, wysokie uzdolnienie polskich mistrzów, widnieje cała ta wielka „fabryka metropolitańska“ dysząca ciężko w ogólnym zastoju ekonomicznym, a jednak dźwigająca się siłą rodzimego ramienia, ostatkiem zasobów narodowego warsztatu, a pod skrzydłem fioletów ostatniego we Lwowie prałata Rzeczypospolitej.

Pochylony wiekiem senator umiał jakoś w danej chwili zamienić pastorał na kielnię murarską, umiał się uczynić przedsiębiorcą budowlanym w wielkim stylu, patronem polskich mistrzów, ostatnim za Rzeczypospolitej, choć może nieświadomym orędownikiem przemysłu krajowego. Nie umiał jeszcze wówczas deklamować o potrzebie tego przemysłu, potrzeby narodowego odrodzenia na polu ekonomicznem nie rozumiał chyba tak, jak my ją dziś rozumiemy, ale też równocześnie nie umiał także narzekać na drożyznę i małą wydatność pracy polskiego rzemieślnika, nie rozdzierał szat nad brakiem sił ukwalifikowanych.

A dlatego nie rozdzierał szat swoich fioletowych arcybiskup, bo sam sobie umiał stwarzać siły ukwalifikowane. Brakło stolarzy we Lwowie, nie mógł ich nastarczyć cech lwowski, to on ich pozbierał ze wszystkich miast i miasteczek okolicznych, z Gródka, Nawaryi, Janowa, Obroszyna, sprawiał im narzędzia, lokował w pałacach swoich we Lwowie, Obroszynie, Dunajowie, ubierał ich, sprawiał im nawet koszule i kazał pracować pod kierunkiem i nadzorem majstrów i naczelnem zwierzchnictwem architekty Piotra Polejowskiego. Czasem trzeba było przenosić rzemieślników z miejsca na miejsce, bo nawet pałac arcybiskupi nie był pewien przed kwaterunkiem rosyjskim, zwłaszcza, gdy generał Kreczetników, nie bez myśli

zapewne dokuczenia arcybiskupowi, zapragnął zamieszkać w jego pokojach w rynku. „Na usilną prośbę JMP. generała Kreczetnikowa — pisze — musiałem mu pozwolić rezydencyi w pałacu moim i z tej przyczyny sprzęty katedralne, które są lokowane w pokojach, będą musiały ustąpić — rzemieślnicy robiący w pałacu także już tam robić nie mogą, jak pierwej robili. Trzeba ich będzie przenieść do Obroszyna i lokować w oficynie starej kuchni pod zwierzchnością i dozorem samego Imp. architekta“.

Jakieś, dziś już nawet ze wspomnienia nieznane zakłady przemysłowe, dostarczały arcybiskupowi potrzebnych materyałów: hamernia miedzi w Dunajowie miedzianej blachy na pokrycie kościoła, kuźnica w Dembinie żelaza w snopach. Cegielnia w Rzęśni polskiej wyrabiała mu cegły za kontraktem, łomy trembowelskie dostarczały ciosów, Kąkolniki marmuru, ozdobne sztachety rznięto z dębiny w Sokołówce. Oprócz pałacu, wszystkie mansyonarye i wikarye dokoła katedry zamieniły się na warsztaty rękodzielnicze, cały szereg magistrów krzątał się i pracował, podług zawartych kontraktów: Jan Budzanowicz na czele cieślów, Józef Dublowski z murarzami, Andrzej Ossowski, Jerzy Szamower z kamieniarzami i Wawrzyniec Pawłowski powroźnik, Antoni Karzyński szklarz, a nawet niewierny Judka Gerszonowicz, mosiężnik, pracował dla katolickiego kościoła.

Nad nimi to wszystkimi czuwało zdala aż z Dunajowa oko arcybiskupie i jego zapobiegliwość powtarzająca przy każdej sposobności: „trzeba pilno robić — robić, nie psuć, nie przerabiać, pieniądzmi oszczędzać, roztropnie i oszczędnie szafować“.

Rzemieślników lepszych, zwłaszcza artystów, otaczał Sierakowski prawdziwie ojcowską pieczołowitością. Modlił się za zdrowie architekty Polejowskiego, gdy ten zachorował i cieszył się jak dziecko jego wyzdrowieniem, troszczył się, czy malarz Stroiński ma już rękę sposobną do malowania i ochotę, innemu malarzowi, jak obaczymy niżej, sposobił ciepłą izbę u siebie, sztukatorom i mozaistom ofiarował miedziany kocioł z własnej kuchni,

uwzględniał wszystkie drażliwości u mistrzów, jednem słowem tak czynił, jak czynić powinien skrzętny przedsiębiorca budowlany, mający na oku całość i dobro fabryki.

W jednej ręce pastorał dzierżył krzepko, w drugiej kielnię murarską ten, o którym powiedział pierwszy geograf Galicyi, Kuropatnicki, że był nietyle „restauratorem, co fundatorem katedry lwowskiej“.

IV.

SIGNOR TAVELLIO.

Gdzie tylko był jaki pędzel, choć trochę niewystrzępiony, ręka tylko nieco sprawniejsza do malowania, człowiek, z jakiegobądź tytułu godny nazwy malarza, ten mógł być pewien roboty w odnawianej katedrze, jakiego takiego zarobku, a przedewszystkiem troskliwego zainteresowania ze strony arcybiskupa Sierakowskiego. Dlatego też cały parnas lwowski i wszystko co w nim umiało obracać pędzlem i chlastać farbami, przymknęło do fabryki katedralnej. Obaj bracia Stroińscy, Józef Choynicki, Piotrowski, Łukawski, Miller, Orzechowski, Kolczyński, jednem słowem cała plejada artystów i lakierników zabarwiała kościół na wszystkie tony i sposoby barokowe, począwszy od fresków i płócien ołtarzowych, a skończywszy na malowaniu kamiennych wazonów u szczytu wieży i złoceniu sztukateryi.

Wśród nich znalazł się jeden tylko jedyny gość egzotyczny, a syn słonecznej Italii, niejaki signor Tavellio. Pisarze fabryczni i prefekci budowy nazywali go lwowskim akcentem „signoro Tabello“, albo po prostu malarzem Italiano — a on sam jeden w kotlinie nadpełtwiańskiej reprezentował sztukę włoską, zapewne według szkoły rzymskiej, naonczas najpopularniejszej. „Signor“ przyjechał do Lwowa widocznie goły jak turecki święty, bo fabryka katedralna musiała mu urządzić, dość zresztą

prymitywne atelier malarskie złożone z kilku garnków na farby i najniezbędniejszych rekwizytów, wydzielała mu strawne w stosunkowo niewielkich kwotach, a arcybiskup dał mu zaraz z samego początku ciepły kąt u siebie w Dunajowie i określił artystyczne zadanie przy malowaniu katedry.

Zadanie to polegało głównie na odpowiedniem przyozdobieniu eremitorjum. Wybudował bowiem arcybiskup dla siebie przy samej katedrze na ówczesnym cmentarzu mieszkanie, rodzaj pustelni, połączonej bezpośrednio z kościołem, w której obiecywał sobie ciszę i możność ascetycznego rozmyślania. Tak zresztą zawsze człowiek czynu i energii marzy o samotnej spokojności i wzdycha do ciszy, w której mu nigdy trwać nie pozwoli ruchliwy temperament i gorączka pracy.

Właśnie z wiosną r. 1771 rozmyślał Sierakowski o wewnętrznem ozdobieniu tego eremitarzu, ale zawsze tak, aby był jak najbardziej celowy, a mało kosztował. „Deliberuję jeszcze — pisał do dziekana Jaroszyńskiego — jeżeli eremitorjum nie każę malować al fresco, tak żeby wszystkie pokoje reprezentowały pustynię i nie potrzebowały obicia“...

Otóż taką to pustynię wymalować miał al fresco signor Tavellio. Zanim się jednakowoż arcybiskup namyślił, jak właściwie wyglądać ma ta pustynia w pokojach mieszkalnych, zabrał się rączy Włoch do innej roboty, która uratowała główny ołtarz katedry od brzydkiego zeszpecenia i zjednała mu pochwałę arcybiskupią. Wybuchł bowiem właśnie wtedy mały skandal artystyczny z zasuwą do wielkiego ołtarza, osłaniającą obraz Matki Boskiej Domagaliczowskiej. Wykonanie tej zasuwy, na której miało być wyobrażone Wniebowstąpienie, powierzono młodszemu ze Stroińskich, Marcinowi. Ten jednak nie odpowiedział zadaniu do tego stopnia, że poirytowany arcybiskup kazał mu odnieść zasuwę do pracowni, a na jej miejsce wstawić tymczasowo obraz dawniejszy, który znowu nie nadawał się już do tego celu i wywoływał rodzaj zgorszenia u wiernych. Wobec tego wymalował si-

gnor Tavellio klejowemi farbami obraz prowizoryczny i zaraz pochwalił się skromnie przed arcybiskupem, że obraz ten „dosyć się podobał spektatorom". Sierakowski wyraził mu swoje uznanie słowami: „cieszę się z tego, bo by to był znak, że mu się inszy obraz na tę zasuwę, który potem w większym czasie i z większą pilnością malować będzie, lepiej uda".

Załatwiwszy się w ten sposób z Wniebowstąpieniem, zabrał się lwowski mistrz do malowania pustyni. I niewiadomo, czy z powodu wrodzonej chyżości w malowaniu, czy też dlatego, że samo pojęcie „pustyni" jest łatwym problemem malarskim, dość, że robota rozpoczęta w sierpniu postąpiła do dnia 30 października tak dalece, że ks. Jaroszyński mógł napisać do Dunajowa: „JP. Tabello tak pilnie robił w eremitorynm, że mało zostało do zupełnego wykończenia. Ponieważ zaś zaczęły się zimna, musiał przestać i na przyszłe lato odłożył dokończenie".

Na dobry sposób powinien był teraz signor Tavellio pociągnąć do Dunajowa na leże zimowe. Ale chytremu Włochowi bardziej się snać podobało w wesołym Lwowie, pełnym podniet dla duszy malarskiej, aniżeli w zakazanym Dunajowie, przy boku, nudnego w gruncie rzeczy staruszka, przestrzegającego ponadto surowo postów i wstrzemięźliwości w jadle i napoju. Dlatego też okazał nagłą chęć malowania drugiego obrazu na zasuwę i począł się tłumaczyć za pośrednictwem ks. Jaroszyńskiego, że „nie może malować w Dunajowie, z przyczyny, że nie masz tam miejsca obszernego. JPan raczysz tedy pozwolić, aby to dzieło wykonał we Lwowie w pałacu".

Ale tymczasem arcybiskup przyszedł do przekonania, „że ta zasuwa, którą pro interim namalował jest dosyć niezła i może do dalszego czasu posłużyć, tak, że można się z malowaniem tej, która ma być na zawsze „zatrzymać". Wobec tego powołał Włocha stanowczo do Dunajowa: „Kiedy p. Tavellio już musiał przestać dla zaczętego zimna malować w eremitoryum, więc lepiej co tu do Dunajowa powróci, gdzie insze dzieła, o których on już wie, malować commode będzie mógł. Do czego ja mu

tu stancyę wymyśliłem dobrą, w której mu będzie ciepło", a zresztą w pałacu, gdzie umyślił zamieszkać generał Kreczetnikow miałby „przeszkodę i subjekcję".

Niewiadomo, czy signor dał się wziąć na ciepło w stancyi dunajowskiej, ale, że bawił tam jeszcze później to pewna, bo wspólnie z arcybiskupem powziął plan wykonania wielu obrazów dla katedry. Rejestr tych obrazów posłano do Lwowa, ale ich wykonanie odwlokło się trochę z tego powodu, że architekt Polejowski musiał dać przedtem wymiary, o czem zaraz doniósł ks. Jaroszyński: „względem obrazów, których specyfikacyę odebrałem, JP. architekt potrzebuje dłuższego czasu, aby mógł wydać miarę pod rękę dla JP. Tavellio, co gdy nastąpi, opiszę doskonałą notą".

Na tem kończą się nasze wiadomości o signorze Tavellio i jego dziełach w katedrze lwowskiej. To jednak pewna, że utrapiony ten Włoch miał specyalnego pecha wobec potomności. Żadne bowiem jego dzieło nie dotrwało do czasów dzisiejszych, ani pustynia w eremitarzu, ani prowizoryczna zasuwa. Gdy zaś do malowania stałej zasuwy z powodu braku pieniędzy nie przyszło i gdy ostatecznie niewiadomo, kiedy i jak dał architekt miarę na zamówione obrazy, oraz czy zostały one wykonane, to chyba kiedyś bardzo dokładne studya mogłyby naprowadzić na ślad artystycznej działalności signora Tavellio.

V.

MARMORYZATOR W SUTANNIE.

Najwięcej kłopotu miał arcybiskup Sierakowski z marmoryzatorami i mozaistami. I to nie dlatego, żeby ci mistrze od wyrabiania sztucznego marmuru mieli zanadto wielkie wymagania pieniężne, ani dlatego, że dowcip barokowy polegał głównie na jak najdosadniejszem wyłożeniu ołtarzy, pilastrów, a nawet ścian błyszczącym a sztucznym i kosztownym surogatem marmuru, ale dla-

tego, że jeden z mozaistów zajęty przy odnawianiu katedry miał gwałtowny pociąg do trunków gorących i ciągle potrzebował „konsolacyi“, podczas gdy drugi zawiódł nadzieje arcybiskupa i naraził go na ostre scysje z kierownikami budowy.

Pierwszy z nich, nieznanego zresztą nazwiska, marmoryzował, począwszy od roku 1783 ołtarz główny. Poszło na ten cel wiele baryłek sadzy, nawet gdańskiej i angielskiej, mnóstwo farb, tłuczonego alabastru uzyskanego ze starych pomników katedralnych, zużytych zostało mnóstwo narzędzi jak pilników, raszpli, sit do cedzenia, kamyków do „szlufowania“, ale to wszystko było niczem wobec nadmiernych ilości wódki, której potrzebował mistrz rzekomo do mieszania farb i ingredjencji. Wprawdzie wiadomem było nawet arcybiskupowi, że mistrz ten miał bardzo łatwo wysychające gardło i dlatego w umowie już uwzględniono tę okoliczność i wyznaczono mu pewne ilości miodu „dla konsolacji“ — ale mimo to kierownictwo budowy miało bardzo poważne wątpliwości, ażali wódka do mieszania farb, nie rozmijała się ze swojem przeznaczeniem i nie służyła osobistym upodobaniom marmoryzatora. Gdyby tak było, to fakt ten musiałby się odbić bardzo niekorzystnie na wyrabianym przez niego marmurze i dlatego z wielką troską myślano zawsze w Dunajowie o nadmiernem pragnieniu mistrza.

Aż tu naraz, jakoś zimą r. 1771 przypytał się do Dunajowa, jakiś ksiądz, oświadczający, że umie skutecznie pracować w sztuce marmoryzacyjnej. Arcybiskup tak się tym gościem ucieszył, że jego pojawienie się uznał za dopust Opatrzności i postanowił natychmiast z wielką forsą przystąpić do marmoryzowania całej katedry. Nie czekając długo, zawarł z tymże księdzem, Antonim Chocińskim umowę i pchnął uroczystą sztafetę do ks. Jaroszyńskiego:

„Widzę, że podobało się P. Bogu, aby dla chwały Jego i większych ozdób kościoła mojego katedralnego, nietylko ołtarz wielki ale i wszystkie inne ołtarze marmoryzowane w nim były, kiedy mi sam z Opatrzności

swojej łatwość do tego czynu, przez nastręczającego mi się nad moje spodziewanie kapłana, w sztuce marmoryzacyjnej i mozaiki biegłego, niejakiego ks. Antoniego Chocińskiego. Już tedy się zupełnie rezolwowałem na to i z tymże kapłanem o takową sztukę i robotę in scriptis konwencję uczyniłem, którą Jegomości i samego siebie reprezentować będzie. Z tej więc konwencji a bardziej dyspozycji mojej zupełnie się Jmp. o mojej rezolucji i woli informować będziesz. Dlaczego szczególnie tylko JPana obliguję, abyś się do niej szczerze przyłożył, z tymże ks. Chocińskim dostatecznie rozmówił i z p. architektem i innymi konferencję uczyniwszy, pomyślał skutecznie, aby materjały potrzebne in hunc finem w czasie przysposobione i na czas przystawione i przygotowane były. A, że temuż ks. Chocińskiemu dwie stancje wyznaczyć obowiązałem się we Lwowie blizko kościoła, bez których być nie może, przeto gdziebym mu one najlepiej mógł wyznaczyć, czekam przychylnej JPana informacji. Wiem, że na wikarji i mansjonarji kompletu nie masz, a stancje próżne być muszą, mógłby tedy na wikarji, albo mansjonarji mieszkać, a drugą stancję na konserwację rzeczy do sztuki jego potrzebnych mieć w eremitoryum".

Zapowiedziany w ten sposób marmoryzator w sutannie, przyjechał rzeczywiście w pierwszych dniach stycznia r. 1772 do Lwowa i przedłożył kierownictwu budowy dokument ks. Sierakowskiego, uwiadamiający o wyznaczonej mu misyi przy restauracyi katedry. Dokument ten, wydany w formie uroczystego aktu, albo najuroczystszych pism, wychodzących z kancelaryi arcybiskupiej, jest tak ciekawym i charakterystycznym, że godzi się go tutaj przytoczyć w całości:

„Wacław Hieronim z Bogusławic Sierakowski, z Bożej i Stolicy Apostolskiej łaski Arcybiskup Metropolita lwowski. Komu o tem wiedzieć będzie należało, osobliwie jednak Ichmość XX. Kanonikom, Prefektom fabryki kościoła naszego metropolitańskiego lwowskiego, tudzież Panu Architektowi tejże fabryki wolę naszą oświadczamy. Iż my za łaską i pomocą Pana Boga dopiero wspomnianą

fabrykę rzeczonego kościoła naszego co do reformy murów, a nawet ozdoby zewnętrznej i wewnętrznej znacznie doprowadziwszy, chcąc kościół ten, jako przystoi na dom Boży, mieć jak najozdobniejszy wystawiony, a w nim ołtarz wielki cały marmoryzowany, umyśliliśmy my i mocno w nadzieji boskiej postanowili wszystkie inne ołtarze w całym kościele podobnie marmoryzowane stawiać i budować.

„Jakoż mając do tej roboty dobrze nam zarekomendowanego Jegomości X. Antoniego Chocińskiego, w tejże sztuce marmoryzacyi i mozaiki biegłego i samego się nam chętnie ofiarującego, zupełnie się na to rezolwujemy i aby materyały wszelkie potrzebne do tej sztuki tej zimy przysposobione i na przyszłą wiosnę przygotowane były, dysponujemy.

„Lubo zaś wspomniany X. Chociński nie tak dla zysku, jako bardziej dla chwały Pana Boga pracy tej i fatygi chętnie podejmuje się, atoli my, oprócz zasługi, którą za to mieć będzie u Pana Boga, nagradzając też jego pracę i fatygę, corocznie onemu jużto i z wiktem, który sobie sam obmyślać będzie 2000 złp. ofiarowaliśmy i tem pisaniem naszem ofiarujemy i nadto stancye dwie onemu we Lwowie naznaczyć bez wszelkiej jego w tym ekspensy, z których w jednej samby mieszkał, w drugiej za kluczem swoim rzeczy do takowej sztuki potrzebne konserwował, deklarujemy. Zaś tenże Jegomość X. Chociński obowiązał się nam zaraz na przyszłą wiosnę takową robotę rozpocząć i przez cały czas wiosny, lata i jesieni póki można tę sztukę robić z roku na rok, nie odrywając się, z pilnością, przywiązaniem, jak najlepiej, jak najdoskonalej, etiam z alabastrowaniem i złoceniem osób i wszelkich sztuk innych pod alabastrowanie i złocenie podpadających kontynuować.

„A że jest i drugi magister do tej sztuki, który ołtarz wielki już marmoryzował, a ten zwykł się napijać i nie pilnować jak należy roboty, więc i jego X. Chociński mieć go na oku swojem, aby nietylko roboty pilnował, ale i tęż robotę najlepiej doskonalił, przyrzeka. Pod

którego rękę i tegoż drugiego magistra, czeladź wszelką, pomocnik, będą expensą fabryki. Którą to dyspozycyę naszą i postanowienie, ręką własną podpisawszy, pieczęcią naszą stwierdzić rozkazaliśmy. Dan w pałacu naszym arcybiskupim Dunajowskim 2 stycznia 1772. Wacław, Arcybiskup mp.“.

Mimo takiego majestatycznego dokumentu i listownego nakazu, nie znalazł ks. Chociński dobrego we Lwowie przyjęcia. Był poprostu niepotrzebny. Ani bowiem roboty nie postąpiły o tyle, żeby było można odrazu przystąpić do marmoryzacyi na wielką skalę, ani też kasa fabryczna nie mogła wytrzymać i nadążyć z polotem skrzydlatej fantazyi arcybiskupa. Myślał on bowiem „nietylko ołtarze wszystkie dać wymarmoryzować ale filary wszystkie miasto malowania, aby marmoryzowane i mozaikowane były, która diversitas podobno wielkiej wspaniałości i ozdoby przyczyni“.

Koniec końców ks. Chociński, kwaśnemi minami kierownictwa budowy zniechęcony, wyjechał w Bełzkie, a rzecz cała się odwlokła, ku wielkej irytacyi arcybiskupa, której dał wyraz w liście z 10. marca t. r. „nawet gdy zleciłem był ks. Chocińskiemu, ażeby tam na miejscu dyspozycyę do przyszłej jego roboty mozaikowej z WPanami konkludował, nie stało się to, a czas za czasem idzie, robota się przeciąga, a mnie się przez to kosztu przyczynia. Już to u mnie zupełnie jest conclusum, że wszystkie ołtarze będą mozaikowe i filary kościelne, nietylko te wielkie, na których sklepienie stoi i ołtarze przy nich będą, ale i inne i te, które już są z drzewa i płótna łatane i malowane. Ani mnie od tego żadna perswazya „in contrarium“ nie odwiedzie. Wszakże ja i w początkach temu drewnianemu i płóciennemu łataniu mojej aprobacyi nie dawałem, tylko się wszystko „via facti“ stało, „post factum“ przyjąć i aprobować musiałem. Chwalili takową robotę z początku inni, ale teraz „in maiori parte“ i prawie wszyscy znowu ganią i powiadają, że bardzo znać co mur, a co płótno, które już się gurbi i odstaje, a co będzie potem? Zaczem koniecznie projekt

mój mozaikowania tego wszystkiego dawny skutek wziąć musi, ile, że mi Pan Bóg zdarzył „subjectum“ do wykonania tego projektu zdatne. Proszę więc WP. abyś się do tej mojej myśli i woli przychylił, a ochotnie i szczerze, także i Imć P. Architekt, bo byście mnie martwili, a nie przekonali. Posyłam, alias sam ks. Chociński ze sobą wiezie memoryał odemnie podpisany, wszelkich potrzeb do tej fabryki mozaikowej należących, o których skutek nieodwłoczny i zupełny jak najusilniej proszę i obliguję. Najpierwszą zaś robotę tejże mozaiki zaleciłem ks. Chocińskiemu koło filarów, bo te są najpilniejsze i najpotrzebniejsze „ante omnia“. Ołtarze tymczasem murować, a potem jak filary skończą, mozaikować się będą.

„PS. I proszę się z nim dobrze obchodzić i nie martwić go niczem, bo coś mi się zdaje, że mi się skarżył, że tam gdy był z kontraktem odemnie przyjechał, nie wesoło przyjęty. A on temu nic nie winien, żem ja go obrał do tej roboty i chcę, ażeby skutek wzięła“.

Ale nawet i taki dosadny „pater noster“ niewiele pomógł. Zawsze się bowiem znalazła jakaś przeszkoda, tak, że cała misya ks. Chocińskiego spełzła na niczem. Najciekawsze jednak, że przy samym końcu sezonu budowlanego, kierownictwo budowy potrafiło całą winę zwalić na... arcybiskupa, któremu ksiądz Jaroszyński wyraźnie napisał: „cała trudność na tem się zasadza, że ks. Chociński, przyjechawszy do Lwowa, zaraz sobie pod rękę nie miał danej roboty, ale któż jest winien temu, że ks. Chociński przyjęty jest za wcześnie? Koło ołtarzów dopiero myślono robić, a jakże można było je mozaikować?“

Od tej chwili znikł bez śladu marmoryzator w sutannie z widowni fabrycznej. Zaraz bowiem następnej wiosny stanął do pracy inny marmoryzator, Antoni Nowicki, który przez przeciąg trzech lat następnych wybrał z kasy fabrycznej blisko 1900 złp. — ostatni zaś rękę przyłożył do tej wdzięcznej roboty „marmorizator“ Fornecki, który w r. 1779 „podjął się wszystkie miejsca w ołtarzach i kaplicach mozaikowane a poodłtukane i zepsute poreperować do proporcyi i do koloru przy swojej

czeladzi, kolorach i wszystkiej należytości". Za tę pracę otrzymał 300 złp. a „oprócz tego gipsu palonego, ile będzie potrzeba i drew pod smażenie alabastru."

Kto ciekaw czego dokonali lwowscy marmoryzatotorowie, ten może dziś jeszcze oglądnąć ich dzieła w katedrze.

VI.

FABRYKANT ANIOŁKÓW.

Razem z niszczącem przeszłość tchnieniem barokowego modernizmu wleciała do wnętrza poważnej, gotyckiej katedry lwowskiej chmara swawolnych, roztrzepanych aniołków, bujających geniuszów i bezwstydna zgraja nagich dzieciuchów (putti). Przyczepiło się to wszystko do drewnianych i malowanych obłoków, fruwało na drewnianych skrzydłach i w najbardziej niebezpiecznych a ryzykownych pozach obsiadło wszystkie ołtarze, gzymsy i pilastry katedralne. W ten sposób pod ostrołukowem sklepieniem zaroiło się gęsto od ludu anielskiego, a poważna i ponura świątynia rozkrzyczała się jakoś niemym gwarem, stała się pełna niepokoju i ruchu rąk składających się do modlitwy, szat jakoby wiatrem rozdętych, oraz pracy, dźwigającej wszelakie insygnia i podpierającej mury, konsole i kroksztyny.

Zdawało się jakby jakaś reduta aniołów, orgia cherubów i serafinów zagnieździła się nagle w katedrze lwowskiej. Bo chociaż w ciszy nocnej i pustkowiu cały ten świat drewniany, wyzłocony i malowany robił upiorne wrażenie masy ludzkich postaci, zastygłej nagle w niesamowitych ruchach, to jednak w chwilach, kiedy świątynia przyoblekała się w dymy kadzideł i rozbrzmiewała głosem organów, świat ten ożywiał się nagle i drgać poczynał całą pełnią swojej rzeźbionej ułudy. W kadzidelnych sinych smugach, w pomieszaniu świec woskowych i promyków słońca, zbłąkanych po przez szyby okienne, w rozmodlonym szepcie tłumów i przeciągłych pieśni mo-

gło się zdawać istotnie, że to stado aniołów rozkołysało się nagle na swoich skrzydłach drewnianych, że się w szale ascetycznym powyginały postacie świętych, a niebieski zefir wionąc z nagła, szaty ich powydymał odsłaniając nagie ręce i kolana.

I złuda była, a o nią chodziło głównie myśli barokowej, na nią wysilała się cała sztuka i każdy dowcip artysty.

Taką to swawolną, młodą rzeszę, sprowadził do katedry stary arcybiskup. I nie ustał, aż się wszystkie łuki, gzymsy i załamki i filary zaludniły do sytości, aż się gośćmi z nieba zaskrzydliła cała przestrzeń.

Kazał arcybiskup Sierakowski i jak mógł płacił, więc każdy snycerz i rzeźbiarz we Lwowie ostatecznie czynił wysiłki, aby mu jak najwięcej narobić aniołów. Prawdziwa fabryka cherubinów, serafinów i wszelakiego rodzaju duchownych geniuszów powstała dokoła katedry. Najważniejszym jednak fabrykantem i głównym dostawcą aniołów był snycerz Jan Obrocki. On sam jeden tylko podjął się dnia 22. maja 1772 do sześciu kaplic katedralnych „dorobić pięć geniuszów z drzewa w promieniach z insygniami, a to w perspektywie owalnej“. Po bokach zaś rzeczonych kaplic miał zrobić szesnaście serafinów gipsowych w obłokach, do arkad zaś kaplic średnich cztery anioły gipsowe, każdy wielkości półtrzecia łokcia, „a to pod dwoma pawilonami z frędzlą i falbaną drewnianymi“. Do tego przybyło jeszcze czterech geniuszów z kwiatami w ręku, opierających się na wazonach.

Ale nie koniec na tem. Tenże sam Jan Obrocki podjął się w r. 1775 wystawić sześć obrazów gipsowych robotą sztukaterską, w każdym zaś po dwa geniusze i serafiny w obłokach większe, w zakończeniu zaś ramy po siedm serafinów mniejszych. Nadto podjął się zrobić cały ornament z gipsu w kaplicy Wiśniowieckich, a mianowicie: „trzech aniołów wielkich, każdy na łokci cztery, którzyby unosili krzyż, tudzież cztery geniusze, każdy na łokci dwa, trzymające krzyż z boku, inne dwa geniusze mający po dwa łokcie z kompardymentami, które mają

się wspierać na gzemsach. Kompardymenta wspomniane mają być drewniane rznięte suto i służyć będą na herby. Pod anioły i geniusze będą dane obłoki ile ich będzie potrzeba do proporcyi. Promieni w mierze potrójnej rozdartych na oba końce, ile będzie potrzeba. Na wierzchu ponad sanctuarium będą dwa anioły miary na pótrzecia łokcia z obłokami. Przy tych aniołach będą krioksztyny z laurami, pod krioksztynami będą pilastry z różną adornacyą, rzniętą z drzewa. Przy sanktuariach mają być ornamenta drewniane według potrzeby i przyzwoitości miejsca".

„W tejże kaplicy podjął się dalej pan Obrocki zrobić sztukateryę na murze, jako to: nad dwoma oknami dzieciuchy w obłokach, podobnie jak są w kaplicy naprzeciw. W tychże oknach pawilonik spuszczany z frędzlami. Ponieważ zaś nad oknami jest gzyms w cyrkuł, otaczający kopułę, przeto pod nim paludament podwijany i utrzymywany będzie przez siedmiu geniuszów, między którymi miejscami będą serafiny. Po bokach okien pobocznych będą cztery anioły w obłokach ze skrzydłami. Nad arkadami pośrodku będą serafinowie w obłokach. W arkadach czterech między filunki będą wydane cztery kompardymenta, pod arkadą na wejściu mają być dwa pasterleny, reprezentujące Mojżesza i Eljasza".

Dodajmy jeszcze do tego „osoby kamienne, które będą naokoło katedry i mają prezentować cnoty w stroju przyzwoitym" będziemy mieli wyobrażenie o rozmiarach pracy głównego dostawcy aniołów dla odnawianej katedry.

Z drugiej jednak strony pamiętać trzeba, że JP. Obrocki nie miał wcale monopolu i że inni snycerze, o których zresztą poniżej będzie mowa, współzawodniczyli z nim godnie w tej masowej fabrykacyi barokowych aniołków.

VII.

SPRZĘT KATEDRALNY.

Profesor Bołoz Antoniewicz z wielkiem uznaniem wyraża się o pracach, nieznanego mu jeszcze z nazwiska rzeźbiarza i snycerza z końca XVIII. wieku, któremu zawdzięczamy statuę kamienną św. Józefa na cerkwi metropolitalnej we Lwowie i całą dekoracyę kamienną na ratuszu w Buczaczu, a ze snycerstwa drzewnego figury w cerkwi św. Jura, w cerkwi wołoskiej, u św. Marcina, w kościele Dominikanów, całą tak interesującą plastykę drzewną w kościele w Nawaryi i wspaniałą grupę ołtarzową w kościele w Hodowicach, wreszcie istne cacko, prawie arcydzieło sztuki rokokowej w Polsce: ołtarz cerkiewki buczackiej koło gmachu Rady powiatowej.

Jeżeli szanowny profesor dotychczas nazwiska tego nie ustalił, to można by mu podać „terno“ współczesnych snycerzy, mocno poszlakowanych o wykonanie wszystkich powyższych robót. Są to, znany nam już dostawca aniołów Jan Obrocki, drugi snycerz Jan Kruszanowski i trzeci Maciej Polejowski, brat architekty. Do tej trójki przybywa nieco później jeszcze i Franciszek Oleński, który do odnawianej katedry dostarczył robót o wyższym niż rzemieślniczy, poziomie.

Co się tyczy Jana Obrockiego, to oprócz całej masy drewnianych aniołków, robił on jeszcze do katedry mauzoleum kąkolnickiego, które Sierakowski wystawił tym swoim poprzednikom na tronie arcybiskupim, których nagrobki powyrzucał. Kontrakt zawarty z nim w r. 1775 tak opisuje to mauzoleum: „U góry będzie gzyms, z pod którego trzy wieńce będą spuszczone. Nad gzymsem będzie bezgłowie, na którem paliusz leżący, trupia głowa z infułą, pastorał i krzyż. Po bokach kroksztyny z fardachonami gzymsowanymi przez kamieniarza, adornowane festonami laurowymi. Poniżej tych kroksztynów mają być postumenta z płatą szwejfowane, pod samą taflą będzie kompardyment, w którym ma sią prezentować

czas, to jest głowa starca ze skrzydłami rozciągnionemi i temi będzie unosić całe opus".

Również z marmuru kąkolnickiego podjął się Obrocki zrobić chrzcielnicę „u której obwodzenie i zakończenie w strukturę ma być drewniane. W takowem zakończeniu będą dwie szafki zamczyste „ad instar" filunków, między którymi będzie Duch św. w promieniach. W górze nad strukturą ma być geniusz z lilią, trzymający muszlę z wodą, a po bokach rzeczonej struktury dwa wazony, gdzie i inny ma być ornament".

Kruszanowski znowu według zawartego z nim dnia 19. kwietnia 1774 kontraktu podjął się zrobić „ornament do stallów według podanego abrysu JP. Architekta, to jest wazonów ośm, a każdy wazon ma być z dwoma festonami, leżącymi po bokach. Na bazeryi czternaście sztuk, reprezentujących różne insygnia kościelne, przeplatane kwiatami, dwadzieścia sześć sztuczek poprzecznych prezentujących podobne insygnia. To wszystko powinno być z drzewa dobranego, suchego i stosując się do abrysu, jak najlepiej wykonane".

Znacznie trudniejsze i już prawdziwe artystyczne zadanie miał snycerz Maciej Polejowski, który kontraktem z 21. czerwca 1773 podjął się zrobić ornament drewniany z osobami drewnianymi do dwu ołtarzy, św. Trójcy i Przemienienia pańskiego. Ten ornament ma być w sztukach, których opisanie następuje: „Nad gzymsem górnym tabula z gzymsem i krokszytnem, nad którą geniusz w obłokach z serafinami. Koło górnej kondygnacyi ornament według struktury wymurowanej górą pod gzymsem, a dołem przy fardachonie krokszytn zawijany z ornamentem i garnirowaniem kwiatami. W środku kondygnacyi glorya w promieniach w obłokach z siedmiu serafinami, w środku zaś środka geniusz unoszący symbolum trzech promieni w tryangule. W tejże kondygnacyi na fardachonie krokszytnowym dwa anioły z akcyą przyzwoitą. Pod gzymsem kondygnacyi we fryzie sztuczki lekkie, któreby służyły za garnirowanie".

Z dalszych szczegółów tych ołtarzy zasługuje jeszcze

na wspomnienie „zakończenie kompardymentu przez księgę otwartą, obłoki i trzech serafinów“ dalej po dwie do każdego ołtarza, osoby na postumentach kroksztynowych“ i cała masa festonów spuszczonych i rozwiedzionych i t. d. „Słowem JP. Maciej Polejowski podjął się zrobić ornament do dwóch ołtarzy według dyspozycyi JP. Architekta z drzewa suchego, gładko“, a to wszystko w przeciągu niespełna pół roku i za bardzo miernem honoraryum w kwocie 200 złp.

Najważniejszą wreszcie robotą IP. Franciszka Oleńskiego był tron arcybiskupi „o gradusach trzech, po bokach dwa postumenty, na których kroksztyny owalne mają się wspierać, nad którymi będzie naddany gzyms, z pod którego paludament z falbaną ma wychodzić i ten powinien okrywać cały tył, na kształt gronostajów. W zakończeniu tronu będzie geniusz, mający na głowie kapelusz kardynalski, a na piersiach order polski, trzymający zaś w jednej ręce paliusz, a w drugiej infułę z krzyżem“.

Taki był w najogólniejszych zarysach sprzęt czyli apparament katedralny, sprawiony z trudem wielkim i ostatecznem wyczerpaniem kiesy arcybiskupiej, ale wykonany przez majstrów miejscowych, jako popisowa sztuka, zamierającego przemysłu polskiego. I jeżeli do imienia Wacława Hieronima Sierakowskiego przylgnie raz na zawsze wspomienie okrutnego starcia wiekowej patyny z prastarego i czcigodnego budynku, to ze strony drugiej, musi mu być przyznaną zasługa twórcy pięknych zabytków późnego baroka na ziemiach polskich, zabytków przynoszących chlubę swojskiemu artyście i rzemieślnikowi.

Zasługę tę mieli ze starym arcybiskupem, także architekt Piotr Polejowski. Z przytoczonych wyżej okoliczności wynika, że był on duszą całego przedsięwzięcia restauracyi katedry lwowskiej i wszechstronnym wykonawcą planów i pomysłów arcybiskupa. Nic tutaj nie działo się bez jego woli, najmniejszy nawet drobiazg, wykonywany był wedle dostarczonych przez niego abrysów.

Na utrapienie jednak dla historyka stał on ponad wszystkie księgi wydatków i kontrakty i dlatego cała postać jego występuje za mało wyraziście. Niewiele tylko szczegółów można podać z zachowanych źródeł, ale i na podstawie tych szczegółów występuje on jako pierwszorzędny architekt, chluba budownictwa lwowskiego, fachowiec o wybitnym talencie. Katedra lwowska nie jest zapewne jedynem jego dziełem i dlatego odszukanie innych dzieł Piotra Polejowskiego, zestawienie szczegółów jego życia na podstawie źródeł archiwalnych byłoby bardzo wdzięcznem, choć i trudnem zadaniem dla historyka późnego baroku na ziemiach polskich.

XII.

MASONERYA WE LWOWIE.

I.

TRZY BOGINIE.

Wszystkie lwowskie ambony, cały wielki odłam prasy, autorowie grubych ksiąg i cieniutkich, a tnących jak osa broszurek dawno już wyrzekli ostatnie słowo o masoneryi, jako o źródle wszystkiego złego czasów dzisiejszych. Dlatego też i badacz przeszłości bierze się do rozwikłania tajemnic wolnomularskich z uczuciem pewnego strachu i oczekiwaniem zgoła niespodziewanych okropności. Zupełnie tak samo stracha się człowiek, otwierający skrzynkę z machiną piekielną, albo unoszący pokrywę kotła, w którym warzy się jakaś niewiadoma, ale w każdym razie trująca materya.

Tylko, że w życiu, tak obecnego, jak minionego Lwowa, wiele strasznych skąd inąd objawów idei i prądów przybiera dziwnie poczciwą, czasem aż groteskową szatę. Burzyciel porządku społecznego jest najzwyklejszym sobie filistrem, barykadowy rewolucyonista, trwożliwym ojcem rodziny. We Lwowie demokrata musi mieć koniecznie herb szlachecki, nieprzejednany publicysta marzy o jakiemś intratnem zajęciu, rozczochrany, wyższy ponad otoczenie poeta ubiera się z lubością we frak bankietowy, lub w balowe buciki.

Tak i z masoneryą lwowską. Trujący kocioł wypuści, co najwyżej, niewonną parę, machina piekielna staje

się dziecinnem pudełeczkiem, z którego po odkryciu wieczka wyskakuje na sprężynce groteskowa figurka. W tym wypadku nawet całe mrowisko figur, na których widok przetrzeć sobie potrzeba oczy i zapytać ze zdumieniem: to... są ci masoni, bezbożni farmazonowie, przeklęci i na zawsze potępieni? [19]).

Bo oto na ich czele kroczy ni mniej ni więcej tylko kanonik kapituły lwowskiej, jako wielki mistrz loży masońskiej, a za nim cała plejada profesorów uniwersytetu, oficerów, radców gubernialnych, mniejszych lub większych urzędników. Wśród nich nazwiska szlachty, albo już wówczas tytułem hrabiowskim ozdobione, albo też z dnia na dzień tego tytułu wyczekujące. Obok kupcy i bankierowie i w jednym rzędzie awanturnicy z pod ciemnej gwiazdy, rycerze przemysłu, niebiescy ptakowie i wogóle cała ta barwna mozajka mniej lub więcej ciemnych egzystencyi, które przesunęły się przez Lwów w wieku ośmnastym, a zwłaszcza w pierwszych latach po zaborze austryackim.

Obcy przybysze przynosili z sobą z dalekiego świata dziwne jakieś nowiny, pragnienia, pomysły, a ludziom miejscowym krajowe nieszczęścia mroczyły umysł i zaciemniały oczy. Stąd też i masonerya, tak jak ona da się zaobserwować na gruncie lwowskim, pełna jest osobliwych a egzotycznych prądów, na dnie których pomieszało się wszystko i zasady ogólno-ludzkiej a chrześcijańskiej moralności razem z pospolitem oszustwem, tajemnica z bezdenną pustką wewnętrzną, komunały etyczne z szalbierczemi machinacyami alchemii, dążność do wewnętrznego udoskonalenia z żądzą intrygi, działania patryotyczne z zabawą. Na wolnomularstwo, jego tajemnice, najdziksze ceremoniały patrzyli ludzie ośmnastego wieku ze świętą grozą i trwożliwem wyczekiwaniem. Pustka i pospolita blaga, którą nieraz spotykali w lożach swoich nie zrażała ich wcale, bo wierzyli święcie, że po przejściu wszystkich stopni rytuału szkockiego, czy ścisłej obserwacyi posiędą ostatecznie kiedyś te najwyższe tajem-

nice masonii, które każdy przeczuwał a o których nikt nic pozytywnego nie wiedział.

Jest naoczny świadek dziejów masoneryi lwowskiej, Innocenty Fessler, jest tych dziejów historyk w osobie Abafiego-Aignera. Ani jednego ani drugiego o niechęć do wolnomularstwa posądzić nie można, bo pierwszy był filarem i reformatorem, drugi, sam mason, miał przystęp do pierwszorzędnych materyałów źródłowych. Ale jednak lektura ich dzieł sprawia dzisiejszemu człowiekowi dużo przykrości: tyle w niej próżni duchowej, pryskających baniek, tyle pajęczyny, która obsiadła mózgi ludzkie, zaciemniając trzeźwy pogląd na świat.

Ale taki to już był czas i taka epoka. Dawne wierzenia opadały w gruzy, nowe się jeszcze nie skrystalizowały. Stąd tyle w tych ostatnich szalbierstwa i szarlatańtwa, pomieszanego dziwnie z myślami i prądami, które stały się dziś powszechną własnością i podstawą nowożytnych społeczeństw. Można nawet, z pewnem prawdopodobieństwem słuszności, powiedzieć, że masonerya ośmnastego wieku była formą, była niewiadomą, w którą różni ludzie, różne potrzeby, stosunki wlewały treść odpowiednią a pod którą podstawiano dowolne wartości.

W wyjałowiałym do cna Lwowie ośmnastego wieku treści już prawie nie było, wartości mogły się dopiero wytworzyć. Dlatego też pustka duchowa przybierała od czasu do czasu groteskowe formy, a masonerya na gruncie lwowskim zawsze była naleciałością obcą, zwłaszcza główna jej fala przypłynęła tu razem z pułkami wojska najezdniczego i niemieckiej biurokracyi. Bo ideały, dyplomy, odznaki, fartuszki, młotki i kielnie masońskie przywędrowały do Lwowa w tornistrach oficerskich, w głowach kondotyerów stojących na czele okupacyjnej armii generała Hadika, oraz w tobołkach pierwszych urzędników cesarzowej Maryi Teresy.

Po za tem wszystkiem jednak była masonerya towarzystwem tajnem. Było w tem trochę dziwnej niekonsekwencyi oświeconego absolutyzmu i państwa policyjnego, które tego rodzaju związki tolerowało, ale była

w tem dla narodu podbitego jedyna droga działania patryotycznego i narodowego. Na tę też drogę weszli przynajmniej najwybitniejsi reprezentanci społeczeństwa polskiego w świeżo utworzonej Galicyi. Niektóre loże w austryackim Lwowie miały polski charakter, charakteru tego i przynależności swojej do wielkiego Wschodu warszawskiego broniły długo i wytrwale, a związane stosunkami osobistymi i politycznymi z twórcami reformy Sejmu czteroletniego, prowadziły jego dzieło równolegle na gruncie galicyjskim, dzieło, które znalazło swój późniejszy wyraz tak w lwowskim „Dzienniku patryotycznych polityków", jak w poparciu powstania Kościuszkowskiego, jak wreszcie w nieszczęśliwych próbach powstańczych po ostatnim rozbiorze.

Ale to wszystko należy już do ostatniej fazy działalności związków wolnomularskich we Lwowie, pochodzi z czasów kiedy masonerya we Lwowie miała już swoją długą i dość ciekawą historyę.

Historya ta rozpoczyna się od roku 1747, to jest od chwili założenia we Lwowie „Loży trzech bogiń".

Dlaczego „trzech" to jeszcze łatwo zrozumieć, bo trójka była symboliczną i ulubioną cyfrą farmazońską, ale dlaczego właśnie „bogiń" to już osobista tajemnica założyciela loży, Franciszka Longchampsa.

Mąż ten mieszkał stale w Paryżu i to właśnie w czasach, kiedy „sztuka wolnego murowania" przepłynęła w tryumfie kanał La Manche i według rytuałów szkockich i angielskich pracowała zawzięcie po paryskich gospodach i salonach. Nastrój związków pytagorejskich, obrzędów na cześć Izydy, pokrewieństwo duchowe z arcykapłanem Nehemiaszem, Rehabitami, Terapeutami, Esseńczykami, a przedewszystkiem poczucie wspólności z budowniczym świątyni Salomonowej cieślą Hiramem pozawracało ludziom głowy do tego stopnia, że każdy szanujący się Francuz uważał się przynajmniej za czeladnika „wielkiego budowniczego świata" i „murował" zawzięcie stosownie do stopnia swojego masońskiego, uświadomienia i tajemnic do których go w loży dopuszczono.

Z tego źródła wyniósł „sztukę wolnego murowania“ i Franciszek Longchamps, który w pogoni za szczęściem i chlebem zawitał w czwartym lat dziesiątku ośmnastego stulecia do Polski. Gdy zaś obok tajemnic masońskich, posiadał on także wybitne zdolności finansowe, przeto znalazł łatwe i chętne przyjęcie na dworach najwybitniejszych panów polskich, którym sprytnie i dobrze prowadził interesa pieniężne. W ten sposób wszedł w stosunki ze Stanisławem Mniszchem, Andrzejem Mokronowskim, Konstantym Jabłonowskim, z Potockimi, Lubomirskimi i Sapiehami. Wśród transakcyi bankowych propagował równocześnie masoneryę, która nosząc na sobie markę francuską i stempel paryski, łatwo znajdowała posłuch w tych sferach i zwolenników. Tak powstała „loża Trzech braci“ w Warszawie (1744), loża w Wiśniczu, a kiedy ostatecznie Longchamps osiadł na stałe we Lwowie, przyjął tu prawo miejskie i założył rodzaj domu bankowego, to zakrzątał się także koło założenia loży masońskiej, która pod nazwą „trzech bogiń“ (Les trois Deesses) rozpoczęła na bruku lwowskim działalność swoją około roku 1747. Sam założyciel został oczywiście wielkim mistrzem loży, a jej sekretarzem niejaki Le Roy.

Nie mogli jednak wolnomularze zanadto otwarcie szastać się po Lwowie. Znana tu bowiem była bulla papieża Klemensa XII, „In eminenti“, potępiająca związki masońskie, a zresztą duchowieństwo tutejsze nie znało jeszcze wtenczas żartów w sprawach religijnych. Stąd też prawdopodobnie pochodzi legenda o tragicznym końcu „loży trzech bogiń“. Mianowicie sekretarz Le Roy miał wyjechać na chwilowy pobyt do Sambora i zabrał ze sobą wszystkie papiery loży. Tymczasem po dziewięciodniowym pobycie tamże spotkała go śmierć niespodziana, a papiery wspomniane dostały się do rąk samborskiego proboszcza, który odesłał je natychmiast do konsystorza we Lwowie. Konsystorz rozpoczął energiczne śledztwo, którego wynikiem były liczne prześladowania osób, poszlakowanych o masoneryę.

Jakkolwiek się jednak rzecz miała w istocie, to prześladowania te nie musiały być zanadto wielkie, skoro samego mistrza loży „trzech bogiń“ Longchampsa spotykamy niebawem na krześle radzieckiem w ratuszu, jako poważnego, liczną rodziną otoczonego obywatela, pełnego lojalności, gdy na uroczej swojej Lonszanówce stawiał pomnik cesarzowi Józefowi II., a lasek na wieczną rzeczy pamiątkę nazywał Kaiserwaldem.

Co więcej spotykamy go również przy robocie, gdy niebawem przyszło do „murowania“ nowej loży we Lwowie.

Z tem wszystkiem „trzy boginie“ nie miały wielkiego powodzenia na gruncie lwowskim, a jeżeli im się w dziejach tutejszej masoneryi należy poczesne miejsce, to tylko dlatego, że były pionierkami ruchu wolnomularskiego i pierwszym kwiatkiem masońskim, zakwitłym na niwie, która jak się później okazało wdzięczną była bardzo pod tego rodzaju posiewy.

II.

DZIECKO CNOTLIWEGO SARMATY.

Dwa mocne filary budownictwa masońskiego, a równocześnie dwie gwiazdy na horyzoncie Wielkiego Wschodu w Polsce, to jest Fryderyk Alojzy Brühl, znany w hierarchii masońskiej pod nazwą *„eques a gladio ancipiti“* i August Moszyński — *„eques a rupe alba coronata“* przenieśli dawną lożę „Trzech Braci“ przez dodanie wyższych stopni w r. 1767. w lożę ścisłej obserwacyi pod godłem „Cnotliwego Sarmaty“, która niebawem już jako pierwsza wielka loża polska stała się macierzą lóż prowincyonalnych w Malborgu, Gdańsku, Białymstoku i... we Lwowie.

Lwowska córa „cnotliwego Sarmaty“ przybrała nazwę „loży trzech białych orłów“. Założona w r. 1769, w czasie dla Lwowa najnieszczęśliwszym i przełomowym, skupiła

loża przedewszystkiem niedobitków z pod znaku „trzech bogiń“, wśród których znalazł się także znany nam już bankier Franciszek Longchamps, a następnie żywioły, jakie w tym awanturniczym czasie były pod ręką. Mimo zamieszek, całkowicie nie sprzyjających sztuce wolnego murowania, wykazała loża „Trzech Białych Orłów“ bardzo dużo żywotności przetrwała pierwszy rozbiór Polski, przeszła bardzo ciekawy i charakterystyczny spór o swoją terytoryalną przynależność, aż wreszcie stała się punktem zbornym najbardziej eleganckiego świata szlachty polskiej i napływowych żywiołów austryackich.

Jeżeli nie znamy ani wielkich mistrzów, ani działalności loży „trzech białych orłów“ za ostatnich lat panowania polskiego we Lwowie, to wiemy przynajmniej, czego ona chciała od siebie, od swoich członków i od masoneryi wogóle. Obowiązywała ją bowiem ta sama ustawa, co prowincyonalne loże „Cnotliwego Sarmaty“, a ustawa ta wykluczała przedewszystkiem od udziału w wolnomularstwie ludzi, oddanych niskiemu zawodowi, a zresztą wymagała jedynie dobrego charakteru, otwartości, skromności i szlachetności.

„Każdy mason — czytamy tam — powinien być chrześcianinem, jakiegokolwiek wyznania. Wszelki ateusz jest na zawsze wygnany. Ponieważ cnota jest podstawą całej masoneryi, przeto mason powinien uznawać najwyższego budownika świata, który go stworzył i w którym mieszka wszelka mądrość. Każdy rozpustnik, każdy człowiek zepsuty, skalany jakimkolwiek brzydkim czynem, każdy dewota drobiazgowy, hipokryta, lub bezbożnik będzie usunięty i droga do wszystkich lóż będzie dlań na zawsze zagrodzoną. Toż samo wykluczeni są ludzie obdłużeni i bankruci, a nareszcie wszelki satyryk, gryzący i kalumniator, autor pism nieobyczajnych i czerniących“.

Późniejsze dzieje loży „trzech białych orłów“ dowiodły niejednokrotnie, że bardzo wielu jej członków znalazło się niezwykle daleko od opisanego powyżej ideału dobrego masona. Ale już i u samej kolebki dziecięcia „cnotliwego Sarmaty“ był lot „białych orłów“ obwisły do cna

i pełen rozpacznej bezsiły. Miasto orlich skrzydeł łomotał się nad tą ziemią pusty trzask konfederackiej brawury, ponury jęk rzezi humańskiej, gorzały widma pożogi i mordów, a w samym Lwowie, nieludzki, pełen śmiertelnej trwogi ryk hajdamactwa, krwawej zemście poświęconego tłumił wszystkie poloty ducha.

Na tej ziemi już nikt nie budował onego czasu — opuścił ręce cieśla Hiram, sam nawet „wielki budowniczy świata“ odwrócił snać swe oczy od tej smutnej, biednej krainy.

W chwili ostatecznego przesilenia tragedyi dziejowej zabielała nad Lwowem od strony Kulparkowa długa linia wojsk austryackich. Nie było w mieście ani jednego człowieka, któryby przeczuwał co niesie ze sobą ta chmura grenadyerów, huzarów, dragonów, trójkątnych kapeluszy, konopiastych harcopców, świecących „lederwerków“ i odwiniętych kabatów. Ale już chyba najdzikszej fantazyi było potrzeba, ażeby przypuścić, że te szeregi zdrożone, a zbrojne niosą miastu naszemu, od strony Kulparkowa, światoburcze ideje, zaczyn myśli „budowniczej“ i mnogo ważkich, aż nawet zawrotnych tajemnic masońskich.

U żołnierza austryackiego, co prawda, tajemnic tych nie było, bo ten żołnierz, dławiony nieludzką dyscypliną dezerterował masowo w obliczu „zdobytego“ miasta — ale wśród „subalternów“ oficerów masonerya tkwiła już bardzo głęboko.

Bo ci drobni kondotyerowie wydeptali konno, albo pieszo z kijem oficerskim w ręku olbrzymie dzierżawy Habsburgów od skwarnego nieba włoskiego, po przez zasobne miasta niemieckie i tłuste puszcze węgierskie. I unosili zewsząd echa namiętnych canzon, wspomnienia przelotnych miłości, przygód, awantur — a wśród pamiątek miłosnych tułały się także gęsto dyplomy, stopnie, insygnia masońskie, pozbierane z różnych stron świata.

W ten sposób zabłysła na horyzoncie lwowskim pierwszorzędna gwiazda masońska w osobie porucznika wojsk austryackich von Clemensa.

Jan Marcin von Clemens przybył do Lwowa razem z pułkiem piechoty Tillier i z bogatą przeszłością wolnomularską. Jeszcze w Luxenburgu otrzymał stopień szkocki i mnóstwo francuskich stopni wyższych, w czasie chwilowego postoju w Pradze wszedł w stosunki z tamtejszemi łożami, które w hierarchii austryackiej zajmowały przodujące stanowisko. We Lwowie jeszcze dobrze miejsca nie zagrzał, a już przystąpił do organizacyi wszystkich tutejszych żywiołów masońskich, a w dziejach masoneryi lwowskiej odegrał — jak powiada z zachwytem Abafi — rolę epokową. Warto się tedy przypatrzyć bliżej tej interesującej postaci.

Wszystko jednak, co wiemy o tym „epokowcu“ w harcopfie i trójgraniastym kapeluszu, wskazuje, że był to mistyk dość trywialnego pokroju, może nawet nie szarlatan, ale raczej głowa przewrócona „tajemnicami“ masońskiemi i to, aż do granic maniactwa i umysłowego obłędu. Poznał się też na nim od razu taki szczwany lis, jak ex-kapucyn i profesor hermeneutyki na uniwersytecie lwowskim Innocenty Fessler i w ten sposób homeryczny opisał swoją z nim rozmowę na temat najwyższych tajemnic masonii.

„W kilka miesięcy po przyjeździe moim do Lwowa — tak opisuje Fessler to spotkanie — zgłosił się do mnie brat Clemens, który dopiero co wrócił z prowincyi. Po bardzo tajemniczym wstępie o wzniosłej wiedzy wolnomularstwa, którego wysłuchałem z wielką uwagą, zażądał on odemnie hebrajskiej biblii, a odszukawszy 23 rozdział drugiej księgi Mojżeszowej, kazał mi przetłumaczyć wiersz 20“.

Dla zrozumienia rzeczy dodajemy, że odnośne miejsce w biblii brzmi w przekładzie polskim: „Oto ja poszlę anioła mojego, któryby szedł przed tobą, strzegł na drodze i sprowadził cię na miejsce, którem nagotował“.

„Uczyniłem zadość jego żądaniu — opowiada dalej Fessler — i przetłumaczyłem odnośne miejsce z całym nakładem moich filologicznych wiadomości. Clemens jednak nie był wcale zadowolony z tłumaczenia. Tutaj — wołał — jest punkt, w obec którego każda świecka uczoność musi się cofnąć. Czy znajdzie się też jakiś wzniosły umysł,

któryby potrafił rozwiązać siedem pieczęci tego miejsca, zawierającego wszystką wiedzę wolnomularską?“

„Nigdy nie miałem zwyczaju sprzeciwiać się fantastom, albo ich ośmieszać. Chodziło mi raczej o to, aby ich powoli naprowadzić na drogę rozumu, albo też powiększyć zakres moich wiadomości o zboczeniach ludzkiego umysłu. Nie oponowałem tedy zupełnie bratu Clemensowi i zapewniłem go tylko, że jakkolwiek ważnem i w treść bogatem wydawać mu się może wspomniane miejsce biblii, to ja jednak, o ile chodzi o wiedzę wolnomularską — oddaję pierwszeństwo wersetowi: „Do mnie, którzy jesteście dzieci Jehowy“.

„O ile jednak mało przy tem myślałem i jeszcze mniej przez to chciałem powiedzieć, o tyle słowa moje zrobiły piorunujące wrażenie na moim gościu. Po krótkiej pauzie zdumienia, rzucił mi się z uniesieniem na szyję i począł mnie zapewniać, że w wiedzy i świadomości tajemnic wolnomularskich, przewyższam wszystkich masonów lwowskich. Napróżno go zapewniałem, że tak nie jest. Brał to tylko na karb mojej skromności i obsypywał mnie coraz bardziej entuzyastycznemi pochwałami.“

Tyle Fessler. Pozostawiając jednak całą odpowiedzialność za insynuacyę o stanie umysłowym epokowego działacza na polu masoneryi lwowskiej, reformatorowi wolnomularstwa — omówimy działalność Clemensa na gruncie lwowskim.

Jak już wyżej wspomniano przystąpił porucznik Clemens do zorganizowania żywiołów masońskich we Lwowie, przedewszystkiem zaś kolegów swoich oficerów. — Ich to więc przedewszystkiem zebrał razem Clemens, a wystarawszy się o patent od prefektury masońskiej w Pradze, otworzył z nich lożę „pod trzema sztandarami“ *(Zu den drei Standarten).* — Uroczyste otwarcie tej loży, złożonej wyłącznie z oficerów austryackiego garnizonu odbyło się dnia 29. kwietnia 1774, a pierwszą jej czynnością była prośba do prefektury praskiej o zniżenie wkładek pieniężnych, a to ze względu na szczupłą kieszeń oficerską. Dodać przytem należy, że wkładki były istotnie wysokie.

Sama taksa do funduszu szkockiego wynosiła 25 fl., fartuch 1 fl. 30 kr., rękawiczki 1 fl., odznaka masońska 1 fl., wstążka do kapelusza 17 kr., a nadto składka na ubogich, na koszta utrzymania loży itd., przyczem przy przejściu do dalszych stopni masońskich koszta te jeszcze się podnosiły.

Załatwiwszy się w ten sposób z lożą „pod trzema sztandarami“, zwrócił Clemens baczną uwagę na istniejącą już lożę polską „pod trzema białymi orłami“. Od tej też chwili rozpoczął się w niej iście masoński ferment, który Clemens podniecał jeszcze dwulicowem swojem postępowaniem. Co prawda było dosyć powodów do wytworzenia się bardzo mętnych i zawikłanych stosunków i dość było intrygantów, awanturników, indywiduów z pod ciemnej gwiazdy, którzy w tej mętnej wodzie umieli wyławiać złote rybki osobistego interesu i nienasyconych ambicyi. Z jednej strony uroszczenia prefektury praskiej, która na mocy przynależności Lwowa do Austryi zagarnąć chciała i wpływy i, co ważniejsza, wkładki masońskie, z drugiej strony przywiązanie wielkiej części członków do swojej macierzy warszawskiej, stanowisko naczelnej władzy masońskiej, konwentu w Brunświku, który w żaden sposób nie chciał uznać stosunków wytworzonych rozbiorem Polski, ciążenie członków rekrutujących się z biurokracyi austryackiej do Austryi — wszystko to wywołało ogromny chaos, trwający przez lat kilka, a zakończony ostatecznie rozbiciem wszystkich organizacyi masońskich we Lwowie.

Przedewszystkiem jednak kto siedział w „loży trzech białych orłów“ na wszystkich jej stopniach szkockich, kto jej nawą kierował i kto ją rozbijał?

Duszą całego przedsięwzięcia był Jan Fryderyk Preschel, bankier lwowski, utrzymujący rozległe stosunki z domami bankowymi całej Polski, a sam ruchliwy przemysłowiec, założyciel wielkiej fabryki garbarskiej w Busku, której bankructwo wywołało wielkie przesilenie w Galicyi. Obok niego stał dawny nasz znajomy Franciszek Longchamps, dalej kupiec lwowski Szymon Rodier, a wreszcie cały szereg pierwszorzędnych nazwisk szlacheckich: ks. Poniński

z Żywca, br. Lesseur, pułkownik wojsk polskich, Stanisław Potocki z Tulczyna, ks. Węgierski proboszcz z Buczacza, podskarbi koronny Poniński, kanonik ks. Sierakowski z Krakowa, Antoni Siedlicki, ks. Hoszowski, Mikołaj Potocki, starosta halicki (ur. w r. 1758), Mossakowski z Tulczyna, ks. Franciszek Lubomirski z Rozwadowa, szambelanowie Adam Moszczeński i Kamieniecki, Eljasz Konarski, Piotr Chrzanowski z Uhrynkowiec, Antoni Ostroróg, Michał Błażowski, ks. Kalikst Poniński, Jerzy Lubomirski, Michał Czacki, Józef Stadnicki, Wojciech Mier, Michał Dydyński. Rafał Chołoniewski, kapitan wojsk polskich Andrzej Pietrzykowski, adjutant Józef Moszczeński, szlachcic Bogatko, Aleksander Witkowski i w. i.

Bezpośrednio po zaborze Galicyi zaroiła się loża przedstawicielami austryackiego świata urzędniczego i biurokratycznego. Wymieniamy tylko najważniejszych z tej kategoryi członków loży „trzech białych orłów“: hr. Zygmunt Gallenberg, podkomorzy i radca gubern. hr. Fr. Guicciardi, radca W. v. Guinigi, hr. Rud. Strassoldo, radca gubern. v. Beeckhen, dr. Józef Bitelmy, Kreishauptman v. Piller ze Sambora, inżynier d'Eckholm, inż. Pierre Denis Guibaut, hr. Zygm. Auersperg, chirurg Jan Catterini, praktykant konceptowy hr. Trauttmannsdorff, radca apelacyjny hr. O'Donnel, dalej kupcy lwowscy Jan Tomasz Frey, Fryd. Mellhorn, Mikołaj Pradell, Hieronim Luft, Józef Briggenti, a pozatem cały szereg niższych urzędników najrozmaitszych dykasteryi, o nazwiskach tak mało mówiących, że lepiej je zostawić w spokoju.

W każdym jednak razie ten obcy, napływowy, a butny przytem żywioł pochwycił niebawem w swoje ręce ster rządów loży „pod trzema orłami“. Już w r. 1777 wielkim mistrzem był hr. Gallenberg, naczelnikami Preschel i Guicciardi, zastępcami Guinigi i Strassoldo, sekretarzem protokolista Trybunału Franciszek Fitzek, mistrzami ceremonii i mowcami abbé Baudin i sekretarz gubernialny Karol Schmeltz, skarbnikiem kupiec Frey.

Jak widać z powyższego zestawienia, było to towarzystwo bardzo różnorodne i niezharmonizowane, w miarę

zaś napływu urzędniczego o coraz wybitniejszem zabarwieniu czarno-żółtem. Widomym zaś znakiem tego była forma pieczęci, używanej przez lożę. Pierwotnie bowiem używała loża pieczęci, na której wyobrażone były trzy orły w błękitnem polu i w obramieniu liści dębowych, w czasach zaś późniejszych znalazł się na tejże pieczęci dwugłowy orzeł austryacki i coś w rodzaju dwu kijów na krzyż złożonych.

Jako filialna loża Wielkiej Loży polskiej, należała loża „trzech białych orłów“ do lóż polskich, których naczelnikiem i głową w chwili pierwszego rozbioru był hr. Fryd. Brühl, zięć „królika Rusi“ Salezego Potockiego. Mimo słupów kordonowych uważał Brühl lożę „trzech orłów“ za należącą w dalszym ciągu do jego juryzdykcyi masońskiej, a dowiedziawszy się, że tak znakomity mason, jak von Clemens bawi we Lwowie, poprosił go, aby jego imieniem odbył wizytacyę loży lwowskiej i o jej stanie złożył sprawozdanie do Warszawy.

Położenie Clemensa stało się dość kłopotliwe. Jako oficer armii zaborczej musiał uznawać przynależność zabranego kraju do Austryi, jako mistrz loży „pod trzema sztandarami“, patentowanej przez prefekturę praską, nie mógł nie uznać jej kompetencyi i prawa do innych lóż lwowskich, jako wolnomularz wreszcie przejęty był zapewne sporym entuzyazmem dla tak wielkiej figury masońskiej jak Brühl.

Z kłopotu próbował go wybawić w sposób równie dowcipny, jak nieuczciwy, prefekt naczelny praski hr. Kinigl. Poradził mu mianowicie, ażeby zwizytował lożę „trzech białych orłów“, ale prefekturze warszawskiej przedstawił stan jej w bardzo ponurych i opłakanych barwach, w nadziei, że Warszawa machnie po prostu ręką na Lwów, zostawi go własnemu losowi, a wtedy nic nie będzie stało na przeszkodzie rządom praskim.

Von Clemens nie postąpił jednak w myśl tej salomonowej rady. Wykazawszy się pełnomocnictwem Brühla zwiedził lożę „trzech białych orłów“, znalazł ją, tak pod względem liczby członków, jak i prac przedsięwziętych w kwitnącym stanie, a korzystając z chwilowego pobytu

Brühla w Krystynopolu, pojechał do niego i złożył mu ustne sprawozdanie. Wynikiem tego sprawozdania była umowa, że kwestya przynależności loży lwowskiej pozostawioną zostanie do rozstrzygnięcia konwentowi masońskiemu w Brunświku. Tymczasowo zaś loża zostanie pod zarządem prefektury praskiej, ale w ten sposób, że wszystkie wkładki członków loży „trzech białych orłów“ prowadzone będą osobno i osobno przechowywane.

Konferencya ta odbyła się 21. maja 1766, ale tymczasem konwent w Brunświku, najwyższa władza masoneryi jeszcze w r. 1775 nie uznał faktu rozbioru Polski i w obec projektu podziału masoneryi, stosownie do zmian terytoryalnych, wywołanych rozbiorem, zajął odporne stanowisko. Gdy zaś Clemens wbrew powyższej umowie z Brühlem i ulegając życzeniom niemieckich członków loży „pod trzema orłami“, chciał drogą faktu związać ją z prefekturą w Pradze, podnieśli znowu przeciwko temu protest polscy członkowie, nie pozwalając wysyłać wkładek, które tymczasem urosły do poważnej sumy 2.000 fl. i 700 fl. funduszu ubogich.

Daremne były zabiegi prefektury praskiej, daremne instancye do prefektury warszawskiej i przewlekła korespondencya z Brühlem w sprawie dobrowolnego ustąpienia Lwowa. Dyrektoryum w Brunświku okazało się nieubłagane, tak, że prefektura praska zamiast upragnionych pieniędzy lwowskich wyszła z całej sprawy olbrzymio skompromitowana. W r. 1778 dało jej miancwicie dyrektoryum niedwuznacznie do zrozumienia, że kompetencya Pragi rozciąga się tylko na kraje czeskie i po za granice Czech wyjść nie może. Austryacka zaś okupacja Galicji, jako części dawnej Polski, nie może mieć zastosowania w ustawach masońskich, tak, że ta prowincya i nadal pozostaje pod zwierzchnictwem prefektury warszawskiej.

Zasadnicze to stanowisko konwentu przewróciło do góry nogami całą działalność Clemensa i zburzyło wszystkie jego nadzieje i ambicye. Dążył on mianowicie do tego, ażeby zostać wielkim komturem wszystkich lóż galicyjskich, które zaczęły wyrastać na prowincyi, jak grzyby po deszczu. Dnia 24. czerwca 1775 otwarto w Zaleszczykach lożę „pod





PIECZĘĆ LOŻY „TRZECH BIAŁYCH ORŁÓW“.

sztuką złota“, której mistrzami byli przez krótki czas jej trwania dyrektor dystryktu br. Fuchs i Jan Lanckoroński z Mielnicy, w lutym 1776 powstała w Samborze „loża pod nadzieją“, której skład stanowili wyłącznie urzędnicy, w r. 1779 wreszcie w Wieliczce loża „Hernan pod czarnym żółwiem“ i nieco później w Tarnowie loża „pod trzema wstęgami“.

Nad nimi wszystkimi, nie wyłączając lwowskich lóż „pod trzema sztandarami“ i „trzech białych orłów“ stanąć miała, jako loża macierzysta, założona w roku 1778 przez Clemensa loża „Józef pod cesarskim orłem“ *(Josef zum kaiserlichen Adler)*, której on sam został wielkim mistrzem. Wszystkie jednak nadzieje pokrzyżowało stanowisko dyrektoryum w Brunświku, a gdy i na miejscu znalazło się dość żywiołów „rozkładczych“, powstał stąd prawdziwy bigos masoński i chaos poprostu nie do wybrnięcia.

Niemieccy członkowie loży „trzech białych orłów“ wysyłali do Pragi poufne memoryały z żądaniem przyłączenia do tamtejszej prefektury, której firmy używali już nawet na wystawianych przez siebie dyplomach, w loży „pod trzema sztandarami“ zaczęło coś mocno cuchnąć nieporządkami finansowymi, na posiedzeniach przychodziło do scysyj i awantur, krążyć nawet zaczęły pamflety i paszkwile na Clemensa. Zrozpaczony tem wszystkiem postanowił on w porozumieniu z praską prefekturą zamknąć lożę „trzech białych orłów“, powiadając: „niech powiewają tylko same trzy sztandary i pędzą ryby z Wisły do Mołdawy, bo w Wiśle i tak jest zadużo rybaków“. Polscy jednak członkowie oparli się zamknięciu. Do tego wszystkiego znalazło się jeszcze paru awanturników z pod ciemnej gwiazdy, tak, że niebawem Wschód lwowski przedstawiał obraz zupełnego zaćmienia.

Do tych awanturników należał w pierwszym rzędzie *Chevalier* d'Arnaud. Francuz gładki, wymowny, pełen elegancyi i galanteryi potrafił się wcisnąć do potężnej familii Potockich, u której zażywał wielkiego miru i poważania. Nie pytano go o przeszłość, ale darzono go wprost lekkomyślnem zaufaniem, z którego ten rycerz przemysłu wszechstronnie korzystał. Doszło do tego, że zaślubił potajemnie

którąś Potocką, a w loży „trzech białych orłów“ postępował z największą bezceremonialnością. Między innymi napadł na Clemensa zarzucając mu cały szereg niehonorowych postępków, co wywołało długą i rozwlekłą pisaninę w Pradze, śledztwa, wyjaśnienia i t. p. komerażе. Ostatecznie gdy ślub jego z Potocką wyszedł na jaw, poczęła familia badać jego przeszłość, celem przekonania się, czy jest on istotnie *Chevalier d'honeur*. Badanie przyniosło zgoła nieoczekiwany rezultat. Pokazało się, że nie jest to żaden d'Arnaud, ale pospolity Coffre, syn poczciwego paryskiego tapicera. Dla uniknięcia więc skandalu dała mu familia Potockich 130 dukatów rocznej pensyi pod warunkiem jednakże, że się z kraju raz na zawsze wyniesie.

Innego pokroju człowiekiem był Abbé Baudin, mnich francuski, który wypłynął we Lwowie w r. 1776. Księżyna wyszczekany i kuty na wszystkie cztery nogi, uznał Lwów za najodpowiedniejszy teren do swoich operacyi. Źródła masońskie nazywają go „wielkim mowcą“, w istocie jednak był to wielki blagier, samochwalca, łatwy w towarzyskiem obejściu zwłaszcza z młodzieżą, której imponował swoją wolnomyślnością.

W tym dziwnym czasie, gdzie każdy gonił za jakąś tajemniczą a nieznaną prawdą, wystarczyło powiedzieć, że się jest właścicielem tajemniczej wiedzy, ażeby uzyskać odrazu szerokie koło zwolenników, idących z baranią tępością na lep pierwszego lepszego oszusta. Abbé Baudin nie omieszkał oczywiście głosić każdemu na ucho, że jest wtajemniczony w najwyższe tajemnice wolnomularstwa, a wobec tego powodzenie jego na bruku lwowskim było zapewnione. — Do tego wszystkiego zwąchał się z *chevalier* d'Arnaudem i do spółki z nim zaczął formować lożę pokątną, rozdawać, naturalnie za opłatą, rozmaite stopnie wolnomularskie. Doszło do tego, że nawet w kawiarni — jak się skarżą prawowici masonowie — rozdzielał naiwnym wysokie stopnie masońskie i wystawiał im patenty.

Dla obu lwowskich lóż były pokątne knowania chytrego a niespokojnego mnicha, bardzo przykre i tem boleśniejsze, że Baudin miał duże zachowanie zwłaszcza

w kołach polskiej młodzieży. Wystąpić przeciwko niemu publicznie i napiętnować nie było można, w obawie jeszcze większego skandalu. Smutny jednakowoż koniec przyjaciela jego d'Arnauda i pojawienie się jeszcze większego awanturnika w osobie Józefa Beduzziego położyło kres działalności Baudina. Dał się przebłagać, wstąpił napowrót do loży „trzech białych orłów", a udzielone mu tam jakieś dygnitarstwo zamknęło mu niespokojne usta do reszty.

Wspomniany Józef Beduzzi wysadził z siodła Baudina tylko dlatego, że był jeszcze większym „mowcą" od niego i przystąpił odrazu z nowym rokiem 1778 do założenia we Lwowie „teoretyczno-salomońskiej" loży „pod trzema białemi różami". Zadaleko by zaprowadziło teoretyczne rozważanie salomońskich zasad tej loży. Dość, że miała ona przygotowywać do wyższych stopni masońskich, przyczem Beduzzi dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że nawet poza tymi najwyższymi stopniami, posiada on daleko ważniejsze i subtelniejsze tajemnice. Naturalnie, że ci wszyscy, którzy zapłacili odpowiednie taksy i nasłuchali się bredni Beduzziego, poczęli wreszcie napierać na niego, ażeby im zdradził te subtelne tajemnice. Skutkiem tego Beduzzi znalazł się w srogiej opresyi, z której, jak zobaczymy później, wywinął się w spoób dowcipny i ze skutkiem niespodziewanym.

Wśród ostatecznego już chaosu i zamieszania, kiedy zdawało się, że i największy budowniczy nic Wschodowi lwowskiemu nie pomoże, wypłynął jeszcze jeden mnich „Abbé de Lilli", jako bohater skandalicznej afery — jak zapewniał Clemens praską prefekturę. Jaka to była afera niewiadomo, domyślać się tylko można, że chodziło o denuncyacyę loży „trzech białych orłów" o przeciwne Austryi knowania. Wskutek tej denuncyacyi nakazała cesarzowa Marya Teresa gubernium lwowskiemu, ażeby zwróciło uwagę baczną na działalność loży „trzech białych orłów".

Cesarskie to rozporządzenie miało piorunujący skutek. Cała urzędnikierya zaczęła w popłochu uciekać z loży. Gdy zaś na krótko przed tem przeniesienie garnizonu lwowskiego zadało śmiertelny cios także i loży „pod trzema

sztandarami", gdy wreszcie na jednem z posiedzeń dwu członków rzuciło się na siebie ze szpadami, a w ogólnym rozgardyaszu kasyer „trzech orłów" nie mógł jakoś znaleść nigdy czasu ani sposobności do złożenia rachunków, cała, z takim trudem przez Clemensa utworzona, organizacya masońska rozwiała się w mgłę i dym, zostawiając jeno niemiły fetor i zawiązki do dalszej akcyi.

Jeżeli już mowa o fetorze, to wspomnieć potrzeba koniecznie także i o Rudolfie hr. Strassoldo. Był on, jak już wyżej wspomnieliśmy, zastępcą mistrza loży „trzech białych orłów", a pozatem starostą cyrkularnym lwowskim. Sfery wiedeńskie miały w miłej pamięci manifestacyę lojalności, którą Strassoldo zaaranżował między żydami w Brodach, skutkiem czego młody i przystojny hrabia mógł się z całą słusznością uważać za benjaminka rządowego.

I ten to benjaminek zakończył karyerę swoją urzędową i masońską takim niebotycznym skandalem, że poczciwy Lwów zarówno masoński, jak dewocyjny, urzędowy jak i prywatny, duchowny i świecki, przez długi czas nie mógł po prostu przyjść do siebie.

Hr. Strassoldo mianowicie miał podwójne szczęście: do kobiet i do łatwego zaciągania długów. Żadne serce niewieście nie mogło mu się oprzeć, każdy lichwiarz uważał się za szczęśliwego, gdy mógł zostać wierzycielem hrabiego. Oba te dary fortuny już w Tryeście wywołały dość trudne komplikacye w życiu hr. Rudolfa, we Lwowie zaś stały się przyczyną jego zguby. Mimo bowiem poważnego ożenku z hr. Szirmay, mimo wysokiego stanowiska urzędowego i w hierarchii masońskiej, zdołał hr. Strassoldo nawiązać we Lwowie skandaliczny stosunek miłosny, stać się klientem wszystkich chałaciarzy pożyczających pieniądze, a nareszcie zrobił „manco kasowe" w funduszach kasowych na 6.615 złr.

Według starego prawa austryackiego urzędnik dopuszczający się defraudacyi karany był śmiercią. Nie czekając tej ostateczności, pozostawił Strassoldo żonę, urząd, insygnia masońskie i drapnął ze Lwowa razem z damą

swego serca. Przyjaciel jego, słynny awanturnik Cassanova, powiada w pamiętnikach swoich, że żył on na Wołoszczyźnie, a potem w Konstantynopolu, gdzie przyjął mahometanizm.

Tymczasem Lwów cały wrzał od sensacyi. W „osieroconej“ loży przestano zupełnie „murować“, gawiedź uczestniczyła w wielkiej publicznej licytacyi ruchomości i urządzenia domowego hrabiego, sfery zaś prawnicze miały ogromny kłopot z ukaraniem defraudanta *in effigie.*

Mimo bowiem ucieczki hr. Strassolda, wydał na niego lwowski trybunał wyrok śmierci, który miał być wykonany symbolicznie. Kazano przeto wymalować portret delikwenta, oprawiono go w ozdobne ramy, poczem kat miał go zawiesić na szubienicy. Przeciwko powieszeniu jednak wniosła rekurs żona hrabiego, twierdząc, że mąż jej, jako szlachcic może być tylko mieczem ścięty. Trybunał przyznał słuszność temu zapatrywaniu, ale kat oświadczył, że nie potrafi ściąć głowy portretowi. Wobec tego skazano portret na spalenie, co znowu wywołało remonstracye ze strony rodziny, jako niesłuszne zaostrzenie kary, gdyż palono zbrodniarzy na stosie tylko za herezyę i fałszowanie monety. Subtelności te prawne rozstrzygnął dopiero cesarz Józef II, każąc portret przybić do szubienicy, a wyrok w czteru językach ogłosić przez gazety i plakaty [20]).

Taki był los jednego z najwyższych dygnitarzy loży „trzech białych orłów“.

W takich warunkach von Clemens, który w międzyczasie posunięty został do stopnia kapitana, a potem złożył mundur wojskowy, cofnął się w zacisze życia prywatnego, marząc jednak ciągle o najwyższych tajemnicach masońskich.

Z sielankowych wreszcie dziejów loży „trzech białych orłów“ wspomnieć jeszcze należy, że lokal jej i siedziba znajdowała się naprzeciw głównego wchodu do ratusza, co nawet dało powód malkontentom do utyskiwania, że loża postępuje niedość ostrożnie, narażając się na argusowe spojrzenia panów ratuszowych. Bo pomimo całej

żywości ruchu masońskiego, nie cieszył się on we Lwowie zbyt wielką popularnością, a nawet walczyć musiał „z pewnemi uprzedzeniami“ do tego stopnia, że wspólny bankiet obydwu lóż lwowskich odbyć się musiał w r. 1775 w jakiejś bliżej nieoznaczonej miejscowości o półtorej mili od miasta.

W czasach późniejszych czuli się widocznie masoni bardziej pewnymi, bo uroczystość św. Jana w r. 1777, obchodzono bardzo wystawnie, wprawdzie także za miastem, ale już nie tak daleko, bo w tak zwanym ogrodzie Preszlowskim. Jedna ze sal budynku tam się znajdującego udekorowaną była „zupełnie na sposób pustyni św. Jana“. Dla tem większej zaś parady sprowadzono aż z Pragi ośm par widocznie specyalnie masońskich lichtarzy, słupy, obrazy i zasłonę.

Uroczystemu zebraniu prezydował sam Clemens, obecnych było 64 braci, a koszta całej zabawy poniosły obydwie loże po połowie.

W takich chwilach uroczystych jedyny cień na masoneryę padał tylko od strony pastorału arcybiskupa Sierakowskiego. Nie mając już za rządów austryackich dość władzy, nie mógł wystąpić przeciwko masonom agresywnie, ale za to odmawiał im stale nabożeństwa w dniu św. Jana. A był na tyle przebiegłym, że zakazał duchowieństwu odprawiać w dniu tym nabożeństwo na czyjekolwiek, choćby pozornie obojętne zamówienie.

III.

SEMIFORAST.

Mimo rozbicia lóż lwowskich, wolnomularstwo nietylko, że nie upadło, ale zdumiewająco szerokim strumieniem rozlało się po całym kraju. Każdy kto chciał, czy nie chciał mógł się nasłuchać tajemnic masońskich do sytości i dążyć do udoskonalenia siebie i rodzaju ludzkiego za cenę coraz to umiarkowańszą. W miarę bowiem licznej

podaży spadały też ceny patentów masońskich do kilku guldenów. Autor „Trzydziestu listów o Galicyi“ powiada: „W tym błogosławionym kraju w żadnym hotelu ani kawiarni nie można się opędzić od werbowników masońskich, którzy o znakomitości lóż swoich opowiadają cuda i za kilka guldenów ofiarują wstęp do nich. Z drugiej strony niektórzy starostowie starają się wszelkimi sposobami przeciągnąć na stronę masoneryi podwładny sobie personal urzędniczy. Przyjmuje się więc szlachtę, oficerów werbunkowych, urzędników cyrkułowych, felczerów, aptekarzy, perukarzy, krótko mówiąc ludzi każdego rodzaju, którzy tylko mają parę guldenów do stracenia“.

Masonerya lwowska doznała szczególnie walnego poparcia skutkiem założenia we Lwowie przez cesarza Józefa II. uniwersytetu. Zebrane z różnych stron świata i z najrozmaitszych żywiołów złożone grono profesorskie sprzyjało jak najbardziej celom masońskim i „sztukę wolnego murowania“ prowadziło w najrozmaitszym, nieraz bardzo egzotycznym i awanturniczym zakresie. Było bowiem wśród profesorów uniwersytetu józefińskiego tyle postaci interesujących, ile ich nie wiózł „nigdy żaden okręt poszukiwaczy złota“ — jak powiada tegoż uniwersytetu historyk.

Wśród tych postaci znalazł się także filar wolnomularstwa światowego, późniejszy reformator masoneryi „unosząca się z ciemności — jak powiada Abafi — postać gigantyczna, świecąca zdaleka, jak słup ognia przed ludem izraelskim“ — czyli jednem słowem Innocenty Fessler.

Życiorys tego człowieka brzmi jak romans nieprawdopodobnie fantastyczny, pełen niezwykłych przygód, awanturniczych kolei losu, dramatycznych scen i wszelakich nadzwyczajności. Syn wachmistrza w małem węgierskiem miasteczku, kolejno mnich zakonu Kapucynów, sensacyjny odkrywca tajemnic lochów więziennych kapucyńskich, doktór św. teologii, profesor hermeneutyki Starego Testamentu na uniwersytecie lwowskim, autor dramatów, romansów, prac historycznych, nauczyciel prywatny, organizator lóż masońskich, profesor Akademii w Peters-

burgu i szkoły w Saratowie, a nareszcie superintendent wyznań ewangelickich w Rosyi, był Fessler naturą dziwnie awanturniczą i niespokojną, umysłem skomplikowanym, człowiekiem, który mógł wyróść tylko na tle niezwykłej epoki, w której mu żyć przyszło i działać.

Pobyt swój we Lwowie i na katedrze uniwersyteckiej, od 9. marca 1784 r. do r. 1788 mógł Fessler uważać za drobny tylko i nic nieznaczący epizod, zakończony ponadto jeszcze skandaliczną ucieczką przed wierzycielami pieniężnymi. Mimo to jednak potrafił on zaczynić tu duży ferment w wielu kierunkach, a specyalnie wobec masoneryi lwowskiej odegrać rolę *enfant terrible*. Bystry bowiem jego i krytyczny umysł dojrzał zaraz na pierwszy rzut oka całą nicość wolnomularskich dociekań w lożach tutejszych i nie ukrywał tego wcale, wywołując naturalne oburzenie i kwasy w świecie masońskim. Doszło wreszcie do tego, że przemówień jego nie chciano notować w protokołach, ani przechowywać w archiwum.

Niezrażając się wcale tym bojkotem, rozpoczął Fessler z jednej strony reformatorską działalność, a z drugiej szczegółowe studya tajemnic masońskich. I tu właśnie okazała się dziwna, dzisiaj prawie że niezrozumiała budowa jego umysłu. Człowiek trzeźwy, widzący rzecz jasno i dokładnie, operujący nieubłaganą logiką faktów, dał się — jak zobaczymy — wziąć na lep drugiemu awanturnikowi i z nim razem tłukł głową o ścianę wtajemniczając się we wszystkie stopnie masoneryi szwedzkiej!

Rozpatrzywszy się w masońskich stosunkach we Lwowie i w Wiedniu, wystąpił Fessler na jednem z zebrań wolnomularzy lwowskich z odczytem na temat czem są loże masońskie i czem być powinny („Die Freymaurerlogen was sie sind und was sie seyn sollen“), który przedrukował potem w zbiorowem wydaniu swoich pism masońskich.

Nic bardziej ciekawego i charakterystycznego, jak zawarta w tym odczycie opinia wierzącego masona, o lożach lwowskich. Z wielkiem ubolewaniem załamuje on ręce nad egoizmem i nizkiemi namiętnościami, krzewią-

cemi się w lożach, piętnuje publicznie napaści na szanownych ludzi i intrygi przeciw nim. Loże, jego zdaniem, to wielkie i w wiecznej niezgodzie żyjące rodziny, gdzie każdy członek ma jakiś osobisty interes na oku, a wszyscy razem nie mają ze sobą nic wspólnego.

Nowy adept wstępuje do loży po to tylko, aby się prędko dowiedzieć, co tam tkwi wewnątrz, albo też dla towarzystwa, dla zabicia nudów, lub wreszcie do nawiązania stosunków i znajomości. Z drugiej strony znowu loże przyjmują ludzi bez żadnego wyboru, tylko dla ich wkładek lub towarzyskich przymiotów.

Obcy wchodzi do loży z wielkiemi nadziejami i podniecóną fantazyą. Tymczasem usłyszy tu kilka moralnych sentencyi, dawno sobie znanych, nauczy się kilku hebrajskich wyrazów. Do tego pokażą mu mistrzowie kilka obrazków, co do których znaczenia systemy wolnomularskie nie są w zgodzie i każą mu czekać aż się wszystko wyjaśni.

Po pewnym czasie przechodzi adept na drugi stopień, czeladnika. Gdzie są czeladnicy myśli sobie, tam muszą być i mistrzowie, ale gdy sam nareszcie zostanie mistrzem, srogiego doznaje rozczarowania. Pokazują mu tam alegorye i jego samego traktują jako alegoryę. Nosi szumny tytuł mistrza w królewskiej sztuce i po za banialnemi deklamacyami o moralności, wcale nie wie na czem ta sztuka królewska polega.

Wtedy zaczynają się w duszy jego budzić wątpliwości i pytania, co to jest wolnomularstwo, jaka jego istota, kiedy powstało, jaki jego cel właściwy, po co różne systemy i różne hieroglify i w którym systemie tkwi ostatecznie prawda. Nie znajdując zaś odpowiedzi na te kwestye, dochodzi taki mason do przekonania, że wolnomularstwo to nic innego, jak tylko zabawka bez treści, że to cech oszustów i oszukiwanych, albo też wreszcie, że cała prawda i tajemnica masońska kryje się w najwyższych dla niego niedostępnych stopniach.

Dla uniknięcia tego rodzaju stosunków proponował Fessler przedewszystkiem napędzenie na cztery wiatry

tych, którzy o wolnomularstwie opowiadają smalone duby, oparcie całej budowy na wolności, równości i wspólnym interesie, a przedewszystkiem reformę ustaw masońskich, pełnych podówczas horendalnych nieporozumień i sprzeczności, wynikłych z mylnego pojmowania wolnomularstwa. O najważniejszej kwestyi, w jaki sposób należałoby zaspokoić ciekawość co do tajemnic masońskich, nie wspomina Fessler ani jednem słowem.

Mimo trafnej, zapewne, charakterystyki masoneryi i trzeźwych na ten temat uwag, nie zdołał się Fessler wyzwolić z żądzy posiadania tych najwyższych tajemnic i w tym celu, jak już wyżej wspomnieliśmy, wszedł w komitywę z człowiekiem, który jeżeli nawet nie był oszustem, to przynajmniej maniakiem.

Był to niejaki Korsitzky. Fessler zapewnia mimochodem, że Polska była jego ojczyzną, ale w jakim stopniu nazwisko jego zostało przekręcone i jak powinno właściwie brzmieć po polsku, trudno dociec. W każdym razie jednak był to awanturnik, jakich wiele błąkało się wtedy po Polsce, a przytem jakiegoś dziwnego pokroju mistyk, rzekomy czy prawdziwy znawca tajemnic magii, człowiek samem wejrzeniem swojem głębokie czyniący wrażenie na otoczeniu.

Według jego własnego opowiadania, stwierdzonego po większej części papierami — jak zapewnia Fessler — ukończył on studya uniwersyteckie w Strassburgu, gdzie został przyjęty do loży St. Louis d'Alsaco i podniesiony do najwyższych stopni Clermonckiej kapituły. Następnie objechał Francyę i Anglię, poczem wstąpił w roku 1758 do służby rosyjskiej pod generałem Fermorem.

Po zawarciu pokoju w Hubertsburgu wyruszył z wojkiem rosyjskiem do Polski, swojej ojczyzny, gdzie brał udział w elekcyi króla Stanisława Augusta. W r. 1766 porzucił służbę w wojsku rosyjskiem i w sprawach spadkowych pojechał do Stokholmu, gdzie skutkiem swojego pociągu do marzycielstwa przebył lat kilka. Na gruncie masońskim spotkał się i zapoznał ze znanym doktorem medycyny Ecklefem, który go nietylko przeprowadził

przez najwyższe stopnie systemu szwedzkiego, ale pozwolił mu poczynić odpisy z najważniejszych papierów.

Korsitzky był wtedy jeszcze człowiekiem zamożnym i nie szczędził kosztów, gdy tylko miał nadzieję, że zostanie wprowadzony w tajniki wiedzy tajemnej. Dr. Ecklef zadowolił go w zupełności i napompował go za to na większe sumy pieniężne, których potrzebował do swoich operacyi alchemicznych. Alchemii też, teozofii i magii poświęcił Korsitzky cały swój czas i majątek w Stokholmie. Byłby też nie szczędził dalszych ofiar, gdyby go kosztowny proces nie był powołał w roku 1772 do ojczyzny.

Ostatecznie proces przegrał, stracił cały majątek i w r. 1778 wyjechał do Petersburga w pogoni za szczęściem. Szczęścia jednak nie znalazł, ale tylko dobre przyjęcie i drobne wsparcia u pułkownika Melesino, z którym uprawiał sztukę wolnego murowania, powiększając w ten sposób swoje masońskie archiwum.

W r. 1782 przybył do Lwowa i żył tutaj z 300 rubli, które mu przysyłano z Rosyi — od kogo jednak, nie chciał powiedzieć.

Taki to człowiek zafrapował chytrego ex-kapucyna zaraz na pierwszy rzut oka. „Widać było u niego ślady dawniejszego dobrobytu i obecne ubóstwo. Rysy jego były wyraziste, mina bardziej obserwatorska, aniżeli tajemnicza, z jego oczu wyglądała zarówno powaga jak i marzycielstwo. — Przyjąłem go bez żadnych grymasów konwenansu i serdecznie, tak, że niebawem staliśmy się przyjaciółmi“.

Zaczęły się teraz lekcye masoneryi, których Korsitzky udzielał Fesslerowi bezpłatnie, przyjmując tylko od czasu do czasu drobne od niego podarki.

Trzeba było zaiste sporego zasobu wiedzy z czarnej magii i tym podobnych umiejętności, ażeby zrozumieć, o co chodziło nauczycielowi i uczniowi. Do tego wszystkiego zaciemnił Fessler swoją opowieść taką masą znaków hebrajskich, greckich i szyfr algebraicznych, że stworzył łamigłówkę dla dzisiejszego człowieka chyba nie do rozwiązania. Wobec tego, jedynie dla charakterystyki wie-

dzy masońskiej XVIII. stulecia wymienimy przynajmniej tytuły tych książek, na których się ona opierała.

Zaczęło się od żalów Fesslera, że nie może zrozumieć książki p. t. „*Erreurs et la verité*“, na co mu nauczyciel kazał tak długo rozczytywać ją z czcią, dopóki mu się nie objawi sztuka duchów. Przypadkowo jednak zobaczył w bibliotece swojego ucznia książkę Patriciego „*Magia philosophica*“, zawierającą także pisma Hermesa Trismegistusa. „Tutaj — zawołał nagle — masz prawdziwy klucz do zrozumienia boskiej księgi *Erreurs*“.

Fessler pokiwał głową z powątpiewaniem, ale czekał co będzie dalej.

Właściwa nauka rozpoczęła się od studyowania aktów Clermonckiej kapituły. Nastąpiła potem bardzo zawikłana wędrówka przez „komory mądrości“ i „ołtarze filozofów“ do wyższych stopni masoneryi szwedzkiej, których Korsitzky udzielał Fesslerowi wśród symbolicznego ceremoniału i w bardzo „frapującym“ nastroju.

Wędrówka ta zmęczyła widocznie tak nauczyciela, jak i ucznia, bo nastąpiła kilkutygodniowa pauza. Wysapawszy się, przyszedł Korsitzky znowu z całym plikiem aktów, dokumentów i rysunków, po których przestudyowaniu nastąpić miało „uświadomienie“ takie, jakiego nie może dać żaden system.

Wyobrazić sobie chyba można z jakiem biciem serca wyczekiwał Fessler tego uświadomienia. — Gdy mu jednakże po ośmiu dniach lektury Korsitzky oświadczył uroczystym tonem „jesteś uświadomiony“ — to rozczarowanie ex-kapucyna nie miało granic. „Byłem tak jak żebrak, który przez noc śni o niezmierzonych skarbach, a rano budzi się w ostatecznej nędzy“ — mówi sam z wielkim smutkiem. Pocieszył się jednak tem, że niezwykły jego nauczyciel przecież dostarczył mu dużo materyału do rozległych rozmyślań.

Jakoż istotnie niektóre zdania owego „szwedzkiego masona“ stanowić mogły dla umysłu normalnego bardzo twardy orzech do zgryzienia. Twierdził on mianowicie między innemi, że tylko mała część prawdziwego wolno-

mularstwa kryje się wśród niewielu doświadczonych mistrzów sztuki, większa część natomiast kryje się w ziemi, a część najlepsza w ...ogniu! Znalazła się przytem i recepta na rozczarowanie, bo „noc — powiadał pensyonista na 300 rublach — jest matką światła i długo trzeba błądzić nocami symbolicznego wolnomularstwa, zanim się dojdzie do potrzebnego stopnia wrażliwości na wyższe światło“.

Zanim jednakże Fessler począł chodzić po nocach tego symbolicznego wolnomularstwa, chciał się przynajmniej przekonać, czy jest ono w rzeczywistości masoneryą „szwedzką“. Jedynym zaś we Lwowie człowiekiem, który mógł coś wiedzieć o tem, był baron von Axt, były rezydent pruski w Warszawie, a wówczas na bruku lwowskim „prywatyzujący“. Tedy razu pewnego począł się Fessler na przechadzce zwierzać przed nim ze swoich szwedzkich wiadomości. Axt słuchał z początku obojętnie, potem z coraz większem zainteresowaniem, a nareszcie ze zdumieniem począł go wypytywać, skąd ma te wiadomości, a sam utwierdził się w przekonaniu, że system byłego oficera rosyjskiego jest przecież oryginalnym, niesfałszowanym systemem szwedzkim.

W międzyczasie odbył Fessler podróż do Wiednia, gdzie go w tamtejszych kołach masońskich wyśmiano razem ze szwedzkim systemem. Niezrażony tem jednak zaczął zaraz po powrocie do Lwowa w dalszym ciągu swoje symboliczne nocne wędrówki. Pewnego razu przyszedł do niego Korsitzky z uroczystą miną, a „entuzyazm błyszczał w jego oczach“, gdy niby największą świętość począł wydobywać z futerału rękopis, zatytułowany “*Claviculae Salomonis*“ (Ćwieczki Salomona).

Miał to być wstęp do świętej sztuki duchów, albo do prawdziwego poznania Boga, jego widzialnych i niewidzialnych stworzeń. Wielkie było jednak i bardzo niemiłe zdziwienie właściciela, gdy mu Fessler oznajmił, że rękopis ten pojawił się jeszcze w r. 1686 w druku, a nawet pokazał mu egzemplarz odnośnej książki. Uspokoił się jednak Korsitzky, skonstatowawszy, że druk w porównaniu z rękopisem jest bardzo niekompletny.

Wspomniane „ćwieczki" Salomonowe zawierały siedm najwyższych boskich tajemnic, siedm średnich naturalnych i takichże siedm małych ludzkich tajemnic. Polegały zaś one na sztuce dowolnego przedłużania życia, na rozmowie z duchami, mówiły o tem, ku czemu służą wszystkie widzialne i niewidzialne rzeczy, dążyły do zbadania istoty św. Trójcy, oraz opowiadały o tem, w jaki sposób można stać się panem wszystkich sztuk, jakkolwiek się one nazywają. „Wszystko to — powiada Fessler — godne było największego wysiłku, ale niestety ażeby uzyskać wszystkie powyższe przywileje, trzeba było iść do świata duchów, które „ćwieczki" Salomona wprawdzie szczegółowo opisywały, ale nie mówiły wcale w jaki sposób śmiertelnik może się tam dostać, a co ważniejsza powrócić na ziemię".

„Można sobie wyobrazić — pisze dalej chytry profesor — że nie zdradzałem się wcale z temi wątpliwościami przed moim hierofantem, lecz owszem, słuchałem uważnie zarówno wykładów jego, jak i komentarzy, modliłem się z nim tam, gdzie trzeba się było modlić, wstawiałem się we wszystkie położenia, jak mi kazał i traktowałem rzecz całą zarówno z punktu zboczeń ludzkiego umysłu, jak i ćwiczenia mojej pamięci, zwłaszcza gdy chodziło tu o spamiętanie mnóstwa rodzajów i nazwisk poszczególnych duchów".

„Po trzydziestu sześciu namaszczeniach, wprowadzających do sztuki duchów, przystąpiliśmy do wyjaśnienia Semiforas i Szemhamforas króla Salomona, przyczem znowu mnóstwo szczegółów było do spamiętania. Niekiedy pot mnie oblewał przy tej pracy, ale postanowiłem zbadać wszystko, nawet „źwierciadło Salomona, czyli sferę wszystkiej mądrości", przy pomocy którego przyjaciel mój miał zdziałać wiele rzeczy nadzwyczajnych w Stokholmie i widzieć jak je inni dokazywali."

„Miałem już całkiem dość słuchania, czytania, modlitwy, podziwu i wiary, gdy mi mój nauczyciel oznajmił, że teraz wszystkie moje trudy zostaną wynagrodzone. Równocześnie przyniósł ze sobą bardzo pięknie oprawiony

foliant, zawierający księgi „Arbatel", czyli całkowitą magię starożytnych w dziewięciu częściach, z których każda składała się z czterdziestu dziewięciu aforyzmów. Przerobiliśmy wszystkie te części na dwudziestu siedmiu posiedzeniach, a Korsitzky zaopatrywał tekst we własne komentarze niekiedy bardzo interesujące".

„Pierwsza część ksiąg „Arbatel" zawierała wstęp do magii z ogólnymi przepisami całej sztuki, druga część *magia microcosmi* traktowała o tem, co człowiek zdziałać może przy pomocy swojego ducha, geniuszu, czy też anioła stróża danego mu przy urodzeniu. Część trzecia uczyła magii olimpijskiej, to jest czego człowiek może dokazać przy pomocy duchów niebieskich, albo mieszkających na firmamencie. Czwarta część, magia Hezyoda i Homera opowiadała o dobrych duchach, które nie czują nieprzyjaźni do rodzaju ludzkiego. Piąta część zawierała magię rzymską, czyli sybilińską, traktującą o tych duchach, którym podległe są królestwa i księstwa tego świata. Należeli tu także Druidowie ze swoją nauką. Szósta część to magia Pytagorasa, w której zakres wchodziły wyłącznie te duchy, które zajmowały się umiejętnościami, jak matematyką, fizyką, alchemią itd. Część siódma, magia Apoloniusza zdradzała tajemnice duchów nieprzyjaznych rodzajowi ludzkiemu, ósma magia egipska, a dziewiąta wreszcie i ostatnia magia prorocza, która przychodzi tylko przy pomocy słowa bożego".

Na tem skończył się teoretyczny kurs masoneryi udzielony Fesslerowi przez jego tajemniczego przyjaciela, który mu zresztą oddał całe swoje archiwum do dyspozycyi i poczynienia sobie piśmiennych wyciągów. Fessler zabrał wszystkie papiery, ale oddał je właścicielowi nie przepisanemi, czego potem gorzko żałował, bo stracił skutkiem tego bardzo ważny materyał do dziejów wolnomularstwa.

Takie to były czasy i tacy ludzie we Lwowie z końcem XVIII. wieku i taka to była „tajemnicza wiedza masońska".

IV.

POD „PRAWDZIWĄ PRZYJAŹNIĄ“.

Ze szczytów czarnej magii czas zejść nareszcie między hałaśliwą gromadkę lwowskich masonów, która, jak to w poprzednich rozdziałach widzieliśmy „murowała“ tak chaotycznie szpadą, niedoborem kasowym, złośliwym językiem, intrygą, szalbierstwem, że wszystko to razem przypominało potroszę budowę... wieży Babel. Mimo to, po rozprószeniu się na cztery wiatry oficerskiej loży „pod trzema sztandarami“ i rozbiciu „loży trzech białych orłów“, balansującej między prefekturą w Pradze a Wielkim Wschodem warszawskim, oczyściła się nieco atmosfera masońska we Lwowie.

Przedewszystkiem nastąpił stanowczy rozdział między masonami polskimi i niemieckimi. Wszystkie bowiem żywioły niemieckie i urzędnicze, tak trudno mieszczące się pod wspólnym dachem „loży trzech białych orłów“ wydzieliły się teraz i zgrupowały, razem z niedobitkami z „pod trzech sztandarów“, dokoła loży ściśle niemieckiej, podczas gdy arystokracya polska i wogóle żywioły polskie zorganizowały się w r. 1782 w nową lożę „Pod prawdziwą przyjaźnią“.

O ile brać niemiecka oddała się pod rozkazy prefektury praskiej, o tyle właśnie loża „Pod prawdziwą przyjaźnią“ uzyskała w roku 1785 zatwierdzenie ze strony Wielkiego Wschodu w Warszawie i utrzymywała żywe stosunki z ludźmi po za kordonem. Ta też okoliczność jest przyczyną, że o wewnętrznych stosunkach loży „Pod Prawdziwą przyjaźnią“ stosunkowo bardzo mało posiadamy wiadomości, a tak samo o jej celach i działaniu. Niemcy bowiem lwowscy, razem z Fesslerem, notujący skrzętnie wydarzenia masońskie, lożą polską niewiele się interesowali, a historyczne materyały do dziejów masoneryi polskiej bardzo są dotychczas niekompletne i mało znane.

A l'Orient de Leopol

D'un Lieu tres [illegible]t, tres couvert, tres eclairé, ou regne[illegible]le silence, l'union et la paix.

A toutes les Loges regulierement unies salut[illegible] salut, salut.

DYPLOM LOŻY „TRZECH BIAŁYCH ORŁÓW“

A wielka szkoda, bo działalność tej loży rzucićby mogła wiele światła na stan umysłowy, na dążenia i zamiary szlachty galicyjskiej, świeżo od pnia macierzystego oderwanej, na jej poczucie wspólności z Rzeczpospolitą i na stosunek do poczynającego się właśnie wielkiego dzieła reformy. Bo chociaż polityka oficyalnie wykluczoną była z „prac" masońskich, to jak z jednej strony trudno sobie wyobrazić szlachcica nie politykującego, tak ze strony drugiej nadchodziły czasy zanadto ożywione, ażeby wobec nich biernym mógł pozostać choćby nawet najtwardszy mason.

W każdym jednak razie obowiązywały lożę „Pod Prawdziwą przyjaźnią" statuty Wielkiego Wschodu warszawskiego, a statuty te mówiły między innymi: „Bractwo masonów ma na celu połączyć wszystkich ludzi węzłami ludzkości i pokoju. Każdy kto wierzy w Boga, bez względu na to jak go nazywa i jaką mu cześć oddaje, może dostąpić tego szczęścia, że będzie w misterya masońskie wtajemniczony".

„Celem masoneryi jest udoskonalić człowieka w dwojakim kierunku: naprzód w kierunku społecznym, ćwicząc go w cnotach obywatelskich i naginając jego wolę pod jarzmo dobrych obyczajów, roztropności i karności, powtóre w kierunku moralnym przez rozwijanie jego władz umysłowych i uczucia".

„Prawdziwy mason wprowadza w stosunki towarzyskie nawyknięcie do posłuszeństwa, miłość porządku i pokoju, zdolność zachowania miary w rozmowach i czynnościach, przez to, iż się w nich stosuje do szczęścia tych, na których one mogą wpływać".

O ile i w jakim stopniu te szczytne zasady stosowane były w życiu praktycznem przez członków loży „Pod Prawdziwą przyjaźnią" — niewiadomo. Wiemy tylko, że loża ta rozdzielała wyższe stopnie według rytuału francuskiego, jak *Elu de neuf et de quinze*, które były bardzo wysoko cenione nawet w kołach masonów niemieckich, oraz, że utrzymywała dobre stosunki z lożą niemiecką.

Wielkim mistrzem loży „Pod Prawdziwą przyjaźnią“ był sekretarz hr. Michała Wielhorskiego, Gruet, sekretarzem zaś znany księgarz lwowski Karol Bogusław Pfaff.

Miała jednak loża „Pod Prawdziwą przyjaźnią“ jedno wielkie zmartwienie i to jakby na ironię, pochodzące właśnie z uczucia... przyjaźni! Uczucie to manifestował w bardzo wysokim stopniu jeden z głównych członków i protektor loży, wspomniany poprzednio Michał hr. Wielhorski, a przedmiotem jego była jakaś „francuska poetka“, zamieszkała we Lwowie. Wyrosła stąd zupełnie niespodziewanie całkowita kwestya kobieca na gruncie masońskim, razem z obszerną dyskusyą, doszło wreszcie do tego, że nie było już we Lwowie masona, któryby nie zajął stanowiska w sprawie dopuszczenia kobiet do tajemnic masońskich.

Chodziło mianowicie o utworzenie we Lwowie, na wzór francuskiej loży *De la Candeur* loży adopcyjnej, do której wstęp miałyby kobiety oddające się dziełom dobroczynności i miłosierdzia, pod kierunkiem naturalnie masonów męskiego rodzaju. Myśl ta wywołała prawdziwą burzę między zwolennikami i przeciwnikami masońskiego równouprawnienia kobiet. Przeciwnicy dowodzili, że loże kobiece są tylko wynikiem ducha galanteryi francuskiej, a równouprawnienie kobiet jest w gruncie rzeczy niczem innem, jak tylko grzecznym komplementem. Komplement ten jednak wobec niskiego stopnia oświaty kobiet i ze względu na miejscowe stosunki lwowskie, skończyć się może znacznie gorzej, aniżeli każdy inny komplement.

Ostatecznie olbrzymia większość masońska przystąpiła do założenia loży adopcyjnej „Pod dobroczynnością“. Otwarcie jej odbyło się w sposób bardzo uroczysty i w obecności bardzo wielu braci masońskich wyższego i niższego stopnia, pierwszą zaś wolnomularką przyjętą do loży była niejaka panna P., córa właśnie wspomnianej wyżej „poetki francuskiej“ i przyjaciółki hr. Wielhorskiego.

Tymczasem ten ostatni, podniecony widać nastrojem feministycznym, wpadł na inny, wprost kapitalny pomysł. Oto zażądał od kierownictwa loży „Pod Prawdziwą przy-

jaźnią“, ażeby w uznaniu zasług „francuskiej poetki“ i wobec tego, że jest ona pod względem masońskim zupełnie uświadomiona i we wszystko wtajemniczona, przyjęto ją wprost do loży jako zwykłego członka.

Wybryk ten „zaprzyjaźnionego“ hrabiego przestraszył nawet najzagorzalszych zwolenników masońskiej emancypacyi. Co innego bowiem było stworzenie osobnej loży dla kobiet, a co innego przypuszczenie ich do lóż męskich, czyli zupełne równouprawnienie.

Sytuacya komplikowała się tembardziej, że jak wspomnieliśmy, wielkim mistrzem „Prawdziwej przyjaźni“ był sekretarz hrabiego, Gruet, figura zupełnie od niego zależna. Przywołano więc na pomoc braci z loży niemieckiej, wybrano wspólną komisyę, która po długich obradach i perswazyach zdołała hrabiego przekonać o niestosowności jego żądania, skutkiem czego pani P. zadowolić się musiała miejscem w loży kobiecej, której działalność zresztą nie wykroczyła po za rok 1788.

W rok później dotknął także srogi cios i lożę „Pod Prawdziwą przyjaźnią“. To czego nie mógł czy nie chciał dokonać konwent masoński w Brunświku, zarządził jednem pociągnięciem pióra cesarz Józef II. zakazując, oczywiście ze względów państwowych i politycznych, lożom galicyjskim wszelkich stosunków z Warszawą. Od tej chwili loża naprawdę została odciętą od pnia macierzystego i skazana na zagładę.

Według jednak historyka masoneryi Abafiego, nie dała loża „Pod Prawdziwą przyjaźnią“ przynajmniej na razie za wygranę. Wystąpiła wprawdzie ze związku lóż polskich i z Wielkiego Wschodu warszawskiego, ale rozwinęła bardzo ożywioną działalność na własną rękę.

O tej działalności jednak nie przeszło nic do czasów potomnych, a i sama loża mogła przetrwać najwyżej tylko do r. 1795, to jest do patentu cesarza Franciszka I. rozwiązującego wszystkie związki wolnomularskie w całej Austryi.

V.

FENIKS PRZY OKRĄGŁYM STOLE.

Obiecujący ten tytuł był godnym równoległej do „Prawdziwych przyjaciół“ loży niemieckiej, która około roku 1780 wyłoniła się z ogólnego rozbicia po upadku „trzech sztandarów“ i „trzech orłów“, a skupiła dokoła siebie wyłącznie niemiecki świat urzędniczy. Walnego poparcia doznała ta loża ze strony profesorów uniwersytetu józefińskiego, a zwłaszcza znanego nam już Fesslera i Józefa Martinovicsa, interesującego profesora fizyki, ex-franciszkanina, alchemika, zwanego „węgierskim Kołłątajem“, polityka, który niebawem, w r. 1795, położyć miał głowę pod miecz katowski pod zamkiem budzińskim.

Bardzo niedyskretnym historykiem tego co wyrabiał „Feniks przy okrągłym stole“ *(Phoenix zur runden Tafel)* jest Fessler, który do loży tej wstąpił dnia 1. maja r. 1783 i wspomnienia swoje z pobytu w niej opisał w formie listu do przyjaciela. Nic też bardziej charakterystycznego dla masoneryi lwowskiej, jak ta opowieść kutego ex-kapucyna i dlatego podajemy ją niżej w obszerniejszem streszczeniu.

„Ceremoniał loży nie był dla mnie nowością — opowiada — i jakkolwiek odprawiany był z powagą i godnością, nie zaimponował mi wcale. Pozostałem zimnym i spokojnym, co większa część braci przypisywała mojej obojętności dla sprawy, druga część mojej dumie z powodu wiedzy świeckiej. Zaraz tedy u samego wstępu źle osądzony i zapoznany, uczęszczałem bardzo pilnie na posiedzenia i cieszyłem się z tego, gdy mnie traktowano jako nieświadomego żadnych tajemnic ucznia“.

„Skoro jednak wystąpiłem z kilku mowami na temat bierności i upadku ducha masońskiego, nie chciano ich wcale wciągnąć do protokołu i odmówiono im przechowania w archiwum. Słuchałem tedy dalej przypowieści takich jak *„Scrutamini scripturas“* i *„Omnia probate, quod bonum est tenete“* to jest „badajcie pisma“ — „wszystkiego próbujcie,

a trzymajcie się tego co jest dobre". — W ogóle przez towarzyszy moich uważany byłem za ucznia i to bardzo niepojętnego".

W dalszym ciągu opowiada Fessler, jak mało spotkał w loży gruntu realnego, a jak dużo afektacyi, jakimi komentarzami opatrywał wielki mistrz Reckhorn ksiażkę o „Błędach i prawdzie". „Komentarz ten pozwalał doświadczeńszemu czytelnikowi książek domyśleć się odrazu, że poczciwy R. dlatego przykładał tak wielką wagę do tej książki, że jej nic a nic nie rozumiał, a skutkiem tego wykluczony był u niego zamiar oszukiwania swoich słuchaczy. Skromne moje uwagi i wątpliwości na temat tej książki przýjęte zostały w sposób, dowodzący, że braciom brakło poprostu wrażliwości na argumenty zdrowego rozumu. W obec tego postanowiłem milczeć i prowadzić dalej moje obserwacye nad chorobami ludzkiej duszy."

Kiedy indziej znowu rozbierano analitycznie dzieła: *„Der Hermatische Triumph"*, *„Plumenöks geoffenbarter Einfluss"*, *„Compass der Weisen"* i *„Annulus Platonis"*. Nie omieszkałem nabyć tych książek na własność, jako ważnych dokumentów do historyi zboczeń umysłowych. Nareszcie razu pewnego po długiej i egzaltowanej przedmowie zaczęto czytać wyjątki z dzieła p. t. *„Pflichten der G. und R. C. alten Systems von Chrysophiron"*, gdzie znalazł się ustęp nawołujący wszystkich do udania się do Betleem, nazywający Chrystusa najwyższym mistrzem wolnomularstwa i t. d. Ustęp kończył się zapewnieniem, że są na świecie loże prawdziwego systemu i są prawdziwi ojcowie wolnomumularstwa, którzy jedynie zdolni są do udzielenia istotnego światła masońskiego.

Na podstawie powyższego ustępu zaczęła się dyskusya, w której cały szereg mowców żądał na seryo, aby udać się na poszukiwanie tych ojców wolnomularstwa i prosić ich o udzielenie loży „Feniks przy okrągłym stole" prawdziwych tajemnic masońskich. „Z całego przebiegu dyskusyi — powiada Fessler — widać było, że poczciwi bracia nie wiedzieli, czego im właściwie brakuje i czego przedewszystkiem szukać powinni. To tylko było rzeczą pewną,

że dalekimi oni byli od zamiaru oszustwa, ale za to gotowi dać się wziąć na lep pierwszemu lepszemu oszustowi, któryby zechciał wyzyskać ich nieświadomość i żądzę posiadania najwyższych tajemnic masońskich".

Poszukiwania jednak za prawdziwymi ojcami wolnomularstwa przerwane zostały knowaniami dwu masonów świeżo do Lwowa z Wiednia przeniesionych, którzy zakwestyonowali prawowitość „Feniksa" i wartość wszystkich jego dyplomów i patentów. Wywołało to wielkie wrażenie i obawy w świecie masońskim i dopiero zapewnienie z Wiednia, że loża przyjętą zostanie do tworzącego się tam właśnie związku lóż austryackich uspokoiło braci tak, że mogli się oddać dalszym swoim dociekaniom aż do chwili, gdy znana nam już kwestya masońskiego równouprawnienia kobiet na nowo rozogniła umysły.

Widząc tedy, że niedaleko zajedzie z takimi masonami i z taką masoneryą wszedł Fessler w porozumienie ze znanym na bruku lwowskim, a bardzo ciekawym człowiekiem Ernestem Kortumem i przystąpił z nim razem do założenia nowej, zreformowanej loży „zum Biedermann".

Kortum, założyciel znanej po dziś dzień we Lwowie Kortumówki, miał już wtedy bardzo burzliwą przeszłość za sobą, wieloletnią służbę przy dworze Stanisława Augusta i dużo godności i zaszczytów w nowej służbie austryackiej. W galeryi niezwykłych i interesujących typów, w które Lwów w tym czasie tak bardzo obfitował, zajmuje Kortum przednie miejsce, jako człowiek istotnie niezwykłych zdolności, nieubłagany wróg Polaków i żydów, jako oryginał wreszcie w życiu i postępowaniu z ludźmi. W Fesslerze znalazł on ducha pokrewnego, to też niebawem postanowili obydwaj wypędzić z wolnomularstwa wszystkie pierwiastki tajemnicze i nadprzyrodzone. W tym duchu też zaczęła działać i loża „Zum Biedermann", złożona przeważnie z masonów, dotychczas luzem chodzących. Na jej uroczystem otwarciu znaleźli się członkowie dwu innych lóż lwowskich i mieli sposobność stwierdzić, jak powiada Fessler, jaka ogromna różnica panowała między rytuałem obecnie wprowadzonym a dawniejszym. Nie usłyszał tutaj,

ani nie zobaczył nic takiego, coby nie wytrzymało krytyki najsilniejszego rozumu. Każdy członek był już przedtem poinformowany o prawach swoich i obowiązkach, a zamiast barbarzyńskiej przysięgi, odbierano od niego tylko ślubowanie przez podanie ręki. Kawał czarnego sukna był symbolem, że masonerya jest tylko formą, której treści mają dostarczyć sami członkowie.

Główne zasady i podstawy tego nowego systemu wyjaśnił sam Kortum w mowie pełnej polotu. Oświadczył się stanowczo przeciwko zwierzchnictwu nieznanych i tajemniczych lóż masońskich, porównał wolnomularstwo do lekarstwa, które w rękach lekarza przynieść może zbawienne skutki, w rękach zaś szarlatana nieobliczalne szkody. Gdyby nawet masonerya — mówił — nie mogła zdziałać nic pozytywnie dobrego, a tylko chroniła od większego zła, to jużby zasługiwała na szacunek uczciwych ludzi. Zresztą pożytek z masoneryi polega tylko na wspólnem działaniu członków. Na zakończenie wreszcie skonstatował, że jest prostym absurdem twierdzić, jakoby w hieroglifach i symbolach masońskich kryła się jakaś nieznana prawda, wiedza czy umiejętność i jakoby na podstawie tych hieroglifów można się było czegoś niezwykłego nauczyć.

Mowa ta, razem z dwoma innemi jeszcze przemówieniami wydrukowaną została w osobnej broszurze p. t.: *„Drey Freymaurer-Reden nicht im Frey-maurerischen Styl, gehalten in der Loge zum Biedermann zu Lemberg“* (Wien 1786) i jest jednym z nielicznych, łatwiej szerszemu ogółowi dostępnych dokumentów masoneryi lwowskiej.

Loża „zum Biedermann“ znalazła wiele uznania w kołach masońskich lwowskich i — jak zapewnia Fessler — byłaby znalazła wielu członków pomiędzy tutejszymi masonami, gdyby ci nie obawiali się, że stracą swoje już nabyte stopnie i godności. Zgodzono się jednak na ujednostajnienie rytuału i wydanie wspólnej księgi ustaw, którą wypracować miała komisya z członków wszystkich trzech lóż wydelegowana.

Prace tej komisyi doznały atoli niemiłej peturbacyi i to aż od stóp tronu cesarskiego. W roku 1785 mianowicie

wyszedł odręczny bilet cesarza Józefa II., według którego w miastach prowincyonalnych mogła istnieć jedna tylko loża i to jedynie tam, gdzie była siedziba najwyższych władz krajowych. Bilet ten przysolił jeszcze cesarz żywiołową i zwykłą u siebie otwartością, z jaką wyraził swoje zapatrywanie na masoneryę w ogóle. Powiedział mianowicie, że cele masoneryi nie są mu wprawdzie znane, ale też i on sam nie jest wcale ciekaw masońskiego kuglarstwa i bałamuctwa, *Gaukelei.*

Pismo to spadło na całą masoneryę austryacką niby grom z jasnego nieba. Wprawdzie już przedtem wyrażał się cesarz niejednokrotnie z pewnem lekceważeniem o masoneryi, mawiał, że mu jest w gruncie rzeczy obojętnem czy bracia piją jego zdrowie z tryangułem czy bez tryangułu masońskiego, ale zawsze uważany on był za głównego patrona i opiekuna wolnomularstwa. Nic też dziwnego, że cesarskie słowa o kuglarstwie i bałamuctwie, chociaż ostatecznie nawet wcale uzasadnione, zabolały masonów i dotknęły do żywego. Sam Fessler z bolem serca wspomina, że cesarz stanął w sprzeczności z działalnością swojego ojca, zapomniał o zasługach tylu najwyższych urzędników państwowych, którzy byli równocześnie wolnomularzami, nie uwzględnił przedstawień swojego ministra hr. Pergena i nie wahał się okryć całego wolnomularstwa austryackiego niesławą w obec Europy.

Skutki pisma cesarskiego były natychmiastowe. Znaczna część lóż masońskich się rozwiązała, a i we Lwowie „bałamuctwa“ masońskie ucichły na pewien czas, ażeby za krótkich rządów cesarza Leopolda II. zakwitnąć raz jeszcze, chociaż na czas już bardzo krótki.

VI.

DOSKONAŁA RÓWNOŚĆ.

Z masońskiego rozgardyaszu na gruncie lwowskim, którego przynajmniej główne momenty usiłowaliśmy podchwycić w poprzednich rozdziałach z pośrodka tych wszyst-

kich organizacyi, których nici przewodnich i głównych sprężyn działania, połapać trudno i na podstawie dzisiejszego stanu badań prawie niepodobna, z całego tego „bałamuctwa“ wolnomularskiego, wyłania się we Lwowie organizacya, która mimo wszystkich cech i rytuałów masońskich, jest organizacyą na wskróś patryotyczną. Jest nią loża „Pod doskonałą równością“ działająca we Lwowie na pół jawnie od roku 1778 aż do upadku powstania Kościuszkowskiego i patentu cesarza Franciszka I. z r. 1795, rozwiązującego wszystkie organizacye masońskie, a spiskująca tajnie po przez wszystkie próby powstańcze po trzecim rozbiorze Polski.

W epoce Sejmu czteroletniego i naprawy zmurszałego gmachu Rzeczypospolitej skupiła „Doskonała równość“ dokoła siebie wszystkie żywioły patryotyczne i wprzęgła do pracy nad odbudowaniem Polski. Były w tej pracy momenty różne i kierunki czasem rozbieżne, opierające się to o Austryę, to o rewolucyjne żywioły we Francyi, lub szukające ujścia na miejscu w akcyi publicystycznej czy militarnej. To jednak nie ulega wątpliwości i staje ponad wszystkie prądy chwilowe, że pod pokrywką organizacyi masońskiej zorganizował się cały obóz patryotyczny w Galicyi i że źródła wszystkich ruchów politycznych polskich z tej strony kordonu szukać należy właśnie w loży masońskiej pod godłem „Doskonałej równości“.

Niestety poszukiwania są bardzo utrudnione brakiem wszelkich bezpośrednich wiadomości źródłowych. Ale i to, co wiemy, wystarcza do żywego zainteresowania się lożą „Doskonałej równości“ i pobudzić powinno do dalszych badań, wdzięcznych bardzo, bo związanych z całym ruchem umysłowym w Galicyi przed trzecim rozbiorem Polski i ważnych pod względem historycznym, bo wyświetlających stosunek „starej“ Galicyi do sprawy ogólno narodowej.

Według źródeł masońskich dostępnych i cytowanych przez Abafiego, formalna historya loży „Doskonała równość“ przedstawia się w sposób następujący.

Znany nam już twórca loży „salomońskiej pod trzema białymi różami“ kawaler Giuseppe Beduzzi, rozbudziwszy

obrotnym swoim językiem wielkie nadzieje wśród swoich zwolenników, oczekujących wysokich stopni i dostępu do tajemnic masońskich, znalazł się nareszcie w srogiej opresyi. Zapowiedziane dyplomy i patenty nie nadchodziły jakoś z Wiednia a niecierpliwość braci rosła z dniem każdym.

W tem trudnem położeniu wyszukał sobie Beduzzi coś w rodzaju gwaranta czy ręczyciela, który miał objąć jego zobowiązania i przystąpić do założenia nowej, dawno już zapowiedzianej loży. Ręczycielem tym był August de Ulina Uliński, pan na Zamiechowie, Sidorowie, Dobrowodach, starosta podwysocki i wiceprezydent galicyjskiej apelacyi (ur. r. 1729). Podpisał on oświadczenie do Wiednia, że przystąpi do założenia loży masońskiej we Lwowie, pod warunkiem jednakże, że loża ta będzie lożą narodową, i pracować będzie wyłącznie tylko w języku polskim. Równocześnie urządził z wielkim pospiechem w jednej ze swoich kamienic we Lwowie lokal na pomieszczenie loży i zapowiedział jej otwarcie na dzień 31. października 1778 roku.

Beduzzi jednak odpowiedział, że o dniu instalacyi zadecyduje wyższa władza masońska we Wiedniu, od której ciągle spodziewał się potrzebnych papierów i dyplomów. Gdy jednak papiery te nie nadchodziły, zredagował on je po prostu sam we Lwowie w języku francuskim, zaraz po Nowym Roku 1779, wręczył je razem z pozłacanym młotkiem Ulińskiemu, a przedstawiwszy się jako delegat wiedeński zwizytował lokal, znalazł wszystko w największym porządku i oświadczył, że nic nie stoi na przeszkodzie otwarciu loży.

Radosny ten fakt zakomunikował Uliński jeszcze tego samego dnia innym braciom i w niedzielę po Trzech Królach nastąpiło uroczyste otwarcie loży pod godłem „Doskonała równość“, która zaczęła się cieszyć bardzo liczną frekwencyą ze strony polskiej.

Beduzzi tryumfował, opowiadając każdemu na ucho, że to nikt inny, tylko on zaraz od samego początku miał zamiar założenia loży narodowej.

Byli wprawdzie między członkami niektórzy, jak np. hr. Poniński, którzy powątpiewali w autentyczność patentu

wiedeńskiego, ale i na to znalazł sposób Beduzzi. Oto oddał lożę pod protektorat hr. Michała Józefa Ignacego Wielhorskiego, a ten, z zupełnem pominięciem Wiednia, zwrócił się o zatwierdzenie dla loży do Wielkiego Wschodu francuskiego w Paryżu. Zatwierdzenie to przyszło dnia 1. maja 1780 r., wielkim mistrzem loży został ks. Antoni Podhajecki, kanonik katedralny lwowski, sekretarzem protokolista trybunału apelacyjnego Jackowski, który przyjmował pod swoim adresem całą korespondencyę loży, delegatem zaś loży przy Wielkim Wschodzie paryskim był Le Blanc, będący równocześnie także delegatem warszawskiej loży „Doskonałe milczenie“.

Kiedy wiadomość o tych wszystkich sprawkach Beduzziego doszła do Wiednia, dostał on olbrzymiego nosa, który jednak nie miał już żadnego wpływu na dalszy rozwój „Doskonałej równości“.

W przeciągu krótkiego czasu skupiła loża dokoła siebie 85 członków z najwyższych sfer polskiej arystokracyi i inteligencyi i rozpoczęła bardzo ożywioną działalność. Wielkim mistrzem po śmierci ks. Podhajeckiego został Mikołaj Potocki, mowcą Józef Komorowski, podpisani na jedynym znanym, choć mocno zniszczonym dyplomie, znajdującym się obecnie w Muzeum rapperswilskiem.

Mimo licznych wezwań o przyłączenie się do Związku lóż austryackich w Wiedniu, nie wstąpiła doń wcale „Doskonała równość“, opierając się na swoim francuskim patencie i utrzymując żywe stosunki z ówczesnym zrewolucyonizowanym Paryżem.

Takie były ramy i kadry związku, który pod pokrywką masońską prowadził roboty patryotyczne w Galicyi. Z „Doskonałej równości“ wyszło „Towarzystwo patryotycznych polityków“, którego organem stał się dziennik tej samej nazwy, stąd wychodzili tacy działacze, jak mecenas Franciszek Węgleński, Józef Dzierzkowski, Waleryan Dzieduszycki, Franciszek Strzałkowski, Hilary Siemianowski i w. i. Wszyscy oni posądzeni byli później o knowania jakobińskie, niektórych dosięgła zemsta rządu austryackiego, wszyscy

też zapisani są chlubnie w dziejach tej smutnej nad wyraz i ciemnej epoki w naszem życiu porozbiorowem.

Ale sprawy te wykraczają już poza okres historyi masoneryi lwowskiej, której krótkie już dnie były pisane. Po znanem nam już rozporządzeniu cesarza Józefa z roku 1789, zakazującem lożom lwowskim stosunków z Warszawą, nastąpił patent cesarza Franciszka I. z roku 1795 rozwiązujący wszystkie organizacye masońskie i rozporządzenie z r. 1801, zakazujące urzędnikom państwowym należenia do jakiegokolwiek tajnego stowarzyszenia.

Dzieje masoneryi lwowskiej skończyły się.

XIII.

ZNIKAJĄCY LWÓW.

I.

NAROŻNIK RYNKU I UL. TRYBUNALSKIEJ.

Na miejscu dawnej kamienicy Wilczkowskiej patrzy od r. 1912 olbrzymimi otworami szyb wystawowych dom nowy, cały z betonu i żelaza. O starej zaś kamienicy która stała na tem miejscu i słych zaczyna ginąć powoli.

Kamienica rynkowa l. 32 nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Ale na jej postać sformowaną przy końcu ośmnastego wieku, patrzył Lwów przez lat z górą sto. Było więc dosyć czasu, aby sylwetka narożnej kamienicy stała się przyzwyczajeniem i inwentarzem rynku lwowskiego, aby się opatrzyła, nabrała odpowiednich barw, tonów i cieniów. Bo stara kamienica, to tak jak stuletni dąb. Zastoi się w polu, upodobni do matki ziemi, zharmonizuje z otoczeniem, wrośnie tak w miejsce swoje, że gdy go potem nie stanie, to patrzącemu brak czegoś a krajobrazowi zawsze czegoś nie dostaje.

I nie dostawać będzie pewnie starszemu pokoleniu Lwowian tej długiej, przeciętej szkarpami ściany od ulicy Trybunalskiej, tego zczerniałego daszku, kamiennych schodków prowadzących w ciemną czeluść sieni kamienicznej — toż i całemu krajobrazowi ulicy Trybunalskiej, zamkniętemu fasadą dawnego kollegium Jezuickiego braknie starej towarzyszki... kamienicy Wilczkowej.

Długi dom narożny od rynku, przez całą ulicę Trybunalską, z trzecim frontem od placu Trybunalskiego,

powstał z czterech, względnie nawet pięciu starożytnych domów mieszczańskich, a mianowicie z kamienic t. z. „Stanclowskiej“, „Melchior Wolfowiczowskiej“ i Gędzickiego od strony rynku, a „Reguliczowskiej“ i „Dobnikowskiej“ od ulicy i placu Trybunalskiego.

Ośrodkiem całej realności stała się narożna kamienica od rynku „Stanclowska“. W szesnastym wieku należała ona do Urbana Frizera, ławnika lwowskiego, z którego córką ożenił się Stanisław czyli Stancel Szolc, protoplasta jednej linii słynnego domu patrycyuszowskiego Szolców. Ruchliwy i na wielką skalę kupiec, przedsiębiorca eksploatujący nawet rudę żelazną w okolicach Lwowa, jeden z najzamożniejszych i najpoważniejszych przedstawicieli patrycyatu lwowskiego, posiadał w drugiej stronie rynku, idąc ku Dominikanom drugą kamienicę, oraz cały szereg domów i gruntów na przedmieściu. Wziąwszy za żoną część kamienicy „Urbanowskiej“ przykupił do niej dwie dalsze części, tak że najstarszemu synowi swojemu, również Stanisławowi pozostawił ją w całości.

W r. 1608 mieszkał tamże ów „Stancel Szolc młody“ wraz z bratem swoim Walentym, aptekarzem. W czasach późniejszych, drogą spadków i małżeństwa, przeszła kamienica chwilowo w posiadanie dra Marcina Nikanora Anczewskiego, właściciela t. zw. „czarnej kamienicy“.

W r. 1684 właścicielem jej został Dominik Wilczek, sekretarz królewski, osobistość znana w najwybitniejszych sferach Rzeczypospolitej. Po nim przeszła kamienica na własność rodziny Złotorowiczów, w drugiej zaś połowie wieku XVIII. i na początku w. XIX. kamienica zostawała znowu w rodzinie Wilczków.

W r. 1755 Felicyta Wilczkowa, po wstąpieniu męża swojego Jana do klasztoru, przekazała majątek swój razem z kamienicą, synowi swojemu Dominikowi Wilczkowi, kapitanowi batalionu fizylierów artyleryi koronnej.

Druga kamienica od rogu „Melchior-Wolfowiczowska“ należała do drugiej gałęzi rodu Szolców, której protoplastą na bruku lwowskim był Melchior Szolc Wolfowicz starszy, jeden z najdumniejszych i najpotężniejszych patrycyuszów



PAŁACYK ZAMOJSKICH PRZY UL. ZIELONEJ
(nieistniejący).

lwowskich na przełomie XVI. i XVII. w. Kamienica niniejsza była tylko częścią jego majątku i przeszła na jego syna również Melchiora. W r. 1662 siedziała na niej Wolfowiczowa wdowa, w pierwszej połowie ośmnastego wieku właścicielem jej był niejaki Dobrucki, od którego nabyła ją gmina miasta Lwowa.

Również nie często zmieniała właścicieli i trzecia kamienica, w której w r. 1608 siedział nieznany nam bliżej Kasper aptekarz, a później przez cały wiek siedemnasty, aż do połowy ośmnastego wieku mieszczańska rodzina Gędzickich, z której Stanisław Gędzicki w czasie okupu wypłacanego Chmielnickiemu w r. 1648 posiadał majątek oszacowany na 40.000 złp. W drugiej połowie XVII. w. należała ona do sędziego grodzkiego Grzegorza Srokowskiego.

Z tyłu tych trzech realności ciągnął się frontem do ulicy i placu Trybunalskiego, zabudowanego dawniej doszczętnie, szereg kamieniczek, wśród których znajdowały się już wyżej wspomniane Reguliczowska i Dobnikowska, a także i Ziarnkowska, ongiś własność słynnego sztycharza lwowskiego Jana Ziarnki i jego rodziny. Te kamieniczki przeszły różnymi czasy na własność Jezuitów, a po kasacie ich Zakonu znalazły się w największem zaniedbaniu i opuszczeniu.

Ze wszystkich powyższych właścicieli najwięcej przedsiębiorczości i zmysłu gospodarskiego okazał znany nam już kapitan batalionu fizylierów artyleryi koronnej Dominik Wilczek. Porzuciwszy sztandar Rzeczypospolitej po pierwszym rozbiorze, osiadł we Lwowie i pędził życie zdala od prochu armatniego na łonie rodziny, której prawdziwą chlubą i dumą był pierworodny syn jego Jan Wilczek, również człek wojenny, bo porucznik regimentu pieszego Buławy Wielkiej Koronnej. Ponadto dwie córki, jedna za Franciszkiem Rychterem, druga za Marcinem Bartschem ozdabiały drzewo rodzinne pana kapitana.

Dla tak licznej rodziny postanowił też kapitan ufundować odpowiednie gniazdko rodzinne. W tym celu zaczął kupować wszystko, co tylko leżało podle jego kamienicy

dziedzicznej. Więc w r. 1765 kupił kamienicę Gędzickich, nieco później kamienicę Melchior-Wolfowiczowską, gdy zaś po kasacie zakonu Jezuitów rząd austryacki począł dysponować ich majątkiem, kapitan Wilczek był pierwszym, który się zgłosił do kupna i już w r. 1777 kupił dwie rudery przytykające do tyłów jego kamienicy. Jedna z nich była to dawna kamienica Reguliczowska, druga Dobnikowska, z dawien dawna do Jezuitów należące.

Na miejscu tych ruder stanęła długa stajnia, a powyższe trzy kamienice „transformował" kapitan w jedną kamienicę, nadając jej kształt taki, jaki ma obecnie. Również i wnętrze uległo wielkiej transformacyi. Pan Wilczek napełnił kamienicę „zamurowaniami, zabudowaniami, piętrami i na tychże piętrach salami, pokojami, sklepami, sklepikami, piwnicami, kuchniami, schowaniami, obiciami, zwierciadłami, lustrami, obrazami, kanapami, krzesłami, stołami, stolikami, stołkami i wszelkiego gatunku meblami".

Wszystko to, a mianowicie „kamienica, jako i rudera, tudzież meble kosztowały Wgo kapitana czterykroć dwadzieścia tysięcy złp."

Jak na jednego kapitana od fizylierów to chyba wcale dość, tembardziej, że ów kapitan jeszcze za czasów Rzeczypospolitej był jednym z nielicznych ludzi, którzy we Lwowie coś budowali, a na szpetnych i śmierdzących ruderach majątek swój gruntowali rodzinny. Walną w tym względzie pomoc niósł kapitanowi, jego pułkownik Linsay, pożyczając mu większe sumy pieniężne.

Wilczek traktował swoją majętność jako fideikomis rodzinny, a kiedy w r. 1781 uczuł się już trochę starym i postanowił szukać wytchnienia w budującym się właśnie dworku na Zielonem — to tę kamienicę sumiennie i w uroczystych słowach podzielił między syna swojego Jana porucznika i dwie córki zamężne Rychterową i Bartschową, zastrzegając sobie jedynie mieszkanie na trzeciem piątrze, komórkę na papiery i ogólną inspekcyę nad całą kamienicą.

W r. 1797 nastąpił akt działu między spadkobiercami, z którego wynika, że w kamienicy od strony rynku znajdował się sklep handlowy, z drugiej zaś strony szynk

z alkową, w której były schodki do piwnicy dla szynkarki dla wynoszenia trunku, tudzież izba bilardowa o trzech oknach wychodzących na ulicę Trybunalską.

Mimo bardzo szczegółowych postanowień działu i darowizny nie zdołał Dominik Wilczek zapobiedz sporom i procesom rodzinnym. Powodem głównym ich był wnuk jego Stanisław Wilczek, który w r. 1801 na gruncie dawnych kamienic pojezuickich od ul. Trybunalskiej wybudował nową kamienicę i sprzedał ją w r. 1805 szwagrowi swemu Michałowi Czarnożyńskiemu. Ponieważ dwie jego ciotki Rychterowa i Bartschowa wystąpiły z pretensyami do dwu części placu, na którym kamienica stanęła, rozpoczął się proces familijny, zakończony ostatecznie tem, że kamienicę kupił w r. 1825 Jan Towarnicki.

Odtąd przez długie lata pozostawała kamienica w rodzinie Towarnickich. Była to rodzina kupiecka, a jej sklep bławatny cieszył się we Lwowie zasłużonem uznaniem. Na górnych piątrach znajdowała się szkoła słynnej wychowawczyni Felicyi z Wasilewskich Boberskiej i kancelarya rejenta Wolskiego.

II.

KAWIARNIA „MONOPOL.

Poczerniało trochę na placu Maryackim, gdy mu odjęty został długi szereg świateł, padających z poza szyb kawiarni „Monopol“, od sklepów parterowych i od brylantów wystawionych za szybą jubilera Juliana Dąbrowskiego. Jeden z najruchliwszych punktów we Lwowie — stara kamienica Ponińskich, oniemiała na zawsze i ustąpiła z widowni na rzecz czteropiątrówki p. Sprechera.

Sama kamienica w różnej postaci, od murowanego z ogrodem do trzypiętrowego gmachu przez wiek tylko jeden stanowiła inwentarz Lwowa, ale za to miejsce, na którem stoi od wieków, było przedmiotem troski i zabiegów miasta. W tem bowiem miejscu schodził się narożnik

murów, wałów i innych fortyfikacyj miejskich, a właśnie przed samym frontem nie istniejącej już kawiarni „Monopol“ wyokrąglał się duży, półkolisty bastyon, umocniony całą przemyślnością starej sztuki wojennej.

Pokojowe, familijne życie kamienicznika lwowskiego wkroczyło w to miejsce dopiero po zaborze austryackim i to nasamprzód od strony ulicy Hetmańskiej, Już bowiem w r. 1779 stał tu dom murowany (ul. Hetmańska 2), oznaczony numerem konskrypcyjnym 310, który obywatel lwowski, Józef Weyss, sprzedał w tym właśnie roku Franciszkowi Siedlaczkowi za... 907 złr. Panowie Weyss i Siedlaczek nie mieli naturalnie żadnego wyobrażenia o tem, że ich cena kupna w kilkadziesiąt lat później stanie się aż humorystycznie nizką w porównaniu do milionowej ceny, jaką zapłacił za kamienicę p. Sprecher.

Wówczas jednak kamieniczka nie miała frontu do placu Maryackiego. Był tam bowiem plac pusty, po zburzeniu fortyfikacyj miejskich i stanowił własność gminy, która nie wiedziała dobrze, co z nim począć. Gdy więc zgłosił się do magistratu Franciszek Siedlaczek z chęcią wydzierżawienia pustki, przyjęto jego ofertę z rozkoszą i wydzierżawiono mu grunt na lat 30 za czynszem rocznym 22 złr.

Na tym to gruncie powstała nowa kamienica, oznaczona numerem konskrypcyjnym 342 (plac Maryacki 8), którą w r. 1807 kupił od Siedlaczka niejaki Franciszek Lunda za 7.000 złr. Obie kamienice połączyły się w roku 1828 w jedną całość, której właścicielem został nowonabywca nie znany już bliżej dzisiejszemu pokoleniu, obywatel Zacharyasz Nowacki, a potem syn jego, Jan Nowacki.

Kiedy w r. 1845 od Nowackiego, kupował tę kamienicę Krzysztof Agopsowicz, to już musiał za nią zapłacić 13.000 złr. a następny nabywca w r. 1846 Marceli Gromadziński nawet jeszcze więcej.

Gromadziński był pierwszorzędnym krawcem we Lwowie oraz wielkim zwolennikiem spirytyzmu i wszelakiej innej czarnej magii.

Jako krawiec wprowadził do Lwowa nowość: nazwisko swojej firmy na guzikach ubrań, wychodzących z jego pracowni — jako spirytysta zaś odbywał w kamienicy swojej seanse z duchami i tym podobnymi latającymi stolikami. Wszystko to razem skończyło się bankructwem jego firmy, tak, że w r. 1867 kamienicę nabył od masy krydalnej ks. Kalikst Poniński.

Z tych czasów zapamiętał kamienicę p. Juliusz Starkel, prawdziwa chodząca kronika lwowska. P. Starkel bywał jeszcze w kawiarni, która wówczas znajdowała się w parterze od strony ulicy Wałowej i miał sposobność przypatrywać się bractwu literackiemu, które tam wcale nie o suchej twarzy urzędowało, pod przewodnictwem Juliana Niedźwieckiego, autora poczytnej bardzo powieści p. t. „Szkielety Holbeina“.

P. Starkel kierował również wspólnie z Eugeniuszem Wędrychowskim „Wypożyczalnią akademicką“, która się mieściła w tej samej kamienicy, a która składała się głównie z księgozbioru Mieczysława Darowskiego, weterana z r. 1831 i zacnego obywatela.

Około r. 1880 mieściła się w tej kamienicy pierwsza galicyjska dyrekcya kolejowa. Kiedy bowiem Towarzystwo akcyjne, utrzymujące ruch na kolei im. arcyks. Albrechta zaczęło „robić bokami“, i w żaden sposób nie mogło przedłużyć tej linii do Ławocznego i granicy węgierskiej, zaprowadziło ministerstwo handlu zarząd państwowy na tej linii i przysłało z Wiednia sekretarza ministeryalnego Franciszka Liharzika z tytułem „generalnego sekretarza“. Sekretarz ten, protoplasta wszystkich późniejszych dyrektorów kolei urzędował właśnie w kamienicy ks. Kaliksta Ponińskiego, tak długo, dopóki rozszerzający się zakres „dyrekcyi kolei państwowych“ nie zmusił ją do szukania nowej siedziby w domu obywatela Wajdy przy ul. Czarnieckiego l. 26—8.

Jeszcze za życia ks. Kaliksta Ponińskiego, w r. 1902 założył tu ś. p. Franciszek Hexel kawiarnię „Monopol“, przybytek, który stał się schroniskiem polityków ze stronnictwa ludowego i rozmaitych emerytów, których ciągnął w te

progi familijny nastrój, panujący w nizkich, ciepłych i przytulnych, choć z niewielkim komfortem urządzonych salkach.

Po śmierci ks. Kaliksta Ponińskiego przeszła kamienica w roku 1906 na własność masy Hieronima ks. Lubomirskiego, w r. 1909 drogą działu spadkowego otrzymała Felicya ks. Lubomirska, w następnym wreszcie roku kupił ją p. Jonasz Sprecher.

Najbardziej jednak charakterytycznem wspomnieniem domu przy placu Maryackim l. 8 jest wspomniana kawiarnia „Monopol“.

Nie miała ona ani komfortu, pięknych kasyerek, muzyki, ani separatek, huk korków szampańskich rzadko tam tylko przerywał ciszę, nie było przekleństwa skrachowanych graczy, ani żadnej ruiny ludzkiej. W nizkich, ostatnio już mocno zakopconych salkach nie robiły się wielkie transakcye pieniężne, ani miłość tam nie szukała bezpiecznej schadzki, ani pozłacane ćmy nocne nie krążyły koło zielonych płomieni gazowych.

Ot takie to sobie było przytulisko staruszków, łaknących bibuły dziennikarskiej polityków, jednostek, których dzień cały wykoleił i które na smugach sinego dymu szukały swych myśli rozpierzchłych. Stały gość nabierał tam specyalnego charakteru, a były twarze codziennie spotykane, których nie można by sobie nawet wyobrazić bez tego tła kawiarnianego, bez akopaniamentu przewracanych dzienników, były twarze, którym obłoki dymu jedynym były nimbem w życiu, swoista gazeta źródłem wiadomości, leniwa, ziewająca nuda stałem towarzystwem.

Z takich odwieczoych, inwentarzowych gości składała się kawiarnia. Tego, który po wązkich schodach wdrapał się na wyżyny pierwszego piętra witał dawnymi czasy życzliwy uśmiech gospodarza, Franciszka Hexla, a po jego śmierci tubalny głos gospodyni z życzeniem dobrego dnia, czy wieczoru, oraz dźwięczny baryton Piotra Beiszera z deklaracyą gotowości do usług (sługa panamdzieja) albo pogróżką upadnięcia do nóg (pam do nóżek). Za chwilę gość był już rozebrany z paltota, osadzony na swojem miejscu, obłożony gazetami, udekorowany szklanką herbaty

przez Filipa lub Gustawa, a rzuciwszy okiem na te same, znajome twarze, oddawał się lekturze.

Tak było do dnia 5. lutego 1912 roku. Pod lustrem kupka wojskowych, punktualnych, milczących, pod piecem siwobrody pan o małych, kobiecych nogach, na środku inżynier i antykwaryusz w jednej osobie zawsze w stosach bibuły tonący, na kanapie baraszkujące kółko. Ten sam radca w głębi, to samo kółko czeskie, jeden aktor, jeden malarz, profesor matematyki, wykonujący wersalskie ukłony, ten sam gość, z przyjemną miną pod adresem kasyerki, inny z ponurą fizyognomią wyłapujący sensacye dziennikarskie.

Wszyscy oni wytrwali w „Monopolu“ dopóki ich los i p. Sprecher nie rozrzucił po innych kawiarniach. Pewnie byli smętni, zgryźliwi tak długo, dopóki się do nowego nie przywiązali lokalu.

III.

PAŁACYK ZAMOYSKICH.

Stary pałacyk Zamoyskich przy ul. Zielonej opadł w lecie r. 1912 w gruzy, czyniąc miejsce nowożytnej budowli. Wraz z nim padła ofiarą lwowskiej gorączki budowlanej i cała zieleń, którą był otoczony, owe odwieczne drzewa, krzewy, ogrodowe klomby, które tyle dodawały mu sielankowego uroku. W twardem zmaganiu się cen gruntu nie ma miejsca na żadne sentymenty. Jest tylko kwadratowy sążeń powierzchni i wygórowana cena kupna — szelest banknotów wdzięczniejszy jest niż szum drzew wiosenną szatą okrytych, o wiele weselszy, niż smętek spadającego jesienią listowia.

Jak zwykle we Lwowie, ruszona raz rydlem ziemia, poczyna dziwnym przemawiać językiem. Jest to język zmarłego świata, tajemnic grobowych, język trupich czaszek. Przy robotach ziemnych dokoła burzonego pałacyku, znaleziono mnóstwo kości, czaszek ludzkich i piszczeli. Ro-

botnicy naliczyli ich przeszło czterdzieści samych czaszek, bezimiennych, zapomnianych. Uleciały wszystkie myśli, uczucia, namiętności z tych pustych oczodołów, nikt nie wie, jakie ich były narodziny, jaka śmierć je spotkała i jaki los ciała ich po śmierci w tem miejscu zgromadził. Może to już dawno zniesiony cmentarz, który był za polskich czasów koło niedalekiego stąd kościoła św. Urszuli, zamienionego dziś na kościół ewangielicki, a może to wspólna żołnierska mogiła z jakiejś wojennej potrzeby, których tyle było pod Lwowem, że nie zliczyć ich wszystkich i nie zapamiętać. A tak czaszki te mówią głosem zapomnianego grobowiska: opowiadają o życiu nieznanem, o losach niewiadomych, o wielkiej zagadce śmierci człowieczej, czarnej i niepowrotnej.

Nowe życie, które zakwitło niebawem na zapomnianym cmentarzu, czy mogile, nie odznaczało się żadnemi zdarzeniami, którebу historyk miał obowiązek przechować w pamięci. Ulica Zielona od najdawniejrzych czasów, aż prawie do dni naszych zachowała na pół wiejski charakter, pełna drzew i zieleni, wśród której bliżej miasta kryły się dworki i pałacyki tych lwowian, co im zanadto duszno było w murach miejskich, a także dworki pańskie, szlacheckie, ożywiające się chwilowo tylko za pobytem ich właścicieli we Lwowie, zwłaszcza w porze karnawałowej.

Dalej od miasta, ku rogatce, dworki ustępowały miejsca chałupom przedmiejskim, z których kilka głęboko w ziemię zapadłych dotrwało do dnia dzisiejszego.

Tak samo i na miejscu pałacyku Zamoyskich stały dawniej dwa bliźniacze dworki, tonące wśród drzewnej i ogrodowej zieleni. Należały one z dawien dawna, w początkach dziewiętnastego wieku, do rodziny Olszewskich, a upamiętniły się przedewszystkiem w życiu Wincentego Pola. Autor „Mohorta“ i „Pieśni o ziemi naszej“ mieszkał tu przez czas pewien, jako człowiek młody, w którego duszy gorzeć już poczynał święty ogień poezyi. Tutaj też poznał Wincenty Pol pierwszą swoją żonę, Kornelię Olszewską i przeżył najpiękniejsze dni narzeczeństwa.

Skromne, staroświeckie dworki ustąpiły miejsca pałacykowi, zbudowanemu w stylu dziwacznym, trochę pretensyonalnym, ale zawsze oryginalnym, który zwracał na siebie uwagę tak pięknością swego położenia, jak i kształtami, przypominającymi raczej jakiś kościół. Położony w miejscu zacisznem, do niedawna nawet bardzo słabo przez publiczność uczęszczanem, odegrał on pewną rolę w roku sześćdziesiątym jako bezpieczne miejsce schadzek komitetowych, przygotowujących wybuch powstania i wspierających go zasobami materyalnymi.

W ostatnich czasach pałacyk zmienił się w dom czynszowy i tak dotrwał aż do roku 1912.

IV.

DZWONY OO. DOMINIKANÓW.

Jakieś fatum widocznie zawisło nad zabytkami naszej przeszłości i kultury. Niema prawie dnia, żeby jakiś świadek ubiegłych wieków nie umilkł na zawsze pod niszczycielską ręką nowoczesnych. Dominikanie lwowscy uporali się ze starymi dzwonami na dzwonicy swojego kościoła jeszcze w r. 1905 i to tak radykalnie, że tylko dzięki wyjątkowej ofiarności ówczesnego namiestnika ś. p. Andrzeja Potocckiego uratowane zostały od zagłady. Na ich miejsce zawieszono nowe dzwony wykonane w Wiener Neustadt, podczas gdy w kraju, w Kałuszu i w Sokołówce znajdują się duże lejarnie dzwonów kościelnych, a fabryka w Kałuszu odbierała liczne uznania na wystawie metalowej w Krakowie za sumienne swoje i wszelkim wymaganiom odpowiadające wyroby. Tak więc z wieży dominikańskiej we Lwowie odzywają się do wiernych dzwony wyrobu niemieckiego, kupione za polskie pieniądze, zapewne za te kościelne ofiary, które składają na tacy dewotki, robotnicy i wszelkie inne biedactwo.

Gdybyż przynajmniej wybór był dobry. Ale nowe dzwony pod względem artystycznym nie mają żadnej war-

tości, pod względem techniki nie moga iść w porównanie ze starymi dzwonami. Odlew nieczysty i szablonowy. Tło banalnej ornamentyki podłożone ciemniejszą farbą bronzową. Napisów monumentalnych żadnych, tylko na wieczną rzeczy pamiątkę następujący napis:

Ces i król nadworny
Odlewacz (sic) Dzwonów
Piotr Hilzer
w Wiener Neustadt 1905
(W środku orzeł austryacki).

Ot co sobie OO. Dominikanie sprowadzili *von Draussen.*

Powszechne oburzenie wywołało wówczas to, co Dominikanie zrobili ze starymi trzema dzwonami, z których największy, jak wskazuje napis na nim, zrobiony został w r. 1584, średni w r. 1606, mniejszy w r. 1607. Oto cichaczem, bez żadnego zawiadomienia konserwatorów, lub innych władz sprzedali dzwony te fabryce w Wiener Neustadt, do przetopienia na materyał. Przecież sam pietyzm, dla fundatorów nakazywał przynajmniej odfotografować te najstarsze zabytki lwowskiego ludwisarstwa, zdjąć z nich napisy i przekazać je potomności.

Tymczasem wyładowano je pospiesznie na wóz i wyekspedyowano na kolej, celem dalszej przesyłki.

Dodać należy, że zupełnie to samo stało się dawniej jeszcze z dzwonami starożytnymi w katedrze łacińskiej, we Lwowie, które również sprzedano na „bruch“ jakiejś fabryce niemieckiej. Dzwony dominikańskie były przeto najstarszymi zabytkami tego rodzaju we Lwowie. Starszym od nich jest jedynie dzwon świętojurski i dzwon „Kiryło“ na wieży cerkwi wołoskiej.

Największy dzwon dominikański (pęknięty) wagi około 16 cetnarów ma, w koło biegnący dwuwierszowy napis wersałami:

„Non natura dedit sed manus artificis et sumptus Reverendi Patris Esaie Leopolite, sacre Teologie magistri An. D. 1584“.

(Nie przyroda mnie stworzyła, lecz ręka mistrza i koszt Czcigodnego Ojca i Brata Izajasza Lwowczyka, św. Teologii magistra w r. 1584).

Na samym dzwonie, w pięknie modelowanym i odlanym kartuszu znajduje się w płaskorzeźbie wyobrażenie Izajasza proroka, bardzo charakterystyczne, jako dzieło współczesnej sztuki ludwisarskiej.

Drugi dzwon ma napis: *„Sancte Pater Dominice, ora pro nobis, quasi tuba exalta vocem Tuam A. D. 1606“*. (Święty Dominiku módl się za nami i jak trąbę podnieś głos swój r. 1606). Dzwon ten, podobnie jak i następne mają na uchu do zawieszania, wyobrażenie twarzy wąsatej, wschodniego typu, w płaskorzeźbie. Być może, że jest to znak ludwisarni lwowskiej, w której dzwony te niewątpliwie zostały odlane.

Trzeci dzwon ma jako napis wyjątek z psalmu św. Ambrożego: *„Te Deum laudamus“* i rok 1607.

Jak wskazują daty, dzwony te pamiętają jeszcze stary gotycki kościół Dominikanów, na którego miejscu stanął w połowie ośmnastego wieku kościół w dzisiejszym kształcie i wydzwaniały całym pokoleniom lwowskiego mieszczaństwa, dla którego ten kościół był rodzajem Westminsteru. Dzwoniły one na wieczny odpoczynek, dzwoniły wszystkim uroczystościom i na wszystkie trwogi, jakie miasto nasze w ciągu wieków nawiedzały.

Tych to więc świadków zamierzchłej przeszłości pozbyli się Dominikanie bez najmniejszego skrupułu. Gdyby tak ożyć mógł stary z XVII. wieku historyk dominikański Szymon Okolski, lub drugi z XVIII. wieku Klemens Chodykiewicz, co tak skrzętnie zbierał wszelkie wiadomości do dziejów zakonu kaznodziejskiego, lub trzeci przed dwudziestu laty zmarły ks. Sadok Barącz — jakieżby gorżkie były ich słowa pod adresem Dominikanów w roku 1905.

A i wspomnienie złotoustego kaznodziei i wielkiego Polaka ks. Fabiana Birkowskiego, który tak długo i często przebywał w tutejszym klasztorze Dominikanów i przy

dźwięku onych dzwonów układał swe kazania, bijące gromem na wszelką prywatę — i to wspomnienie powinno było wstrzymać rękę podpisującą „*fracht*“ kolejowy do Wiener Neustadt.

W ostatniej chwili zakupił wszystkie trzy dzwony ś. p. Andrzej hr. Potocki i sprowadził je do Krzeszowic, gdzie dziś zdobią park pałacowy.

XIV.

ROK 1863.

Na ziemię ucisku, gwałtu i niewoli zeszedł czas dziwny. Jakby anioł srebrzystem wionął skrzydłem i ludziom znękanym, wylękłym, czarowne szeptał słowa ułudy:

„Do chlubnych czynów otworzę wam pole, dam wam zwycięstwa chwilę i swobody, ojczyznę wrócę...“

I szept skrzydlaty płynął po ziemi mogił i krzyżów. Wypłakane oczy blaskiem nagłym rozgorzały, bark ugięty w jarzmie niewoli prostował się, pożar miłości serca ogarniał:

...ojczyznę wrócę...

Wygnańcom, na własnej ziemi ledwo cierpianym pasierbom ojczyznę! Tym, co srogie przeżyli lata niewoli, biednym, sennym, zapomnianym, brutalną stopą najeźdźcy zda się już w proch pokruszonym – chwilę zwycięstwa! Narodowi, co mu z ręki oręż już dawno wydarto — do chlubnych czynów otwarte pole!

Więc cicha i korna modlitwa z ust szła zamarłych do anielskiego widziadła:

„Krwi nie wołamy — zdobyczy nie chcemy, nie chcemy mordów, do łupieztw niezdolni — tylko odzyskać ojczyznę pragniemy, tylko być wolni!!!“

I żądza, nielitosne pragnienie wolności ogarniać poczęło cały naród. Bujny kwiat wolności urastał w sercu mężów, niewiast i dzieci, i pełną była serdecznego łkania cała ziemia polska, w domu i kościele, na ulicach miast

i pod krzyżem przydrożnym, w czystem polu i w miastowym zaułku — zewsząd głos potężny biegł ku niebiosom:

„Ojczyznę wolność racz nam wrócić Panie!“

Szukano nieraz, jakaby była przyczyna powstania styczniowego, skąd tak nagłe pragnienie wolności ogarnęło lud polski, taka bezbronna, bohaterska odwaga wobec bagnetów na ulicach Warszawy, skąd tyle ognia w piersi, bohaterstwa w sercu, skąd tyle pogardy śmierci w duszy.

Szukano między dworem cesarza Francuzów Napoleona III. a Garibaldim, Mazzinim i spiskowymi kółkami, szukano w kraju i w Peterburgu nawet, a to tylko był czas taki, który wionął powiewem wolności, to żywiołowa siła wołająca o skruszenie kajdanów, lub o śmierć chwalebną.

Szaleńcy! Taka wielka potęga Rosyi, tyle ludów jęczało pod jej obuchem, taką grozę siała moc carskiej prawicy, zbrojnej w setki tysięcy karabinów, bagnetów, ogniem ziońących armat. Na taką porywać się siłę z gołemi rękoma i tylko z modlitwą na ustach, to chyba czyste szaleństwo, zbrodnia wobec własnego narodu!

Tak mawiano wówczas i tak się mówi dziś jeszcze czasami. A przecież powstanie styczniowe szaleństwem nie było. W tej bowiem epoce czasu zdarzały się i udawały rzeczy stokroć bardziej ryzykowne, znacznie mniej do prawdy podobne. Wszakże Garibaldi na czele tysiąca wybranych rozbił królestwo Neapolu, pułkownik Kuza na czele kilku batalionów tworzył królestwo rumuńskie.

Zdawało się tedy, że i dla Polski wybiła godzina sprawiedliwości. Wypadki układały się tak, że nadzieja odbudowania jej rosła, a równocześnie rosło w sercach wszystkich pragnienie wolności.

I z tem pragnieniem wyszedł lud warszawski na ulice. Stolica Polski zabrzmiała pieśnią błagalną i modlitwą, którą przerwał grzechot karabinów moskiewskich. Dnia 25 lutego i 8. kwietnia 1861 polała się obficie krew polska na ulicach Warszawy, a na cały naród gruba padła żałoba. Pogrzeb pięciu poległych, pierwszych ofiar moskiewskiego żołdactwa stał się jedną z największych i naj-

bardziej pamiętnych manifestacyi narodowych. Wobec krwi niewinnie przelanej zbratały się wszystkie stany, zawody, a nawet wyznania, i stał się naród polski, jakoby wielką rodziną. Miłość współbraci, miłość ojczyzny gorzała jasnym płomieniem, chrześcijanie i żydzi, chłop, robotnik i szlachta podali sobie ręce na wspólny trud i modlitwę, na wspólną walkę i śmierć męczeńską. Załopotały narodowe sztandary w powietrzu, zabłysły orły białe i polskie kokardy i nie było w tym niezapomnianym czasie innego śpiewu, jak tylko modlitwa za wolność ojczyzny, nie było tańca, ani zabawy, w narodzie żałobą okrytym.

Dziwowali się obcy onemu wzniesieniu się duszy narodowej, na niedościgłe wyżyny. Francuz hr. Montelembert z trudem zdołał sobie przedstawić naród, który nie myśli o zabawie ani o pieniężnym zarobku. On myśli jedynie o swych czasach ubiegłych i o swojej przyszłości. On cały w swej żyje boleści i w swojej nadziei. Naród on cierpi i ma wolę: a cierpienie jego nieuleczone, a wola jego niezwyciężona. Póki mu nie wróci się ojczyzna i wolność, póty będzie nosił po nich żałobę, żałobę surową a uroczystą, póty głosić będzie, że się niczem nieda pocieszyć... Weź starca, męża dojrzałego, matkę rodziny, dziewicę, dziecko zaledwie o własnych nogach stojące, u wszystkich znajdziesz to samo uczucie, tę samą namiętność wytrwałą, wszechwładną, wyłączną, namiętność prawą, dumną, a czystą; wszyscy to samo powiedzą, wszyscy z okiem płonącem, z sercem głośno bijącem powiedzą ci co mówią do Boga i co mówili ich ojcowie: Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!

— Nigdy, powiada świadek pewien naoczny, nie zdołam ci opisać pogardy śmierci i niesłychanego w umieraniu entuzyazmu, który porwał cały lud, mężczyzn, niewiasty i dzieci. Starzy żołnierze przyzwyczajeni do ognia zaręczają, że nigdy z takiej blizkości wojska najbitniejsze nie zdołały wytrwać w tem niezłomnem bohaterstwie i spokoju, tak jak ten lud wytrzymać szalonych najazdów konnicy i rotowego ognia, powtarzanego po piętnaście razy.

Jakoż wobec tego bohaterstwa bez miary wstrzymała się na chwilę mściwa ręka wroga i zamęt ogarnął głowy czynowników moskiewskich. A tymczasem wzmożony ruch patryotyczny szeroko się rozlał po całym kraju. Manifestacye, nabożeństwa w świątyniach wszystkich wyznań następowały w nieprzerwanej kolei. A między niemi potężny obchód w Kownie, przypominający światu połączenie Litwy z Polską, sypanie kopca nad Dubienką, pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego, wśród nieustannego jęku dzwonów i płaczu muzyki — posępny i smutny z mnóstwem sztandarów, które wiatr rozwijając ukazywał orły białe i starą pogoń litewską — a równocześnie wypłakana łzami niedoli, słońcem polskiej jesieni wyzłocona procesya w Horodle, na widok której „najtwardsze, najchłodniejsze serca przejęte były wzruszeniem; najsuchsze, dawno już wypłakane oczy, zrosiły się łzami i żalem za tą utraconą, tak wielką niegdyś, a dziś tak nędzną polską ojczyzną“.

Przyszły nareszcie dni stanu wojennego — pamiętny dzień 15. października: zamknięcie splugawionych gwałtem kościołów i żałobna, gromy nieszczęść w sobie kryjąca cisza przed burzą.

W takiej chwili wyrósł na szczytach społeczeństwa mąż stanu, który miał się stać jego klątwą i nieszczęściem, którego ręka pod nagromadzony stos paliwa, płonącą przyłożyła żagiew... margrabia Wielopolski.

Kto on taki — margrabia Wielopolski? Mąż — prawda jeden z najzdolniejszych swojego pokolenia, niezłomnej pracy i trudu, najlepszych chęci pełen dla swojego narodu. On mu chciał, polskiemu narodowi, warunki stworzyć dobrobytu i spokojnego używania, ale zato chciał go z wrogiem największym połączyć i wywalczyć, a raczej wyprosić własny sąd i szkołę i rząd autonomiczny, on mu wszystkie pragnął przynieść dobra doczesne, ale pod berłem Rosyi, pod panowaniem cara. Kiedy indziej byłby może Wielopolski istotnie zbawcą swojego narodu, byłby mu dał własnych urzędników i własne urzędy, możność narodowego rozwoju, swobodę polskiego słowa, ot

tak, jak my dziś w Austryi mamy za sprawą Gołuchowskiego. Ale w owym czasie gorącego pragnienia wolności i niepodległości naród wszystkie takie korzyści przyjmował i przyjmować musiał jako krwawą ironię, a Wielopolskiego nienawidził z całej duszy. Doszło nawet do zamachu na jego osobę, a gdy on sam zwolennik gwałtownych środków, postanowił pozbyć się za jednym zamachem gorętszej młodzieży przez oddanie jej do wojska rosyjskiego, wybuch powstania stawał się nieuchronnym.

Branka ta odbyła się wśród niesłychanych gwałtów w nocy z 15. na 16. stycznia 1863. Ci którzy zdołali się ocalić wyszli w lasy, wobec czego Komitet centralny jako najwyższa władza rewolucyjna wydał rozkaz ogólnego chwycenia za broń i uderzenia na załogi rosyjskie w nocy z 22. na 23. stycznia.

Rozpoczęło się powstanie, a z chwilą, gdy dzwon na starożytnej katedrze płockiej pierwszy uderzył na alarm, odwróciła się wielka karta w dziejach naszego narodu.

Kwiat narodu polskiego stanął do walki z nieprzejednanym wrogiem, a szumiące bory polskie stały się świątynią narodowego bohaterstwa, pobojowiskiem bez nazwy i surm zwycięskich, stały się ziemią rozgwaru wojennego i szczęku oręża, a potem ziemią mogił i krzyżów.

Walka bez sławy i bez nadziei zwycięstwa, trud szary o głodzie i chłodzie, śmierć w leśnych uroczyskach lub stokroć gorszy skon z moskiewskich wyroków, czasami chwila zwycięskiego upojenia, a zawsze poczucie dobrze spełnionego obowiązku wobec ojczyzny, świadomość ofiary — oto treść ostatniej naszej walki orężnej za wolność narodu. Na mnogich pobojowiskach kładł się kwiat młodzieży polskiej z pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła“ na ustach, gorące serca spoczęły pod zimną mogiłą, nikt czynów bezmiernego bohaterstwa jednostek nie przekazywał potomności, nawet ciał poległych nie zawsze mogła się doszukać stroskana rodzina...

A nadto jeszcze na ten olbrzymi wysiłek, na skrwawione pola walki, spustoszone sioła i miasteczka padały

czarne cienie zwątpienia i rozpaczy. I nie wiele brakło, aby znękane kontrybucyą i wyuzdanem prześladowaniem dziczy społeczeństwo nie przeklęło groby swoich bohaterów, aby rocznica powstania styczniowego nie stała się dniem żalu i powszechnej żałoby.

A jednak to się nie stało. Naród polski dziś już cały czci w żołnierzach powstania styczniowego swoich bohaterów narodowych i wierzy silnie i nieugięcie, że z krwi ich powstanie kiedyś mściciel tej ziemi.

Zaraz w nocy z 22. na 23. stycznia powstańcy, aczkolwiek jeszcze niedostatecznie do walki przygotowani i w broń zaopatrzeni, uderzyli na 17 miejscowości, w których znajdowały się załogi rosyjskie. Napad wykonany został z różnem szczęściem, a zwłaszcza w Sandomierskiem, gdzie stanął na czele generał Langiewicz i na Podlasiu, gdzie jak jeden mąż pod bronią stanęła szlachta zaściankowa, odniesiono znaczne sukcesy. Tymczasem na załogi rosyjskie padł strach wielkooki, tak, że drobne oddziały ich poczęły się koncentrować, opróżniając w ten sposób znaczny szmat kraju. W ich miejsce urastały jedne po drugich obozowiska powstańcze, a z nich największe: Langiewicza w Wąchocku, Lewandowskiego na Podlasiu, Antoniego Jeziorańskiego w Mazowieckiem, Mieleckiego w Kujawskiem i wiele innych. Oczyszczona od rosyjskiej straży granica od strony Austryi dozwalała na przechód oddziałów ochotniczych z Galicyi.

Rozpoczął się szereg utarczek z wojskiem rosyjskiem. Gdzie siły rosyjskie były większe, tam oddziały powstańcze szły w rozsypkę, tu i ówdzie odnoszono zwycięstwa. Ogółem do końca marca 1863, to jest w przeciągu dwu miesięcy od wybuchu powstania stoczono przeszło 80 bitew i potyczek, zawsze uporczywych i bardzo krwawych. Najdonioślejsze z nich pod względem militarnym były te, które stoczył w Sandomierskiem Langiewicz, mianowany w międzyczasie dyktatorem, i Czachowski. Komendant szkoły wojskowej polskiej w Cuneo we Włoszech, człowiek o dużych zdolnościach wojskowych potrafił Langiewicz utworzyć blisko czterotysięczny, dobrze zorganizo-

wany i we wszystkie potrzeby zaopatrzony korpus powstańczy. Szefem sztabu jego był poseł do sejmu pruskiego Władysław Bentkowski, adjutantem odważna, na trudy obozowe i gwizd kul karabinowych wytrzymała Henryka Pustowójtówna. Na czele tego korpusu odniósł Langiewicz kilka bitew poczęści zwycięskich jak pod Małogoszczą, Miechowem, a umiejętnymi marszami i obrotami strategicznymi umiał zaszachować o wiele liczniejszego nieprzyjaciela. Niestety jednak kampania Langiewicza skończyła się przejściem jego przez Wisłę i złożeniem broni w ręce Austryaków.

Niepodobieństwem jest w krótkim szkicu wymieniać wszystkie potyczki, nawet te, gdzie szczęście sprzyjało dzielności polskiego oręża. To jednak powiedzieć należy, że było wśród nich bardzo wiele takich, które wskrzeszały najświetniejsze tradycye polskiej waleczności. Do takich należy atak robotników kosynierów pod Węgrowem, atak studentów akademii puławskiej pod Słupczą, dzielna obrona Suchedniowa, gdzie Czachowski z 300 ludźmi przez dobę całą powstrzymywał 1.600 Moskali z artyleryą, odparcie napadu na klasztor świętokrzyski, dwudniowa bitwa pod Siemiatyczami i t. d.

Z tem wszystkiem jednak powstanie wobec przeważających sił rosyjskich, a zwłaszcza skutkiem rozbicia korpusu Langiewicza upadało. Przy końcu marca zaledwie już tylko 1.500 ludzi stało pod bronią w różnych oddziałach, a reszta z dziesięciotysiącznego zastępu młodzieży bądź legła na polu walki, bądź w kaźni moskiewskiej oczekiwała swego losu.

Ten pierwszy okres powstania styczniowego zadał i Rosyi ciężkie straty. Już sam fakt, że przeszło stutysięczna armia regularna przez dwa miesiące nie zdołała stłumić niedostatecznie zbrojnego ruchu, że przecież powstańcy w wielu miejscach odnosili nad nią zwycięstwa, wykazywała wobec Europy niemoc i bezsiłę caratu, a zarazem dobijającemu się o wolność narodowi dawała, ułudną co prawda, nadzieję europejskiej interwencyi. Wiekopomną zaś zasługą powstania styczniowego jest

uwłaszczenie włościan w Królestwie, na podstawie dekretu rządu narodowego. Równocześnie też z wybuchem powstania ustały wszędzie w Królestwie robocizny i powinności włościańskie, tak że późniejsze carskie manifesty spotkały się już z faktem dokonanym.

Nadzieja na interwencyę państw europejskich podsyciła gasnący płomień powstania. Zapewnienia rządu francuskiego, manifestacye na rzecz Polski, odbywające się po wszystkich prawie stolicach, stanowisko Austryi i Prus wobec powstania i Rosyi, groźba zawikłań wojennych europejskich, wszystko to przemawiało za wytrwaniem w walce. „Wytrwajcie“ mówił cesarz Napoleon III. i ministrowie francuscy i ambasador austryacki w Paryżu ks. Ryszard Metternich, „wytrwajcie“ mówił wreszcie prezes izby francuskiej hr. Colonna Walewski, objaśniając odwiedzających go Polaków, że byt państwowy Polski przynajmniej 15 milionowej, stał się niewątpliwym prawie.

Pod wpływem tych nadziei, nawet ci, którzy dotychczas byli przeciwni powstaniu zbrojnemu, zaczęli je czynnie popierać, a tak walka przeciwko caratowi stała się ogólno narodową. Wychodził w pole jeden oddział za drugim, a wszystkie coraz lepiej zorganizowane i uzbrojone. I tak od strony Krakowa szły oddziały Leona Czechowskiego i pułkownika Jordana, od strony zaboru pruskiego Edmunda Caliera i Yung de Blanckenheima, na Podlasiu uwijał się dzielny majster studniarski Lelewel Borelowski, gotował na Litwie wyprawę Sierakowski, na Żmudzi ks. Mackiewicz i Kołyszko, na Rusi dr. Neczaj i dzielna młodzież kijowska, która śmiercią swą męczeńską stwierdziła wielkie hasła „za wolność waszą i naszą!“

Wśród mnogich podjazdów i potyczek wsławił się zwłaszcza generał Antoni Jeziorański, który dzielną szarzą jazdy polskiej zmusił pod Kobylanką Moskali do bezładnej ucieczki, a w kilka dni później 6. maja po całodziennej krwawej bitwie pokonał kilkakroć liczniejsze siły nieprzyjacielskie. Równocześnie prawie dzielne oddziały po-

znańskie i wielkopolskie pod komendą Zeyfrieda i Taczanowskiego wyparły silny oddział rosyjski za pruską granicę. Wywołało to olbrzymie wrażenie w całej Europie, a równocześnie podnosiło ducha narodu, który wszystkie swoje siły rzucił na szalę nierównej walki.

Jakoż w lipcu r. 1863 powstanie było tak silne, że nawet najbardziej niedowierzającym świtała nadzieja zwycięstwa. W czerwcu i lipcu stoczono do 90 potyczek na całym obszarze kraju, w miesiącu sierpniu bitew i potyczek było 62, a wśród nich słynna kampania generała Heydenreicha Kruka pod Żyrzynem.

Tymczasem jednak interwencya dyplomatyczna mocarstw europejskich nie przyniosła spodziewanego wyniku. Państwa tak długo łudziły nieszczęsną Polskę, dopóki im to dla wyklarowania się stosunków międzynarodowych było potrzeba, wnet jednak po stronie Rosyi stanęły otwarcie Prusy z Bismarkiem, Austrya zmieniła zupełnie swoje stanowisko wobec powstania, Francya zaś zaplątana w awanturniczą wyprawę meksykańską była zupełnie bezsilną. Panią sytuacyi międzynarodowej stała się tedy Rosya, a czując się silną jak nigdy, przystąpiła do zgniecenia powstania środkami brutalnymi.

Na Litwie szalał zwierz w ludzkiem ciele Murawiew-Wieszatel, na Rusi generał Anienków, w samej Warszawie Berg. Zaczęły się masowe mordy powstańców i egzekucye publiczne, w więzieniach torturowano więźniów w dziki sposób, na szlachtę nakładano kontrybucye. Rozpasana zgraja czynowników rzuciła się jak krwiożercze psy na znękane i zbolałe społeczeństwo. Gwałty niesłychane w swojej brutalności następowały po sobie bez przerwy, a zemsta wroga wysilała się w pomysłach już nie tylko topienia powstania w morzu krwi, ale zniszczenia całego narodu. Grad barbarzyńskich ukazów, gwizd nahajek, skrzyp szubienicy, ogień rot egzekucyjnych spadały na społeczeństwo, odbierając mu wszelką ochotę do walki zbrojnej, a rodząc tępe zwątpienie i rozpacz, w której nadzieja smutna „i to minie!“ jedyną była pociechą i jedynem programem na przyszłość.

W tych strasznych tygodniach, wyprzedzających upadek powstania, jeden był tylko człowiek wierzący niezłomnie i jedna dusza gotowa do walki aż do ostatniej krwi, aż do zupełnego wyczerpania wszystkich sił. Był to Romuald Traugut, który w chwili, gdy się powstanie już ostatecznie rozprzęgło, chwycił wszystkie nici jego w swoje dłonie i gotów każdej sekundy na śmierć męczeńską, sprawami powstania kierował jako dyktator z całem zaparciem się, z nakładem olbrzymiej pracy i nigdy niesłabnącej wiary w ostateczne zwycięstwo polskiego oręża.

Dziwny to był człowiek i dziwna ta jego dusza stalowa, jasna jak kryształ i rozmiłowana w ojczyźnie aż do mistycyzmu. Powstanie upadało już beznadziejnie. Jeszcze w ciągu października, listopada i grudnia stoczono przeszło 130 bitew i większych potyczek, gdy już w ostatnich dniach roku było na placu boju wszystkiego tylko około 3.000 partyzantów. Mimo to pisał Traugut w odezwie do wojsk narodowych: „nie zlękniemy się bracia trudów i zimna. Bóg miarkuje wiatr dla ubogiego. Mężnie stawim czoło wrogom, a przy bożej pomocy ta zima będzie dla nich ostatnią na naszej ziemi“.

Niestety, łudził się tajemny dyktator. Mimo nadludzkie wysiłki poszczególnych jednostek, a zwłaszcza generała Hauke Bossaka, powstanie chyliło się coraz bardziej i widoczniej do upadku, a w miarę tego zwiększały się represye moskiewskie, a równocześnie także austryackie w Galicyi, gdzie zaprowadzono stan oblężenia i pruskie w Poznańskiem. W Królestwie duchowieństwo i szlachta odwróciły się stanowczo od powstania, chłopi zaczęli przybierać wobec niego coraz groźniejszą postawę, a w takich warunkach poszczególne oddziały topniały lub otaczane przez przeważające siły rosyjskie, ginęły do nogi.

Równocześnie w Warszawie aresztowano Trauguta i razem z czterema innymi członkami rządu narodowego: Janem Jeziorańskim, Rafałem Krajewskim, Józefem Toczyskim i Romanem Żulińskim powieszono dnia 5. sierpnia 1864 na stokach cytadeli warszawskiej. W polu wytrwał

przez cały rok 1864 jedynie ks. Stanisław Brzóska na Podlasiu, i on śmiercią swoją męczeńską w dniu 24. maja 1865 zakończył powstanie.

„Bili się przez zimę, lato, jesień całą, a na wiosnę za to i... dziatwy niestało“ — śpiewała rzewna i smutna piosenka na zgliszczach zbrojnego porywu narodowego. Bili się dzielnie i wytrwale, spełniając najświętszy obowiązek wobec ojczyzny i składając jej daninę krwi najserdeczniejszej. Szczęścia jeno nie było, ni wolna dola była jeszcze Polsce pisana. Ale na tę dolę, na przyszły wielki dzień Zmartwychwstania rzucili ci rycerze zgłodniali, te wojska bez broni, młodzież idąca z gołymi rękoma na armaty — rzucili ci wszyscy, co w leśnych, zapomnianych legli mogiłkach, siew bujny i żyzny. Oni odnowili tradycyę bohaterskich walk o niepodległość Polski, oni na podziw bezdusznej Europy wykazali, że nie żyć wolnemu narodowi w niewoli, ale raczej mu śmierć ponieść, raczej wszystkie zatracić doczesne dobra.

Żałobny kir padł na całą Polskę od morza do morza. Nie było prawie rodziny, która by nie opłakiwała kogoś z najbliższych i długie ponure korowody zesłańców szły w mroźne lody Sybiru. Więzienia przepełnione, wszędzie smutek i niedola, cała ziemia polska stała się jakby jedną kaźnią, jakby piekło same rozszalało nad nią wszystkiemi mękami zwątpienia i gromami zemsty.

Ale straszniejszy nad wszystko był upadek ducha w narodzie, ta czarna, plugawa reakcya, która wypełzła ze wszystkich kątów, rzucając się z przekleństwem na cały ruch narodowy, na własnych plwając nieszczęśliwych żołnierzy. Zdawało się, że wieko trumny już na zawsze przybite i że ten naród, co tyle umiał ponieść ofiar dla wolności, teraz własnowolnie włoży swą głowę w obrożę i całować pocznie bijącą go rękę.

Odrętwienie to duchowe jednak nie trwało długo. Naród żywy wszak rozpaczać nie może, naród, który tyle krwi przelał zginąć przecież nie godzien. Przyszło więc nowe pokolenie, ostrożniejsze, zimniejsze, bardziej od swoich poprzedników doświadczone i to na przyszły trud

i na przyszłą walkę gotować poczęło zasoby od samych podstaw, od samego początku.

I urastać poczęła budowa Polski nowej i krzepić się począł naród siłami, które przyszły z pod strzechy wieśniaczej, a niespożyte są i niczem nie złamane. I dziś po latach pięćdziesięciu naród polski świadomy sił swoich i swojego prawa spokojnie w przyszłość może spoglądać.

I na mogiły braci poległych garść rzucić kwiatów i dobrego wspomnienia, bo oto oni krwią swoją Polskę nieśmiertelną uczynili, oni swoją modlitwą, walką, trudem ofiarnym i śmiercią chwalebną dali jej tę siłę, która wszystkie ciosy przetrwać zdolna, poprowadzi ją kiedyś na wielki, ostatni, zwycięski bój.

ODSYŁACZE.

[1]) Akta grodzkie i ziemskie, t. XIV. nr. 2175, 2228-34, 2287 itd. O niewoli pod wpływem stosunków wschodnich na Rusi halickiej i ziemi lwowskiej, por. także Dr. Przemysław Dąbkowski: Prawo prywatne polskie, Lwów 1910, t. I. str. 113.

[2]) Księga burgrabska przedmieścia krakowskiego z r. 1695. Manuskrypt Archiwum miejskiego we Lwowie.

[3]) Dziś własność p. Michała Demetra. Rynek l. 17.

[4]) Szczegóły biograficzne w dziele W. Rubczyńskiego „O filozoficznych poglądach Sebastiana Petrycego z Pilzna“. Kraków 1908.

[5]) Mironis Costini Chronicon terrae Moldavicae. Ed. E. Barwiński. Bucuresti 1912.

[6]) Biłous: Opysanie ikon po cerkwach ruskich u Lwowi. Lwów 1858. W. Łoziński: Malarstwo cerkiewne na Rusi. Kw. hist. t. I.

[7]) ex mutuo consensu et unanimi voto, tam Catholicorum, quam Ruthenorum pictorum, qui admittuntur certis appositis conditionibus in articulis describendis.

[8]) Cała ta sprawa w aktach konsystorza lw. obrz. łać. z r. 1661 str. 543.

[9]) Akty konsyst. z r. 1661 p. 633.

[10]) Arch. m. fasc. 1036. nr. 113.

[11]) Arch. m. fasc. 1036. nr. 107.

[10a]) Manuskrypt in folio, własność gr. kat.Kapituły w Przemyślu. Nr. XLVII. G. 10. p. t. „Album nobilis Congregationis civium leopoliensium Anno MDCCXXXV. renovatae“. Wiadomość o samym rękopisie, nieznanym dotychczas historykom Jezuitów (nawet ks. Załęskiemu) oraz szczegóły, zawdzięczam przyjacielskiej uprzejmości ruskiego uczonego i gorącego miłośnika wszelakiej historycznej starzyzny dra Wasyla Szczurata.

[11]a) Według dawnych planów miejskich.

[12]) Akta radzieckie t. 22 p. 334.

[13]) Z portretu w archiwum miejskiem.

[14]) Pierwotna nazwa placu Gołuchowskich.

[15]) Z notatek inż. Józefa Chowańca, autora urzędowego planu miasta Lwowa.

[16]) Tabula miejska, Lib. Dom. t. IV. p. 421.

[17]) Obecnie sążeń gruntu w tem miejscu przedstawia wartość 1.500 koron.

[18]) Ślady tej korespondencyi oraz odpisy kontraktów, zawieranych imieniem Sierakowskiego z artystami rzemieślnikami przechowały się w rękopisie archiwum kapituły lwowskiej nr. 47. O restauracyi katedry lwowskiej za Sierakowskiego pisali dotychczas: Maurycy Dzieduszycki (Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego. Kraków 1868. — Kościół katedralny lwowski. Lwów 1872), oraz Ferdynand Bostel (Przyczynek do dziejów restauracyi katedry lwowskiej w XVIII w. w Spraw. komisyi do badania sztuki. Tom VII. Zesz. IV.)

[19]) Szkic niniejszy opiera się przedewszystkiem na mało u nas znanych dziełach Innocentego Fesslera *„Fesslers sämtliche Schriften über Freymaurerey. Wirklich als Manuscript für Brüder". Freuberg 1805.* Książka ta wydana została tylko dla użytku masonów, z zachowaniem wszelkich ostrożności, aby nie dostała się w ręce niepowołane, do tego stopnia, że arkusze korrekty odebrał sam autor, a drukarz wystawił rewers, że ani jednego egzemplarza nadliczbowego nie wydał w świat. Duża część tego wydawnictwa drukowana jest szyframi, do których klucz wydrukował Fessler w formacie 4° w innej drukarni prywatnej. Każdy właściciel tego klucza musiał się zobowiązać, że nie dołączy go do książki.

Korzystaliśmy z egzemplarza bibl. uniwersyteckiej we Wiedniu. Dalszem źrodłem niniejszej pracy jest Abafiego *„Geschichte der Freimauerei Oesterreichs-Ungarn (Budapest 1897)"*, treściwy artykuł Juljusza Starkla „Wiadomości o farmazonach w Polsce", drukowany w Gazecie narodowej w r. 1871, a wreszcie cała nowsza polska literatura masońska z dziełem ks. Załęskiego „O masoneryi" na czele.

[20]) Wawel Louis: Okruszyny historyczne. Kraków 1898.

WYKAZ NAZWISK I MIEJSCOWOŚCI.

SPROSTOWANIA.

Na str. 11 oznaczono mylnie odsyłacz [2]) jako [1]).
Na str. 80 oznaczono odsyłacz [10]) zamiast [10]a).
Na str. 93 oznaczono odsyłacz [11]) zamiast [11]a).
